

Patricia MacDonald

Brudne Intencje

(Lost Innocents)

Przekład: Katarzyna Mrozowska-Linda

Prolog

Wtorek po południu, późny październik

Rebeka Starnes wyprostowała się na ławce, ukradkiem odrzucając włosy. Wsunęła w dzinsy wełnianą bluzkę, która teraz idealnie podkreślała wypukłość piersi. Kątem oka obserwowała parking, gdzie chłopak na deskorolce atakował ścianę. Była to odważna akrobacja i za każdym razem, gdy mu się nie udało, tłumiła jęk zawodu. Na nosie miał okulary przeciwsłoneczne, więc trudno było stwierdzić, czy spoglądał w jej stronę. Ona z pewnością nie chciałaby odkryć, że go obserwuje.

Rebeka była prawie pewna, że już go gdzieś widziała. Może na meczach koszykówki? Z której jest szkoły? W okolicy było ich wiele. Z pewnością nie chodził do Perpetual Sorrows, nie przeoczyłaby go przecież we własnej szkole. Położyła rękę na oparciu ławki i znów odgarnęła włosy.

Jakaś kobieta spacerująca z wózkiem po krętej alejce zatrzymała się przed Rebeką i uśmiechnęła.

– Jaki śliczny chłopiec – zachwyciła się. – Ile ma miesięcy?

– Sześć – niezbyt uprzejmie odpowiedziała Rebeka.

A tymczasem Justin Wallace wpatrywał się w plastikowy, okrągły gryzaczek z obrazkami Kaczora Donalda i jego siostrzeńców.

Kobieta była tak zajęta zabawianiem Justina, że nie zdawała sobie sprawy, iż zasłania widok na parking. Rebeka wychylała się, aby dojrzeć skatera, ale bezskutecznie. W końcu westchnęła i siląc się na uprzejmość, wskazała na wózek kołysany delikatnie przez kobietę i zapytała:

– A ile ma pani dziecko?

– To jeszcze maleństwo – odparła kobieta. – Ciągłe śpi.

– Żeby tak Justin chciał zasnąć – poskarżyła się spoglądając na niego i marząc, by kobieta sobie poszła. – Ja się nim tylko opiekuję – dodała.

Kobieta chyba doszła do wniosku, że nie może liczyć na towarzystwo, więc pożegnała się, pomachała ręką Justinowi i oddaliła się. Jedno spojrzenie spod przymkniętych powiek upewniło Rebece, że skater ciągle tam był. Poprawiła na sobie bluzkę, mając nadzieję, że wygląda atrakcyjnie, ale nie prowokująco.

Tymczasem Justin potrząsnął niecierpliwie gryzaczkiem, pozuł go przez chwilę, po czym znów wpatrzył się w niego. Przypominał naukowca zastanawiającego się nad nowym eksperymentem. W skupieniu rozważał efekt bumeranga. A przemyślawszy wszystkie możliwości wybrał jedną: wypuścił gryzaczek z rączki. Natychmiast zrozumiał, że popełnił błąd. Gryzaczek upadł z cichym odgłosem na suche liście hortensji. Wesołe dotąd, szare oczka Justina

zachmurzyły się. Zmarszczył twarz i głośno się rozplakał.

Oderwana od marzeń o skaterze, Rebeka odwróciła się niechętnie w jego stronę. Jednak gdy tylko na niego spojrzała, przeszła jej cała złość. Tak uroczo wyglądał w czerwonym sweterku z dalmatyńczykiem, który wydziergała babcia. Rebeka kochała wszystkie dzieci, ale Justina darzyła szczególnym uczuciem. Jego rodzice byli młodzi i musieli ciężko pracować, żeby związać koniec z końcem. Najczęściej dzieckiem zajmowała się babcia, matka Donny, ale czasami prosili Rebeke, by ją zastąpiła. Rebeka bardzo lubiła zajmować się Justinem. Robiłaby to nawet za darmo, aby tylko im pomóc. Johnny i Donna zawsze jednak nalegali, żeby przyjęła pieniądze. Sposób, w jaki budowali swoje życie rodzinne, wydawał się Rebecie bardzo romantyczny.

Oczywiście, gdy tylko wspominała o tym przy matce, Sandi Starnes wpadała we wściekłość. „Nie myśl, że zajdziesz w ciążę, a potem ze mnie zrobisz niańkę. Wybij to sobie z głowy” – krzyczała. Bez przerwy ostrzegała Rebeke, jak ciężko być tak młodą matką jak Donna Wallace. Ona sama doskonale o tym wiedziała. Ojciec Rebeki odszedł, gdy dziewczynka miała osiem lat. W Massachusetts założył drugą rodzinę. Nie był taki zły jak inni ojcowie, ale Rebeka dobrze wiedziała, z jakim trudem matka wiązała koniec z końcem. Musiała wziąć dodatkowe dyżury w restauracji, żeby córka mogła pójść do katolickiej szkoły.

Rebeka przyglądała się Justinowi. Była przekonana, że opiekowanie się dzieckiem to cudowna rzecz. Jednak wiele matek, podobnie jak Donna Wallace, korzystało z pomocy babć. Kłopoty dnia codziennego były przyczyną rozpadu wielu małżeństw. Choć nie musiało tak być.

Niektórym się udaje – pomyślała na pocieszenie. – Są razem.

Spojrziała smutno na Justina.

– Co się stało? – zapytała ze współczuciem.

Justin popatrzył na nią, nie mógł nic wytłumaczyć. Oczy miał pełne łez spływających po okrągłych policzkach. Rebeka sięgnęła po wyszydełkowany przez babcię kocyk i dokładnie okryła nim chłopca.

– Zimno ci? – zapytała czule. Wprawdzie do tej pory jesień była ciepła, ale zbliżał się listopad i robiło się coraz chłodniej.

Justin gorzko zawiedziony niezrozumieniem, zapłakał jeszcze głośniej i zaciśniętymi piąstkami uderzał w poprzeczkę wózka.

– Justin, przestań – wymamrotała Rebeka, zastanawiając się, czy chłopak z deską widzi, jak dzielnie sobie radzi. – Co się dzieje? Przestań płakać. Chcesz butelkę? Zaraz ci dam. Tylko już nie płacz.

W takich chwilach Rebeka wiedziała, że matka niepotrzebnie się o nią martwi. Nie miała zamiaru wplątać się w dziecko. Chciała pójść do college'u i zostać laborantką. Любиła nauki przyrodnicze. To był jej ulubiony przedmiot w Perpetual Sorrows. Chciała mieć własne

mieszkanie, samochód i możliwość finansowego wspierania matki. Uśmiechnęła się smutno na myśl o wiecznie troskającej się mamie. Nie miała nawet chłopaka, a co dopiero mówić o dziecku.

Z kieszeni wózka wyciągnęła butelkę z sokiem jabłkowym. Czowała, że pieką ją policzki. Nie śmiała spojrzeć na skatera, obawiając się jego reakcji.

– Wydaje mi się, że ona potrzebuje tego – usłyszała męski głos.

Rebeka zamarła zaskoczona, ale pełna nadziei. Nie słyszała, że ktoś się do niej zbliżał. Może to on? Może wykorzystał okazję, aby z nią porozmawiać? Wzięła głęboki oddech i uniosła głowę. Zamiast śmiałka-skatera stał przed nią dorosły mężczyzna. Ubrany w ciemne, bawełniane spodnie i wiatrówkę. W ręku trzymał gryzaczek Justina.

Rebeka zerknęła na parking. Skatera już tam nie było. Westchnęła zawiedziona.

– Dziękuję – powiedziała, odbierając kóleczek. – To chłopiec.

Justin siedział i obserwował tę scenę szeroko otwartymi oczyma.

– Naprawdę? – Mężczyzna był zaskoczony. – Myślałem, że z takimi loczkami...

Rebeka pogłaskała czułe miękkie włoski Justina.

– Nie pan pierwszy się pomylił – odparła oglądając gryzaczek.

– Jest trochę brudny – zauważył mężczyzna. – Leżał pod tamtym krzakiem. Proszę pozwolić, że opłuczę go w fontannie.

– Dobrze, dziękuję – powiedziała i wróciła na ławkę.

Mężczyzna podszedł do fontanny, opłukał gryzaczek i oddał go Rebecce. Usiadł na tej samej ławce, niezbyt blisko niej, ale Rebeka i tak poczuła się trochę niezręcznie. Przecież to nie jest jakiś zboczeniec, uspokajała się. Wygląda zupełnie normalnie.

– Musi być pani z niego bardzo dumna – rzekł, sugerując, że Justin jest synem Rebeki.

– To nie moje dziecko – odpowiedziała, zastanawiając się, jak dorośli mogą być tacy tępi. Najpierw tamta kobieta, teraz ten facet. Rebeka nie chciała wyglądać na matkę. – Ja się nim tylko opiekuję. Mam dopiero piętnaście lat.

Justin znów z radością zajął się gryzaczkiem.

– Aha – pokiwał głową mężczyzna. Wyjął z kieszeni wiatrówki paczkę serowych krakersów. Otworzył ją i ugryzł jednego. – W takim razie, czy nie powinnaś być teraz w szkole?

Rebeka potrząsnęła głową.

– Chodzę do szkoły katolickiej – wyjaśniła. – Dzisiaj mamy święto.

– Ach tak – pokiwał głową. Przez chwilę żuł krakersa. Nagle jakby coś skojarzył i wysunął paczkę w stronę Rebeki. – Przepraszam, poczęstuj się.

Rebeka wzdrygnęła się. Była wprawdzie trochę głodna, ale przez moment się zawahała. Sto razy słyszała, żeby niczego nie brać od obcych. Wszyscy rodzice panikowali na tym punkcie. Ale przecież nie był to żaden śliniacy się zboczeniec na pustkowi. Na końcu alejki siedziała jakaś kobieta w okularach i czytała książkę. Rebeka widziała, że od czasu do czasu spogląda w jej

stronę. Na trawniku koło stawu jakiś Chińczyk ćwiczył jogę. Dziesięć minut temu przejeżdżał tędy wóz policyjny. Wszystko to przemknęło jej przez myśl, gdy patrzyła na paczkę krakersów. Trzeba jednak uważać. Od tych historii w gazetach cierpła skóra. Taylorsville było raczej spokojnym miastem, ale nigdy nic nie wiadomo...

Mężczyzna uśmiechnął się z przymusem.

– Nie są niczym nasączone – powiedział. – Kupiłem je przed chwilą w tym sklepie na rogu.

Rebeka zaczerwieniła się, zawstydzona swoją podejrzliwością.

– Nie bądź zażenowana – dodał, odgadując jej myśli. – W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym. Dzieci to skarb i ciągle trzeba je ostrzegać, by miały się na bacności. Jestem przekonany, że rodzice powtarzają ci to bez końca. Każdy rodzic się niepokoi.

Rebeka zrozumiała, że sam musi mieć dzieci, i od razu poczuła się trochę pewniej. Uśmiechnęła się, chociaż jego słowa nieco ją zasmuciły. Tak bardzo chciałyby mieć ojca, dla którego byłaby najcenniejszym skarbem na ziemi. Nie mogła sobie jednak wyobrazić Buda Starnesa mówiącego o niej w ten sposób.

– Nie jestem dzieckiem – obruszyła się.

– Jak ma na imię ten chłopczyk? – zapytał, wskazując na wózek paczką krakersów.

Rebekę ucieszyła zmiana tematu.

– Justin – odparła. – Justin Mark Wallace. To mój kumpel.

Na dźwięk swojego imienia Justin podniósł główkę, śmiejąc się szeroko. Rebeka odwzajemniła uśmiech. Dopiero wtedy poczęstowała się krakersem.

Mężczyzna, zadowolony, uśmiechnął się także i siadł bliżej Rebeki. Położył rękę na oparciu ławki w ten sposób, że jego palce delikatnie muskały ciało dziewczyny.

Rozdział pierwszy

Samochód zatrzymał się na końcu brukowanego, krętego podjazdu.

W zapadającym zmierzchu Maddy Blake ujrzała ogromny, stary dom w stylu Tudorów. Na szmaragdowy trawnik z majestatycznych drzew powoli i bezszelestnie opadały bursztynowe liście. Kolczaste gałęzie oplatające ściany tego imponującego domu sprawiały, że wyglądał, jakby stał tu od zawsze.

– No, no! – wykrzyknęła Maddy. – Ale dom! Nic dziwnego, że tak drogo bierze.

– Wart jest tego. – Doug stanął w obronie Hensona.

– Ach! Oczywiście, zgadzam się – odparła Maddy pospiesznie, unikając wzroku męża.

Charles Henson zaprosił ich oboje do domu, by uczcić zwycięstwo. W ubiegłym tygodniu, dzięki Charlesowi, Doug został oczyszczony z zarzutu o molestowanie seksualne uczennicy liceum, w którym uczył historii. Po pięciu tygodniach zawieszenia Doug mógł wreszcie wrócić do pracy. Dużo trudniej jednak było odzyskać dobre imię.

– Słyszałem, że jego żona pochodzi z bogatej rodziny – rzekł Doug. – A to ma duże znaczenie.

Maddy spojrzała ukradkiem na męża, który utkwiał wzrok w przednią szybę. Czy było to...? – zastanawiała się. Cała ta koszmarna sprawa była bardzo kosztowna. Wszystkie oszczędności poszły na domowe wydatki i honorarium Charlesa. Wprawdzie Maddy robiła witraże, ale nie były to dochody stałe. Nie pochodziła, niestety, z zamożnej rodziny. Pracowała jednak wytrwale, próbując zapewnić byt rodzinie w tym trudnym okresie.

Doug nie pozwolił jej o tym długo myśleć. Odwrócił się do ich trzyletniej córeczki i uśmiechnął. Na policzkach dziewczynki pojawiły się dołeczki.

– Jesteśmy na miejscu, Amy – powiedział. – Czas wysiadać.

Amy, jasnowłosa jak jej ojciec, uśmiechała się do niego uroczo.

– George'a biorę ze sobą – oznajmiła, potrząsając pluszową małpką, swym nieodłącznym towarzyszem.

Kiedy Doug pochylał się nad siedzeniem, Maddy obserwowała jego miękkie włosy koloru piasku i łagodne oczy. Pomyślała, że w tweedowej sportowej marynarce i krawacie wygląda bardzo przystojnie. Wcale nie była zdziwiona, gdy dowiedziała się, że jakaś uczennica podkochuje się w jej mężu. Maddy sama zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Jednak sposób, w jaki ta dziewczyna opisała, jak Doug szantażował ją, żądając seksu za dobrą ocenę... Na szczęście, zanim sprawa trafiła do sądu, oskarżycielka najpierw dwukrotnie nie stawiała się na przesłuchaniu, a gdy wreszcie zeznawała, to umiejętnie zadawane przez Charlesa Hensona pytania wykazały, że dziewczyna płacze się w oskarżeniach.

– Nie możesz zostawić małpki tutaj? – Doug zmarszczył brwi. Twarzyczka Amy wykrzywiła się. – Ja potrzebuję George’a – tłumaczyła.

– Och, pozwól jej go wziąć – powiedziała Maddy cicho. – To oni nalegali, żebyśmy przyjechali z córką. Małe dzieci zwykle zabierają ze sobą pluszowe zwierzątka.

– No, dobrze... – zgodził się niechętnie.

Maddy odwróciła się do córki: – Możesz wziąć ze sobą George’a.

Oboje wysiedli z samochodu. Doug otworzył tylne drzwi i uwolnił córkę z zapiętego pasami fotelika. Maddy wygładziła swoją wełnianą sukienkę. Nie bardzo wiedziała, co należało włożyć na taką okazję.

– Jak wyglądam? – zapytała.

– Wyglądasz świetnie – odparł i obszedł samochód, trzymając Amy za rękę.

– Ciągle nie rozumiem, dlaczego chcieli, żebyśmy przyszli do nich – wyszeptała Maddy. – Na dodatek z Amy.

Zapraszali Charlesa i jego żonę na kolację, by wyrazić swoją wdzięczność, a Charles Henson zaproponował wtedy spotkanie u siebie. Doug potrząsnął głową.

– Nie wiem. Powiedział, że żona nie lubi wychodzić. Myślę, że jest trochę dziwna. Ktoś mi mówił, że przechodziła załamanie nerwowe i spędziła rok w szpitalu psychiatrycznym.

– Naprawdę? – dopytywała się Maddy.

– Nie wiem tego na pewno – rzekł Doug. – Ostatnio, zwłaszcza jeśli chodzi o plotki, jestem trochę podejrzliwy. Nie wypadało przecież pytać o to Charlesa.

– Oczywiście. – Maddy zamyśliła się.

– Tak czy inaczej jestem pewien, że kolacja będzie wspaniała. Zdaje się, że moją kucharkę.

– Nie zrozum mnie źle. Nie mam nic przeciw temu – zaznaczyła – Zjadłabym wszędzie, gdzie by mu się tylko spodobało. W końcu uratował nas przed katastrofą. Doug przygładził włosy.

– No cóż, nie zrobiłem przecież nic złego – powiedział.

– Tak, wiem – pośpiesznie dodała Maddy. – Chcę tylko powiedzieć, że mogło być różnie... W dzisiejszych czasach niewinność najwyraźniej jeszcze niczego nie gwarantuje.

– Jestem poruszony twoim wsparciem – odciął się ironicznie.

Maddy, w poczuciu winy, dotknęła jego ręki.

– Przepraszam. Nie miałam tego na myśli. Oczywiście, że ci wierzę. Tylko... Ja też jestem zmęczona, kochanie. Mnie także wykończyły te ostatnie wydarzenia.

Pokiwał głową i poklepał ją po ręce. Maddy nie patrzyła na niego. Myślała, jak zaskakująco łatwo przyszło jej stanąć po jego stronie, kiedy Heather Cameron oskarżała go, a rada szkoły zawiesiła w czynnościach zawodowych. Na początku, co oczywiste, przeżyła szok, ale szybko doszła do wniosku, że tylko wspólnie mogą stawić czoła przeciwnościom. Teraz, już po

wszystkim, przyszedł czas na refleksje. Wstyd jej było przyznać przed samą sobą, że cały czas targają nią pewne wątpliwości.

Drzwi wielkiego domu otworzyły się. Ukazał się w nich Charles Henson, ubrany w koszulę polo i rozpinany sweter. Miał gęste, idealnie zaczesane, siwe włosy. Nawet w sportowym ubraniu sprawiał wrażenie człowieka niedostępnego. Zza jego pleców wychylała się drobna, krucha kobieta.

– Prosimy! Prosimy! – zawołał Charles, gdy zbliżali się do drzwi.

Mężczyźni przywitani się. Doug uściśnął dłoń Charlesa obiema rękoma. Widząc to Maddy zacisnęła usta. Mimo wszystko ten gest wydał jej się zbyt służalczy. Natychmiast jednak skarciła się za tę myśl. Nic dziwnego, że jest wdzięczny.

– Dziękujemy za zaproszenie – wymamrotał Doug.

– Witajcie, Maddy i Amy – powiedział Charles. Znał ich wszystkich z sali sądowej i domowych spotkań, podczas których obmyślali linię obrony. – Poznajcie się, moja żona Ellen.

Maddy uśmiechnęła się ciepło do stojącej za nim, nieco zażenowanej kobiety. Miała na sobie dzinsy i bluzkę. Była szczupła jak dziewczynka, choć, według Maddy, mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Ciągle jeszcze była piękna, z gęstymi, przyprószonymi siwizną włosami upiętymi w kok. Ellen powitała Maddy, ale wzrok miała utkwiony w Amy. Kucnęła i zwracając się łagodnie do dziewczynki, nie przestała podziwiać George'a. Maddy natychmiast poczuła do niej sympatię.

– Wejdźcie, napijemy się czegoś – zaprosił Charles. – Sądzę, że Paulina nie skończyła przygotowań do kolacji.

W tym momencie w holu pojawiła się kobieta o zaokrąglonych kształtach w fartuszk.

– Obiad za pół godziny – oznajmiła ze środkowoeuropejskim akcentem. – Czy dziecko zje paróweczkę i ziemniaki puree?

– O tak, oczywiście – odparła Maddy. – Uwielbia parówki.

Udali się za Charlesem do ogromnego salonu, umeblowanego drogimi skórzanymi meblami, pełnego miękkich dywaników i obrazów oprawionych w ozdobne ramy. Uwagę Maddy natychmiast przyciągnął obraz zawieszony nad kominkiem. Był to portret olejny dużo młodszej Ellen trzymającej w objęciach małego, może czteroletniego chłopca. Pewnie już jest dorosły, pomyślała Maddy. Prawdopodobnie mają już wnuki.

Charles napełnił kieliszki szampanem i podał je wszystkim.

– Wypijmy za sprawiedliwość – powiedział.

Doug przyglądał się złocistym bąbelkom w kieliszku.

– Charles, nie wiem, jak mam ci dziękować. W ciągu tych ostatnich kilku miesięcy przeżyliśmy ciężkie chwile.

– Nie przejmuj się. Poczekał, aż prześlę ci rachunek.

Wszyscy zaśmiali się nerwowo.

Maddy westchnęła.

– Jestem taka szczęśliwa, że mamy ten koszmar za sobą – rzekła. – Gdy ta dziewczyna wniosła oskarżenie, całe nasze życie legło w gruzach.

Charles Henson zmarszczył brwi.

– Zdaję sobie sprawę. A fakt, że jest córką szefa policji, nie ułatwia sprawy. Swoją drogą, dzieciaki mają dzisiaj przerażające pomysły. Doskonale wiedzą, co powiedzieć, by ich oskarżenia brzmiały wiarygodnie. Są jednak zbyt młode, żeby zdawać sobie sprawę z tego, że ich fantazje mogą zrujnować człowiekowi życie.

– Ależ Charles – wtrąciła łagodnie jego żona – wiesz przecież, jaki ten świat jest okrutny, właśnie wobec dzieci. Niektóre z nich to ofiary dorosłych...

Od słów Ellen Henson Maddy ścisnęło w dołku. Czy ona uważa, że Doug jest winny? – zastanawiała się. Czy to właśnie stara się dać do zrozumienia?

Charles niewzruszony sprzeciwem żony spokojnie kontynuował:

– Kochanie, sam najlepiej wiem, jak wiele dzieci pada ofiarą dorosłych. Musimy o tym pamiętać, ale z drugiej strony nie można dopuszczać do polowań na czarownice.

– Cóż, myślę, że Heather Cameron ma problemy sama ze sobą – odezwała się Maddy. – Ale to przecież nie wina mojego męża.

Charles przechylił swój kieliszek w jej stronę.

– Sposób, w jaki wspierałaś męża, był godny podziwu. Bardzo nam w sądzie pomogłaś.

Maddy zarumieniła się nieco zażenowana.

– Myślę, że dla sędziego było oczywiste, że Heather kłamała.

Ellen odstawiła kryształowy kieliszek na mahoniowy stolik i miękko powiedziała:

– Chcę przed kolacją coś Amy pokazać. Amy, pójdziesz ze mną?

Dziewczynce, zawsze ciekawej nowych wrażeń, zaświeciły się oczy. Ellen wyciągnęła do niej rękę. Maddy także odstawiła swój kieliszek. Ucieszyła ją ta nagła zmiana tematu.

– Pójdę z wami – powiedziała.

– Tak, mamusia idzie z nami.

Gdy kobiety i dziecko zmierzały do drzwi, Charles wskazał Dougowi fotel.

Na dworze Amy zaczęła biec. Kobiety szły za nią, ręce chowając w kieszeniach płaszczy. Suche liście szeleściły im pod butami.

Kilka minut trwało kłopotliwe milczenie. W końcu Maddy odezwała się pierwsza: – Jesteśmy naprawdę wdzięczni twojemu mężowi.

– Tak, Charles to bardzo dobry adwokat – spokojnie odpowiedziała Ellen.

Maddy odniosła wrażenie, że ta starsza kobieta nie zawsze zgadzała się z mężem. Poczula się niezręcznie. Zrozumiała, że często przyjdzie jej spotykać się z dwuznaczną reakcją ludzi.

Zwycięstwo w sądzie nie było końcem problemów. Ludzie kochają skandale.

Spróbowała poruszyć inny temat:

– Macie niezwykle piękny dom.

– Prawda? – przyznała Ellen. – To jest dom mojego dzieciństwa. Uwielbiam go. Nie mogę znieść myśli, że zbliża się zima. Lubię pracować w ogrodzie. To moja pasja.

– Ja natomiast mam do tego dwie lewe ręce – przyznała Maddy.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że zjemy u nas. Nie lubię wychodzić. Jestem pustelnicą.

– Oczywiście, że nie. To bardzo miło z waszej strony, że nas zaprosiliście – odparła Maddy.

Nie mogła jednak przestać myśleć o pogłoskach na temat załamania Ellen, o których wspominał Doug. Ukradkiem na nią spojrzała – na jej twarzy malował się spokój.

– Amy! – zawołała nagle Ellen. – To tutaj, w garażu!

Maddy zastanawiała się, o którym garażu mogła mówić. Dom na pewno pochodził z czasów koni i powozów. Chodniki były oświetlane przez gazowe lampy, które rozbłysły, gdy zapadła ciemność. Kilka połączonych ze sobą budynków gospodarczych, graniczących z podjazdem, było zbudowanych w tym samym stylu co dom. Ellen wskazała na otwarte drzwi jednego z pomieszczeń, gdzie paliło się światło. Amy pobiegła w tamtym kierunku.

Zanim kobiety doszły do garażu, już usłyszały piski zachwytu. Dopiero po chwili Maddy zorientowała się, co tak uradowało dziecko. W rogu pustego garażu stało kartonowe pudło wyściełane flanelą. W środku była kotka, a gromadka kociąt baraszkowała po usłanej słomą posadzce garażu. Były urocze: małe i puszyste. Dziewczynka klaskała na ich widok. Nachyliła się po jedno z kociąt.

– Tylko nie zrób mu krzywdy, kochanie – ostrzegła Maddy. Wiedziała, że ciężko będzie oderwać Amy od tych prześlicznych stworzonek.

– Niech się bawi – rzekła Ellen.

Wyszły z garażu. Maddy z lekkim niepokojem spojrzała do tyłu na córkę.

– Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku – powiedziała. Łagodnym zбочem ruszyły w kierunku ozdobnej żelaznej ławki. Usiadły. Stojąca obok lampa otulała je swoim żółtym światłem.

Zanosilo się na deszcz. W oddali stał mały, oszalowany domek, cały zarośnięty krzakami, wyglądający jak jednopokojowa chatka z latarnką u drzwi wejściowych. Mimo światła latarni trudno było stwierdzić, jakiego koloru były ściany tego budyneczku.

– Co to za cudeńko? – wykrzyknęła Maddy.

– To był domek zabaw mojego syna – odparła Ellen. – Właściwie jest to budynek historyczny. Kiedyś mieścił się tam warsztat blacharski. Wiele lat temu przenieśliśmy go tutaj i odnowiliśmy.

– Jest prześliczny. To dopiero będzie, jak Amy go zobaczy.

– Nikomu nie pozwalam tam się bawić – zaznaczyła nagle Ellen. Potem dodała przepraszająco: – To taka moja fanaberia.

Jak tylko to powiedziała, Maddy przyjrzała się uważniej i zobaczyła, że drzwi są zamknięte na kłódkę, a okna pozasłaniane. Poczowała się nieswojo, jakby w tym radośnie wyglądającym domku kryła się jakaś złowroga tajemnica.

– Och! Nic nie szkodzi – rzuciła pośpiesznie, wiedząc, że popełniła faux pas. – Zastanawiam się tylko, czy uda mi się ją oderwać od kociąt.

Ellen zdawała się nie słyszeć Maddy. Odezwała się dziwnym, beznamiętnym głosem.

– Mój syn miał na imię Ken. Zmarł, gdy miał pięć lat. Zapalenie opon mózgowych. Dzisiaj są jego urodziny. Skończyłby dwadzieścia jeden lat.

Maddy skamieniała, słysząc to wyznanie. Od początku wyczuwała coś strasznego w atmosferze tego domu. Nawet nie chciała pytać o chłopca. Był to największy koszmar, jaki można sobie wyobrazić. Całym sercem współczuła siedzącej obok kruchej kobiecie.

– To straszne – odezwała się cicho.

– Wrócił do domu z przedszkola i skarżył się na ból w karku. Trzy dni później już nie żył.

– Tak mi przykro. To musi być dla ciebie bardzo trudny dzień. Nie powinniśmy byli dziś przychodzić.

Ellen zaprzeczyła: – Nie jest gorszy od innych.

– Mogę sobie wyobrazić – ponuro dodała Maddy, chociaż wcale nie mogła. W żadnym razie.

Spojrzała na garaż. Widziała blond włoski Amy. Ellen spokojnie kiwała głową, siedziały tak w milczeniu, każda myśląc o swoim dziecku.

W końcu Ellen odezwała się: – Życie toczy się dalej.

Maddy westchnęła, wyczuwając gorzką ironię ukrytą w tym stwierdzeniu. – Tak.

– Charles mówił, że jesteś artystką.

– Robię witraże. Obok domu mam pracownię.

– Naprawdę? – zapytała Ellen.

– Na początku traktowałam to jako hobby. Później dostałam kilka zamówień, a ponieważ niezbyt lubiłam swoją pracę, więc...

– Czyli zajęłaś się tym zawodowo?

– Poniekąd. Część prac wstawiłam do miejscowej galerii. Trudno jednak zarobić w ten sposób na życie. Wtedy dostałam zamówienie na witraże w nowej kaplicy w kościele katolickim. To pociągnęło za sobą kolejne.

Ellen rzuciła ukradkowe spojrzenie na stojący w ciemności domek.

– To prawdziwe zrządzenie losu, że się spotkałyśmy. Myślałam o tym, by zrobić coś z tym domkiem. Może mogłabyś mi pomóc?

Powrót do tematu domku zamkniętego na trzy spusty poruszył Maddy. Starła się jednak zachować spokój.

– Myślałam o Kubusiu Puchatku.

– O Kubusiu Puchatku? – zapytała Maddy.

– No wiesz, w tym jego kubraczku – odparła Ellen. – No i tygrysek. Wspaniale wyglądałoby na oknach. Wyobrażam sobie, jak światło, przenikające przez nie, zostawia wzór na podłodze. Można to przenieść na okno?

Maddy zawahała się. Pomysł był dość dziwny, ale w końcu cały ten domek był relikwią, miejscem poświęconym pamięci jej syna. Maddy już wcześniej, na witrażach w kaplicy, przedstawiała zmarłych, o których pamiętali bliscy.

– Tak, to możliwe. Te stare okna są bardzo małe. Z pewnością chciałabyś je wymienić na nowe – dodała ostrożnie. – Można by zawiesić coś na łańcuszku. A może parę...

W drzwiach z tyłu domu ukazał się Charles Henson. I zawołał: – Paulina jest już gotowa!

– Już idziemy! – odrzyknęła Ellen, wstając gwałtownie z ławki i otrzepując dzinsy. – Więc jak, zajmiesz się tym...

Maddy podniosła się, była zdezorientowana tą rozmową.

– No cóż, najpierw musiałabym je zmierzyć.

– Sama to zrobię – stanowczo powiedziała Ellen. – Wtedy zadzwonię do ciebie.

Maddy nie chciała mówić, że sama wolałaby dokonać tego pomiaru. Miała wrażenie, że nic z tego nie wyjdzie. Czas w końcu to pokaże.

– A tego kotka Amy może sobie zabrać – oznajmiła nagle Ellen.

Maddy chciała zaprotestować, ale wiedziała, że to nic by nie dało. Mimo kruchości, Ellen okazała się osobą stanowczą. Dyskusja na nic by się nie zdała. Ona i Doug przyjechali tu, aby wyrazić swoją wdzięczność. Ciągle jednak czuła się dziwnie. Może to przez ten nieplanowany prezent. Pewnie tak. Wzięła Amy na ręce i tuląc ją mocno, udała się do domu.

Rozdział drugi

Mary Beth Cameron rzuciła na biurko ogromny segregator z aktualną ofertą nieruchomości. Otworzyła go na prospekcie pięknego domu z cegły w stylu kolonialnym, którego cena, niestety, znacznie przewyższała możliwości finansowe tej nieco zdenerwowanej, starannie ubranej pary siedzącej naprzeciwko. Obróciła katalog ofert, aby mogli dokładnie przypatrzeć się fotografii domu, leniwie pieszcząc ten niedostępny image wypielęgnowanym i pomalowanym na różowo paznokciem. Tych dwoje wpatrywało się w to zdjęcie jak Jaś i Małgosia oniemiała na widok chatki z pierników.

– Ten jest bardzo ładny – powiedziała Mary Beth, udając, że nie dostrzega ich niepokoju.

Znała swoją klientelę. Taylorsville zamieszkiwało wiele par jak ta. Niezbyt bogaci, by pozwolić sobie na przedmieścia wokół Manhattanu, ale skłonni dojeżdżać daleko do pracy, byleby tylko mieć imponujący dom. Tak więc przyjeżdżali na północ do Taylorsville z nadzieją na dobrą transakcję. Mary Beth czekała na nich.

– Jest trochę większy niż ten, o jakim państwo myśleliście – przyznała. – Ale ma wszystkie udogodnienia potrzebne młodej rodzinie.

– Hm, nie zamierzaliśmy tyle wydać – odparł mężczyzna.

Mary Beth spojrzała lekko zdziwiona.

– No cóż! – westchnęła, odwracając stronę tym samym różowym paznokciem. – Mamy też kilka uroczych nieruchomości, w cenie, jaką państwo są skłonni zapłacić. Popatrzmy.

Czuła, jak jej słowa poruszyły mężczyznę, zwłaszcza że żona tęsknie patrzyła na ten wymarzony dom, który teraz zniknął.

– Zawsze możemy do niego wrócić – uspokoiła ich Mary Beth.

Gdy tylko pochylili się nad następnym zdjęciem, Mary Beth niecierpliwie zerknęła na zegarek. Jak zwykle była już spóźniona. Zapadał zmierzch, a ona miała jeszcze jedną sprawę na dziś. Zawsze powtarzała swojemu mężowi, Frankowi, że pośrednictwo w handlu nieruchomościami to nie jest praca od siódmej do piętnastej. Trzeba pracować wtedy, gdy są klienci. Teraz właśnie tak było.

Rozległ się dzwonek, drzwi do Kessler Realty otworzyły się. Mary Beth uniosła głowę i ujrzała swoją córkę Heather wchodzącą do środka. Miała za złe recepcjonistce Sue, że wyszła punktualnie o piątej. Bardzo często największy ruch był właśnie wtedy, a Mary Beth nie lubiła pełnić kilku funkcji jednocześnie. Tutaj zarabiała pieniądze. Mimo lekkiego zdenerwowania uśmiechnęła się szeroko do Heather.

– Witaj, Heather!

– Cześć, mamó – odparła ponuro dziewczyna.

Mary Beth krytycznie przyjrzała się swej nastoletniej córce. Heather, pomyślała, jest podobna do rodziny Franka. Miała bladą i okrągłą jak talerz twarz. Oczy małe, jasnoszare i nijakiego koloru włosy opadające w strąkach do ramion. Miała dobrą figurę, ale nie robiła nic, aby ją utrzymać. Ubrania Heather nie podkreślały jej sylwetki. Nosiła obszerne ogrodniczki, z nie zapiętym ramiączkiem. Pod nimi miała powyciąganą bluzkę przypominającą raczej bieliznę. Niezawiązane trampki uzupełniały wygląd osoby z przytułku dla bezdomnych. Ilekroć Mary Beth zabierała córkę na zakupy, ta uparcie wybierała zupełnie nietwarzowe ubrania. Mimo że starała się wspierać ją w czasie procesu, Mary Beth nie zdziwiła się, że sędzia oddalił zarzuty przeciwko temu nauczycielowi. Niby dlaczego jakiś mężczyzna miałby zwrócić uwagę na mało atrakcyjną, opryskliwą Heather, kiedy w szkole jest tyle pięknych dziewcząt.

– Zaraz kończę – rzekła Mary, starając się zachować pozory profesjonalizmu. – Usiądź tam.

Heather zmierzyła matkę zmrużonymi oczyma. Przez ułamek sekundy ta poczuła się winna. Obiecała Heather, że o tej porze będzie już wolna, ale jak na złość przyszli klienci. Heather nie rozumiała, że należy korzystać z okazji, jeśli się nadarza.

– Przejrzyj sobie nowe czasopisma – zaproponowała.

To, że odezwała się jak recepcjonistka, zirytowało ją. Tak zaczynała w tym biurze i nie miała absolutnie zamiaru do tego wracać.

Heather przeszła do poczekalni, powłóczęc nogami, klapnęła na fotel i zaczęła przeglądać czasopisma.

– Ten wygląda ładnie – mężczyzna zwrócił się z nadzieją w głosie do rozczarowanej żony.

Mary Beth odwróciła się, by popatrzeć na ten dom.

– O tak, jest prześliczny. Można jeszcze wiele z nim zrobić.

– Może powinniśmy go zobaczyć – zaproponował. Na twarzy kobiety pojawił się grymas. Zadzwoił telefon.

– Obejrzyjcie państwo inne domy, a ja odbiorę.

Podnosząc słuchawkę, zauważyła, że Heather wstała i zaczęła spacerować po poczekalni, spoglądając na zegarek.

– Mary Beth Cameron – przedstawiła się wdzięcznie. – W czym mogę pomóc?

– Mamo, musimy już iść – odezwała się Heather.

Mary Beth wskazała bezradnie, by dziewczyna usiadła, ale ta zignorowała ją.

– Sama mówiłaś, że musimy tam być o szóstej – ciągnęła Heather beznamiętnym głosem. – Mam już dosyć czekania. Wychodzimy!

Mary Beth zakryła dłonią słuchawkę.

– Powiedziałaś, że zaraz będę gotowa – wyszeptała gniewnie.

Spojrzała na klientów. Na szczęście młoda para była pochłonięta przeglądaniem katalogu. Ponownie skupili się na domu kolonialnym. Żonie od razu poprawił się humor. Mary Beth

pokiwała głową i odwróciła się od pełnego wyrzutu wzroku córki. Heather wróciła do poczekalni i zapadła w fotel z głuchym odgłosem. Patrzyła prosto przed siebie, podczas gdy Mary Beth znów zajęła się klientami.

Frank Cameron, szef policji w Taylorsville, poruszył się na krześle i patrząc na zegarek, potrząsnął z obrzydzeniem głową.

– Pracuję, jestem bardzo zajęтым człowiekiem. Wie przecież, że mam na głowie milion spraw, a ona specjalnie każe mi czekać.

– Heather?

– Nie, jej matka – pogardliwie odparł Frank.

Doktor Larry Foreman wlał sobie dziesiąty już tego dnia kubek kawy i zaproponował też Cameronowi. Dwa razy w tygodniu pracował po południu i wtedy najczęściej w ogóle nie jadł obiadu. Kawa zastępowała mu jedzenie.

– Nieee. Piję tylko rano – odparł Frank. – Jeden kubek dziennie. Na przebudzenie. Później już nie. Kawa szkodzi na żołądek. Zdaje pan sobie z tego sprawę, prawda?

Doktor Foreman przytaknął i wsypał cukier.

– Gdyby miał pan piwo, chętnie bym się napił – dodał Frank.

Doktor Foreman wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Po drodze zatrzymał się na chwilę, by podziwiać swoje odbicie w oszklonych drzwiach biblioteczki. Prezentował się dobrze, jogging zmniejszył warstwę tłuszczu. Wyglądał bardzo dobrze w porównaniu z szefem policji, którego biała koszula i krawat przyciągały tylko wzrok do wystającego zza paska brzucha. Larry zajął miejsce w obrotowym, skórzanym fotelu. Wypił łyk kawy i ostrożnie umieścił filiżankę na serwetce.

– Dlaczego pan myśli, że żona robi to specjalnie?

– A dlaczego robi wszystko to, co robi? – prychnął Frank. – Żeby się wściekał. – Pokiwała głową. – A pan jest żonaty?

Doktor Foreman przytaknął. Frank wziął z biurka oprawioną fotografię lekarza z żoną i córkami. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym spojrzał na doktora.

– Będziecie się starać o syna? Czy już zrezygnowaliście?

– Nigdy nam na tym nie zależało – odparł chłodno Larry Foreman.

– Hm – wymamrotał Frank. – Ja mam syna, Franka juniora. Ożenił się, dostał dobrą pracę, wkrótce zostanie ojcem. Nigdy nie miałem z nim kłopotu. Ani przez chwilę. Mówi się, że z chłopakami jest więcej problemów niż z dziewczynami, ale mój Frankie... Był w miejscowej lidze, wszyscy go chwalili. Zawsze byłem z niego dumny.

– W przeciwieństwie do Heather – dodał doktor Foreman.

– Tylko bez przesłuchań, doktorze. Proszę. Z takimi jak pan mam do czynienia codziennie

w sądzie – skrzywił się Frank. – Myśli pan, że mnie pan oszuka, wtrącając te swoje uwagi. Ja to znam. Proszę mi dać spokój. Nie byłoby mnie tu, gdyby sędzia nie zalecił wizyty u psychiatry. A i żona wybrała pierwszy lepszy gabinet – dodał, starając się być bardzo złośliwym.

Doktor Foreman puścił mimo uszu wywód policjanta.

– Mówił pan, że jest bardzo dumny z syna...

– Z Heather też jestem dumny. Jestem dumny z nich obojga. To dobre dzieci. Ale Heather jest... przechodzi teraz trudny okres. Wielu nastolatków wpada w kłopoty. Ja to wiem najlepiej. Widzę ich codziennie w komisariacie. Pana dzieci jeszcze nie są w tym wieku, prawda?

Doktor Foreman ostrożnie potrząsnął głową i rzucił spojrzenie na zdjęcie na biurku.

– Niech pan poczeka. Zobaczy pan – ostrzegął go Frank. – Nawet dziewczyny. Coraz ich więcej. Niech mnie więc pan dobrze traktuje, to i ja potraktuję je łagodnie, gdy się zjawia.

Doktor Foreman zignorował uwagę na temat jego dzieci.

– U Heather to coś więcej niż tylko mały problem, Frank. Mogła przecież zrujnować życie i karierę temu nauczycielowi. To poważna sprawa...

Frank Cameron przyglądał się lekarzowi z kwaśną miną.

– Wolę, jak pan mówi do mnie: komendancie – zaznaczył.

– Tu nie jest pan jeszcze komendantem – odparł łagodnie Larry.

Frank zachichotał. Po czym, patrząc na doktora wilkiem, sprawdził, która godzina.

– Spóźni się na własny pogrzeb – wymamrotał. – Jezu Chryste!

Cisza, która nastąpiła, przytłoczyła Franka Camerona. Podniósł się z krzesła i zaczął chodzić po gabinecie jak pantera w klatce.

– Taaak, ładny ma pan gabinet – zauważył, wyglądając przez okno.

– Najlepsze sąsiedztwo, mnóstwo miejsca do parkowania. Pachnie tu szmałem. Nic dziwnego, że żona właśnie pana wybrała – prychnął. – Moja Mary Beth nabrała skłonności do tego, co najlepsze.

O szybko zaczął dzwonić deszcz. Frank przyglądał się ulicy, przy której mieściły się butiki.

– Gdy dorastałem w Taylorsville, było to bardzo miłe miasto. Ludzie się znali. Wtedy byli bogacze i robotnicy. Teraz mamy nową klasę: nowobogackich. Ludzie tacy jak moja żona widzą to i bardzo się z tego cieszą.

– Frank potrząsnął głową z dezaprobatą i głośno westchnął. – Kiedyś, mając problem, zwierzyło się księdzu albo topiło go w kieliszku. To świetnie działało. I chyba mieliśmy wtedy mniej szaleńców niż teraz. – Odwrócił się od okna i przyjrzał lekarzowi. – Myślę, że sami sprawiacie, że wasi pacjenci wariują. Nie spotkałem jeszcze psychiatry, który sam nie miałby jakiegoś problemu.

Larry Foreman uśmiechnął się z przymusem, powstrzymując grymas niezadowolenia. Nie miał zamiaru dać się zastraszyć temu gliniarzowi.

Radzenie sobie z ludźmi to jego zawód. Był w tym dobry i dlatego tyle mu płacono.

– Każdy ma jakiś problem, Frank – odparł zdecydowanie. – Nie pan jeden ma o nas takie zdanie. Ale nie jesteśmy tu po to, by rozmawiać na temat mojego zawodu czy kolegów. Musimy porozmawiać o Heather i o tym, co ją gryzie. Czy między panem i żoną są jakieś nieporozumienia?

– Nie mieszajmy do tego mojego małżeństwa. To Heather ma problem. Tym się powinien pan zająć. Skoncentrować się na Heather. Moją żoną zajmę się sam.

– Bardzo możliwe, że wasze problemy są przyczyną niepokojów Heather.

Frank smutno pokiwał głową. Ten grzmiący mężczyzna nagle stracił pewność siebie.

– Nie wiem, co ją gnębi – przyznał.

– Sądzi pan, że mówiła prawdę o tym nauczycielu? – zapytał doktor. Frank Cameron najeżył się na samą myśl o Douglasie Blake'u. Nieświadomie zwinął ręce w pięści, uderzając nimi w oparcie krzesła.

– Myślę, że to zboczeniec i dupek pierwsza klasa. On i ten jego śmieszny adwokat próbowali ze mnie zrobić wariata i sędzia na to poszedł. Wie pan, co powiedział o mnie? Stwierdził, że śledztwo nie było obiektywne! To cholernie boli – zakończył Frank.

– To znaczy, że wierzy pan Heather...

Frank wzdrygnął się.

– Nie wiem. Ona jest pokręcona. To tylko dziecko. Matka w niczym jej nie pomaga. Cóż, sam pan zobaczy, jak tu przyjdą. Jeśli w ogóle przyjdą. Do cholery! – wykrzyknął.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Zanim doktor Foreman zdążył zareagować, Frank podszedł do drzwi i otworzył je.

– Gdzie, do diabła, się podziewałyście? – zaatakował z miejsca. – Mam całe miasto do obejścia. Nie mam czasu na czekanie.

Mary Beth przeszła obok męża, zupełnie go ignorując, przeprosiła doktora Foremana i usiadła.

Heather weszła za matką, wzdrygając się przed ojcowskim pocałunkiem w czoło. Nie chciała siadać.

– Dlaczego oni tutaj są? – zapytała. – Myślałam, że to będzie seans dla mnie. Nie będę przy nich rozmawiać.

– Chciałem najpierw poznać twoją rodzinę – wytłumaczył lekarz.

– Doktorze Foreman – zaczęła konfidencjonalnym tonem Mary Beth. – Wiem, że chciał się pan spotkać z rodziną. Nie ma tu syna, bo nie uważałam za konieczne angażowanie go w tę sprawę. Ma bardzo ważną i dobrze płatną pracę, jego żona jest w ciąży z pierwszym dzieckiem, a poza tym mieszkają dobre pięćdziesiąt mil stąd.

– Młody Frank jest doskonały – dodała Heather. – Nigdy nie wpakował się w tarapaty. To

ich bohater.

– Bądź cicho, Heather – nakazał Frank.

– Wręcz przeciwnie – wtrącił się Larry. – Jesteśmy tutaj właśnie po to, aby rozmawiać. Żeby powiedzieć, co naprawdę myślimy...

Włączył się pager. Wszyscy spojrzeli na Franka, który już wyciągał go z kieszeni skórzanej kurtki.

– Czy mogę skorzystać z telefonu, doktorze?

– Jest na zewnątrz – odparł Larry.

Frank wstał i wyszedł z pokoju.

Mary Beth przewróciła oczami.

– To typowe – powiedziała. – Można by pomyśleć, że jest neurochirurgiem.

– No cóż, w Taylorsville może i jest spokojne, ale to przecież duże miasto.

– A on lubi się czuć ważny – dodała Mary Beth. – Zawsze musi być szefem.

Heather podeszła do okna i zaczęła gapić się bezmyślnie. Strugi deszczu spływały po szybach.

Po chwili Frank wrócił do gabinetu.

– Muszę iść – oznajmił.

– Frank, obiecałeś – zapiszczała Mary Beth.

– Jakaś nastolatka i dziecko, którym się opiekowała, nie wrócili na noc – zdenerwował się Frank.

– Boże! – Mary Beth zapadła w fotel, porażona wiadomością.

– Przepraszam, doktorze. Gdyby moja żona była na czas... A tamto jest pilne. Heather, kochanie – zwrócił się do córki. – Będziemy musieli to przełożyć.

Heather zeszywniała, ale się nie odezwała.

Larry popatrzył na twarz dziewczyny bladą i lodowatą jak wściekły księżyc, potem na jej ojca, odzianego od stóp do głów w mundur, niepodważalny dowód władzy nieznoszącej sprzeciwu. W końcu spojrział na zegarek.

– Heather – rzekł delikatnie, aby jej nie przestraszyć. – Może usiądziesz i wyjaśnimy sobie kilka spraw.

Heather, w odpowiedzi na jego cichy głos, odwróciła się od ojca. Posłusznie zajęła miejsce.

Rozdział trzeci

Frank Cameron wkroczył do pograżonej w chaosie komendy policji w Taylorsville. Obrzucił nieufnym wzrokiem pomieszczenie. Co najmniej sześć osób czatowało na niego z jakąś sprawą. Frank, z szeroką pierśią i stalowymi włosami, prezentował się imponująco. Jego wejście sprawiło, że gwar na moment przycichł. Wydawało się, że wkrótce wszystko się wyjaśni.

Na wprost niego siedziała, osamotniona jak bezludna wyspa, kobieta około czterdziestki, ubrana w mundurek kelnerki. W rękę ścisnęła szkolną fotografię nastolatki. Nie zwróciła uwagi na wchodzącego, była jak w transie.

– Kto to jest? – cichym głosem zapytał jednego ze swoich oficerów.

– Pani Starnes, matka zaginionej – wyszeptał Len Wickes. Frank pokiwał głową. Następnie przyjrzał się młodej parze skupionej nad biurkiem szefa detektywów, Pete’a Miliarda. Odwrócili się, gdy tylko wszedł, i patrzyli na niego pełnym rozpaczy głosem. Pete też spojrział znad biurka.

– Szefie – odezwał się. – To są rodzice zaginionego dziecka, Donna i Johnny Wallace.

Frank uściśnął im dłonie. Twarz Donny była czerwona od płaczu. Johnny który sam wyglądał jeszcze jak dziecko, starał się jak mógł uspokoić żonę, co przychodziło mu z trudem. Ubrany był w dzinsy i flanelową koszulę, które nosił do pracy na budowie u DeBartolo Brothers. Donna miała na sobie źle dopasowaną suknię w kwiaty i pantofle, w które ubrana była najpierw w pracy w banku, a potem na wieczorze panińskim u koleżanki ze szkoły średniej.

– Właśnie opowiadali mi, co się stało – dodał Pete.

– Już trzeci raz opowiadamy – poskarżyła się Donna.

– Opowiedzcie jeszcze raz – rzekł Frank.

– Otóż – z bólem zaczęła Donna – zazwyczaj zostawał z moją mamą, ale miała dzisiaj wizyty u dwóch lekarzy, więc skoro Rebeka miała dzień wolny... – Rozpląkała się i załamała rękę. – Dlaczego pozwoliłam jej go zabrać?...

Sandi Starnes, matka zaginionej opiekunki, wzdrygnęła się na to oskarżenie. Chciała krzyknąć, że Rebeka to dobra dziewczyna i że oni to też wiedzieli, i że cokolwiek przydarzyło się dziecku, przydarzyło się również Rebecce... Zmusiła się, by przestać myśleć. Wyłączyła się. Zdecydowała, że jedyny sposób, by przetrwać, to siedzieć nieruchomo i pozwolić duszy oderwać się od ciała. Widziała w telewizji program o wykorzystaniu medytacji w walce ze stresem. Teraz próbowała to zastosować.

– No dobrze – Frank kiwnął na Pete’a Miliarda, detektywa w średnim wieku, który spisywał zeznanie Wallace’ów. – Streść mi to.

Pete szybko i wyczerpująco przedstawił sytuację, a przynajmniej to, co udało się ustalić. Rebeka Starnes pilnowała dziecka w domu swojej matki przez cały ranek. W czasie lunchu, gdy

Sandi wyszła do pracy, postanowiła zabrać dziecko na spacer, z którego już nie wrócili. Donna Wallace z mężem trzymającym się za nią, starali się wtrącać szczegóły głosem pełnym strachu. Frank, który nie był zbyt cierpliwym człowiekiem, znosił jednak uwagi oszalałej ze strachu matki i tylko raz zwrócił jej łagodnie uwagę, że przeszkadza.

Gdy Pete Miliard skończył, Frank spojrzął na fotografię Justina Wallace'a, którą podtykali mu jego rodzice. Tak mało jest niewinnych rzeczy na tym świecie, pomyślał, patrząc na tę łagodną, dziecinną twarzyczkę. W swojej pracy widział już każdy rodzaj okrucieństwa dokonany na najniewinniejszych istotach na świecie – często przez tych, którzy twierdzili, że kochają je najbardziej. Podświadomie poczuł strach, który postanowił stłumić. Odsunął zdjęcie.

– Dobrze, państwo Wallace. Znam już sytuację. Zazwyczaj, gdy mamy zgłoszenie zaginięcia, rozpoczynamy poszukiwania dopiero po upływie czterdziestu ośmiu go...

– Czterdzieści osiem godzin! – zapisała Donna. – Pan chyba jest...

Frank uniósł rękę, by ją uspokoić.

– Ale w przypadku dzieci – a jedno i drugie nimi są – rozpoczynamy poszukiwania natychmiast – dokończył. I zaraz zaczął wydawać polecenia: – Uruchomić gorącą linię! Musimy to nagłośnić. Zorganizujcie współpracę prasy w tej sprawie. Potrzebna nam też pomoc pozostałych posterunków.

– Wszystko już uruchomiłem – zapewnił Pete.

– Dobrze – skwitował Frank. – Może to na wyrost, ale kiedy giną dzieci, nie ma żartów.

Odwrócił się. Jego przenikliwe spojrzenie padło na Sandi, która siedziała nieporuszona. Na białej bluzce miała keczup i wyglądała na oszołomioną, jakby dopiero co się obudziła. Frank podszedł do niej i usiadł na sąsiednim krześle.

– Tak – zaczął. – Rebeka to pani córka...

Sandi wpatrywała się w komendanta nieprzytomnym wzrokiem.

– Stało się coś strasznego – wyszeptała.

Frank kiwnął głową.

– No tak, ale nie wiemy jeszcze dokładnie co, prawda? I dlatego musimy się dowiedzieć. Czy nie sądzi pani, że to może być jakieś nieporozumienie? Wszyscy mówimy tu o porwaniu, ale... Czy nie może być tak, że Rebeka zabrała dziecko i poszła do kogoś, do koleżanki, rodziny...?

– Już o to pytałem – wtrącił się Miliard.

– Ale teraz ja pytam – warknął Frank. I łagodniej zwrócił się do Sandi: – Co pani o tym sądzi?

Sandi wiedziała dokładnie, czego od niej oczekiwał. Żeby mu dała listę osób, z którymi roztrzępana panna się spotykała albo do których wpadała dla zabicia czasu. Kogoś, kto mógł pochłonąć uwagę nieodpowiedzialnej nastolatki do tego stopnia, że zapomniała o bożym świecie i nie wróciła na czas z dzieckiem, ani nawet nie zadzwoniła. O to mu chodziło.

- Nie ma nikogo takiego – wyszeptała.
- Czy to znaczy, że nie macie przyjaciół, rodziny? A ojciec?
- Ożenił się ponownie i mieszka w Massachusetts.

Frank Cameron drgnął.

- Może przyjechał... Może zjawił się w domu po pani wyjściu?

Sandi przemyślała to. Bud Sterns nie był najgorszym ojcem, ale niezapowiedziane wizyty nie były w jego stylu. Wypełniał sumiennie swoje obowiązki względem Rebeki, ale to było wszystko.

- Widzę, że się pani waha – drążył Frank. Odwrócił się do Miliarda: – Mamy adres ojca?

- Już dzwoniłem. Nikt nie odbiera.

– Próbuje dalej – rozkazał Frank. I powrócił do matki Rebeki: – Czy córka nie mówiła, gdzie zamierza zabrać dziecko? Miała jakieś ulubione miejsce?

Na to pytanie Sandi potrafiła odpowiedzieć:

– Lubiła zabierać go nad rzekę, oglądać wędkarzy. Czasami chodziła do centrum handlowego albo do parku. Lubiła Binney Park. Ale nic nie mówiła tym razem.

– Przeszukać te miejsca – rozkazał Frank policjantom z ekipy. – Każdy, kto mógł ich widzieć, ma być przesłuchany. Jasne?! Każdy. Pracownicy sklepów, straganów, czegokolwiek w tych miejscach. Przecież nie zapadli się pod ziemię. Ktoś musiał ich widzieć. Trzeba ustalić, gdzie ich ostatnio widziano. Macie sprawdzić, kto pracował wtedy na dworcu kolejowym i autobusowym. Chcę wiedzieć, czy Rebeka kupowała dziś bilet, a jeśli tak, to dokąd i z kim. Wszyscy wyruszają. Nie chcę tu widzieć nikogo!

- Tak jest! – odparł Pete i zwrócił się do reszty policjantów: – No to do roboty, panowie.

Frank odwrócił się znowu do Sandi.

– Zna pani ich dobrze? – Wskazał na Wallace'ów. Donna opierała się na ramieniu męża, a jej łzy pozostawiały mokre plamy na jego kraciastej koszuli.

Sandi popatrzyła na nich. Jeszcze rano powiedziałyby, że tak. Byli sąsiadami, mieszkali dwa domy dalej i byli zawsze bardzo grzeczni. Zimą Johnny odśnieżał jej chodnik, bo nie miała męża, który by się tym zajął. Siadały na jej patio z Donna, gdy ta była jeszcze na urlopie macierzyńskim. Sandi uwielbiała małe dzieci, a Donna lubiła chwalić się synkiem, jak zresztą każda matka. Tak, jeszcze rano powiedziałyby, że to przyjaciele i że znali się dobrze. Teraz jednak wiedziała, że to nieprawda. Sama słyszała, jak oskarżali jej córkę, że zabrała ich dziecko. Nikt, kto naprawdę znał Rebeke, nie mógłby tego powiedzieć.

- Znamy się – odparła w końcu. – Mieszkamy na tej samej ulicy.

- I Rebeka już wcześniej zajmowała się Justinem? – upewniał się komendant.

- Dostyc często – przytaknęła Sandi.

- Pani Starnes, a czy pani córka nie ma jakichś zaburzeń umysłowych?

Sandi spojrzała na niego zdumiona. O co ten człowiek pytał? Czy on uważa, że Rebeka jest szalona albo... że to kryminalistka?!

Odwróciła wzrok. Spojrzała na fotografię, której nie wypuszczała z zaciśniętej dłoni. Oblizła niewiarygodnie suche wargi. Mocno głowiła się, jak mu to powiedzieć, żeby zrozumiał.

Zacisnęła usta i podniosła oczy. Wpatrując się w niego intensywnie, uniosła zdjęcie ślicznej, uśmiechniętej nastolatki ze złotym wisiorkiem w kształcie serca na szyi i trzymała je tak długo, aż musiał na nie spojrzeć.

– Przecież to... to jest... Rebeka – rzekła w końcu.

Widziała, że jednak nie zrozumiał.

Rozdział czwarty

Charles Henson otworzył drzwi i wyjrzał na deszcz. Zza jego pleców Maddy Blake zerknęła na podjazd połyskujący światłem i zadrżała.

– Ten wiatr sprawia, że wydaje się, jakby ktoś jęczał – zauważyła.

– Zrobiło się paskudnie – przyznał Charles. – Potrzebujecie parasolki? Mamy kilka zapasowych.

Doug wyjrzał zza ramienia żony.

– Dziękujemy, czeka nas tylko droga do samochodu.

Silny wiatr zaczął zimnym deszczem o ich plecy, gdy spiesznie zegnali się na progu domu Hensonów.

– Czekaście! – krzyknęła Ellen, gdy już mieli biec do samochodu.

Z szafy w holu wyciągnęła płaszcz przeciwdeszczowy.

– O co chodzi, kochanie? – z niepokojem zapytał Charles, kiedy żona wybiegła z domu. – Dokąd ona idzie?

– Nie wiem – odparła Maddy. – Kochanie, mógłbyś wziąć Amy na ręce?

– Oczywiście – zgodził się Doug.

Kucnął i podniósł córkę ściskającą nieodłączną małą Amy. Amy położyła głowę na ramieniu ojca i cicho zakwiliła.

– Jest zmęczona – z uśmiechem powiedziała Maddy. Starła się wypełnić czas oczekiwania na powrót Ellen. – To był wspaniały wieczór – dodała po raz kolejny.

– Bardzo się cieszymy, że mogliście przyjść – zapewnił Charles wypatrując żony w ciemnościach.

– No, jestem – usłyszeli i zobaczyli Ellen, która wyglądała jak żółta, winylowa zjawa.

Trzymała przykrywany wiklinowy koszyk. Uniosła wieczko i z nieśmiałym uśmiechem pokazała Amy, która ciekawie zajrzała do koszyka. Dziecko krzyknęło z uciechy:

– Kotek!

Maddy z niedowierzaniem zajrzała do koszyka. Na złożonej gazecie leżał mały, czarny kot.

– O! – zdziwiła się.

– Chcieliście jednego, prawda? – Ellen upewniła się.

Doug rzucił żonie ostrzegawcze spojrzenie. – Oczywiście, myśleliśmy o tym, by kupić kota.

– Jest wspaniały – dodała Maddy. – Tyle tylko, że nie jesteśmy przygotowani.

– Nie szkodzi, pomyślałam o tym. Przed kolacją zapakowałam wam trochę gazet i dwie puszki jedzenia dla kotów. Torba jest w samochodzie. To wystarczy do jutra.

– Mój kotek! – cieszyła się dziewczynka.

– Dziękujemy. To bardzo miłe z twojej strony – dodał Doug.

Zawstydzona wdzięcznością Douga, Maddy z wymuszonym uśmiechem dorzuciła:

– Tak, dziękujemy wam bardzo za wszystko.

– No to biegniemy – zarządził Doug.

Popędzili do samochodu. Maddy otworzyła tylne drzwi i postawiła koszyk na siedzeniu obok Amy, którą Doug przypiął pasami do fotelika. Oboje usiedli na swoich miejscach i zatrzasnęli drzwi.

– Och! – westchnęła Maddy, otrzepując włosy z deszczu, odwróciła się i pokiwała Charlesowi i Ellen. Ich niewyraźne cienie chwiały się w złocistym świetle.

– Włączę ogrzewanie – oznajmił Doug, gdy opuszczali podjazd.

– Dobry pomysł – zgodziła się.

Na tylnym siedzeniu Amy pomiaukiwała na zmianę z kotem.

– Musisz pomyśleć o imieniu dla niego, kochanie – zauważyła Maddy.

– On się nazywa Blacky – oznajmiła dziewczynka.

– To ładne imię – zgodziła się Maddy, wpatrując się w szybę, po której ze świstem przesuwają się wycieraczki. Po chwili rzuciła: – Okropny wieczór.

– Nie wiedziałem, że było aż tak źle.

– Nie o to chodzi – wyjaśniła. – Mam na myśli pogodę. – Na chwilę się zamyśliła. – Uważam jednak, że podarowanie nam tego kota jest co najmniej dziwne.

– A może po prostu myślała, że Amy się ucieszy.

– Hm – zastanowiła się Maddy. – Na pewno nie miała nic złego na myśli, ale jest w tym coś dziwnego.

– Bogaci to ekscentrycy – odpowiedział Doug. – Boże, ciekawe jak to jest – być bogatym.

– Wydaje się, że są samotni.

– Nie miałbym nic przeciwko takiej samotności – zauważył. – Służący, ziemia, piękne samochody, drogie rzeczy.

– Szczęście, które można kupić za pieniądze – skwitowała.

– Nie mów tak, skoro nie próbowałaś. My w takim tempie nigdy się nie dorobimy.

– O co ci chodzi? – zapytała Maddy. – Co złego jest w naszym sposobie życia.

– Ależ nic – odpowiedział. – Tyle, że miło jest od czasu do czasu zasmakować luksusu.

– Uważam, że całkiem nieźle sobie radzimy – zaprotestowała. Powstrzymała się przed przypomnieniem mu, że wszystkie oszczędności nadzieja na lepsze życie – teraz miały znaleźć się w kieszeni Charlesa Hensona. Nie można było jednak winić za to Douga. Za wszelką cenę musiał bronić się przed tymi nieprawdopodobnymi zarzutami Heather Cameron.

– Tak, żyjemy sobie całkiem dobrze – przytaknął Doug. Pochylił się nad kierownicą, wpatrując się w drogę. – Boże, ale leje. Powinniśmy byli wziąć te parasolki.

– Chcę zobaczyć Blacky’ego – zawołała Amy z tylnego siedzenia.

– Nie teraz, kochanie – automatycznie powiedziała Maddy pilnie śledząc drogę, po której samochód posuwał się w żółtym tempie. – Tatuś próbuje się skoncentrować. Obejrzyj Blacky’ego w domu.

Jechali w milczeniu kilka chwil, dopóki deszcz nie zelżał. Wtedy Doug wyprostował się na siedzeniu, a samochód mógł jechać szybciej. Maddy także trochę się odprężyła i zaczęła rozmyślać nad reakcją Douga na bogactwo Hensonów. Wiedziała, że zawsze czuł się oszukany przez los, który pozbawił go szansy na pieniądze i sławę. Kiedy go poznała, kontuzja kolana zakończyła jego karierę bejsbolisty w czołowej drużynie ligowej. Gdy się poznali, był w złym stanie psychicznym. Lubiła myśleć, że jej miłość pomoże mu przetrwać to rozczarowanie. Czasami jednak wydawało się jej, że pozostał zgorzkniały.

– Wiesz przecież, Doug, że pieniądze to nie wszystko.

– Jasne, ale wtedy gdy masz ich dużo – z drwiną przytaknął.

– Ich jedyny syn zmarł. Wiedziałaś o tym?

– Naprawdę?! – wykrzyknął.

Maddy kiwnęła głową. – Miał pięć lat. Zapalenie opon mózgowych. Dzisiaj są jego urodziny.

– Jezu! – wykrzyknął. – To okropne. Charles nigdy o tym nie wspominał. Nie poruszaliśmy spraw osobistych, to znaczy jego spraw.

– Wiem – odparła Maddy. – Mówię tylko, że oni też swoje przeszli.

– No tak – zgodził się Doug.

– W porównaniu z ich nieszczęściem my nie mamy żadnych zmartwień – dodała.

– Tak, masz rację – przyznał nieobecnym głosem.

– Blacky to dobry kotek – odezwała się cienkim głosem Amy, ich szczęście.

Maddy uśmiechnęła się. Córka była dla nich nieustającym źródłem radości. Pierwszy rok był bardzo ciężki. Nie planowali dziecka tak wcześnie. Doug dopiero co rozpoczął pracę w szkole, nie mogąc pogodzić się z przerwana karierą. Zachęcała go, żeby zajął się nauczaniem między innymi dlatego, że miała wiele szacunku do nieżyjącego już ojca – nauczyciela. Wydawało jej się, że powinna być żoną nauczyciela. Wiele razy w tym pierwszym roku zastanawiała się, czy Doug kiedykolwiek się przystosuje. Był przytłoczony nową pracą i ojcostwem. Ale i jej czasami wydawało się, że nie dojrzała do macierzyństwa. Jednak sobie poradzili. Nic nie mogło im przynieść tyle radości w życiu, co małe dziecko. Pomyślała o Ellen i Charlesie. Biedni ludzie, jak wiele musieli wycierpieć. Potrząsnęła głową i przyjrzała się własnemu odbiciu w bocznej szybie pokrytej kroplami deszczu. Nie chciałabym być na ich miejscu za żadne pieniądze świata, pomyślała.

– Do diabła! – krzyknął w tym momencie Doug.

Maddy odwróciła się szybko. Ciemny cień przysłonił twarz męża.

– Blacky! – zawołała Amy.

Przez moment Maddy nie wiedziała, co się dzieje. Po chwili zobaczyła pusty otwarty koszyk, wyciągnięte do ojca rączki dziecka, zadrapania na jego twarzy i krew, błyszcząca w ciemnościach samochodu. Kot piszczał. Oszołomiona Maddy usłyszała pisk hamulców. Blacky zeskoczył z ramienia Douga na deskę rozdzielczą. Przez chwilę niesamowite oczy kota z wąskimi szparkami źrenic wpatrywały się w nią. Światła nadjeżdżającego samochodu rzuciły blask na kota, jego zjeżoną czarną sierść – wyraźnie rozdrażnionego. Samochód z naprzeciwka oślepił ją. Usłyszała krzyk Douga desperacko zaciskającego palce na kierownicy:

– Trzymaj się!

– Amy! – wrzasnęła Maddy, gdy samochód wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i zawirował, nim się zatrzymał.

Rozdział piąty

Mimo późnej pory w poczekalni szpitala było gwarno. Personel chodził tam i z powrotem, skrzypiąc gumowymi podszewkami po wypolerowanej podłodze. Miły głos dochodzący z radiowęzła wzywał lekarzy. Maddy trzymała córkę i głaszcząc ją po plecach, przechadzała się wraz z Ruth Crandall, matką Ginny, jednej z koleżanek Amy.

– Ruth, nie wiem, jak ci dziękować, że przyjechałaś – odezwała się Maddy.

– Ach, daj spokój. Cieszę się, że mogę ci pomóc.

– Pojedziesz z panią Ruth, kochanie – miękko zwróciła się do córki. – Zabierze cię, razem z George'em, do jej domu.

– Tak właśnie zrobię – wesoło odezwała się Ruth. – Ginni bardzo się cieszy i nie może doczekać się twojego przyjazdu. Będziecie spały razem w jej pokoju.

Maddy uściśliła mocno swoje dziecko, mimo woli wracając do wypadku. Miała jeszcze w uszach ten niesamowity hałas, gdy wpadli w poślizg. A potem ten wszechogarniający strach, gdy nie wiedziała, co dzieje się z córką. Tę chwilę zapamięta do końca życia.

– Kocham cię bardziej niż kogokolwiek na świecie – powiedziała do Amy.

– Chodź, kochanie – zawołała ją Ruth, starając się przełamać opór dziewczynki.

Po chwili Amy przytuliła się do znajomych ramion, ściskając nieodłączną małą rączkę w pulchnej rączce.

– Przyjadę po nią rano – obiecała Maddy. – Śpij dobrze, aniołku. Pocałowała ją delikatnie w policzki, niechętnie się z nią rozstając. Stała za wahadłowymi drzwiami i machała do oddalających się w mroku postaci. Z ciężkim sercem wróciła do poczekalni.

– Maddy! – usłyszała znajomy głos.

Odwróciła się, jej twarz pojaśniała na widok zbliżającego się do niej mężczyzny. W oczach miał zatroskanie.

– Ksiądz Nick! – zaczęła.

– Wystarczy Nick – poprawił ją. – Ile razy muszę ci powtarzać?

– To przez tę koloratkę – tłumaczyła. – To jest automatyczne.

Nick Rylander westchnął i mocno pociągnął koloratkę, jakby była za ciasna.

– Byłem dzisiaj z cotygodniową wizytą w więzieniu. Zawsze noszę tam moją broń. Nie chcę, by ktoś wziął mnie za więźnia i przez pomyłkę wpakował do celi.

Maddy uśmiechnęła się lekko.

– Wcale ci się nie dziwię. Jestem pewna, że wizyty w takim miejscu nie należą do przyjemności.

– Nie przeszkadza mi to. Dzisiaj nawet byłem zadowolony. Zwolniono mężczyznę, którym

opiekowałem się od kilku lat. W pewnym sensie sprawiał kłopot. Odsiadywał wyrok za morderstwo, a przez cały ten czas utrzymywał, że jest niewinny. Niedawno aresztowali faceta za podobną zbrodnię, który przyznał się również do tamtego przestępstwa. Tak więc „mojego” więźnia wypuścili. To był właściwie radosny dzień. Ale mniejsza z tym – dodał niecierpliwie. – A co ty robisz tutaj o tej porze?

– Mieliliśmy dzisiaj wieczorem wypadek.

– Niemożliwe! – powiedział. Niepokój w jego głosie zadziwił ją.

– Jak to się stało?

Maddy opowiedziała o wizycie u Hensonów, o ucieczce kota z koszyka, a wreszcie o samym wypadku.

– Doug jest teraz w izbie przyjęć. Właśnie się tam wybieram.

– Czy jest poważnie ranny?

– Próbuję się dowiedzieć. Chodzę za pielęgniarkami, ale nie chcą mi udzielić żadnej informacji.

Nerwowo bawiła się srebrną bransoletką na szczupłym nadgarstku. Ma takie delikatne nadgarstki, jak zapalki, pomyślał.

– A co z Amy? Gdzie ona teraz jest?

– Moja sąsiadka właśnie zabrała ją do siebie. Z nią, dzięki Bogu, wszystko w porządku. W całym tym zamieszaniu kot umknął do lasu. Nie mogliśmy go nigdzie znaleźć. Amy tym była najbardziej przejęta.

– Nic mu nie będzie – pocieszył Nick. – Wiesz, że koty zawsze spadają na cztery łapy.

– Mam nadzieję.

– Ludzie też – dodał. – Nie martw się. Maddy pokiwała głową.

– Obyś miał rację.

– Pójdę z tobą – zaproponował.

– Jest tak późno. Ojciec... Nick – poprawiła się. – Na pewno musisz już iść.

– Ależ skąd – zaprotestował, lekko dotykając jej łokcia.

– Zapomniałam – powiedziała z odrobiną ironii. – Przecież to twoja praca.

Nicholas Rylander nie odezwał się tym razem. Poprowadził ją korytarzem, podtrzymując delikatnie. Patrzył ukradkiem na jej zmęczoną, napiętą twarz. Wiedział o oskarżeniach, które wysunęła przeciw Dougowi ta nastolatka, choć Maddy nigdy mu o tym nie wspominała. Wszyscy w mieście wiedzieli. Maddy bardzo dzielnie przez to wszystko przeszła, taka wierna – żona, której nic nie jest w stanie załamać. Teraz z ciemnymi włosami do ramion i piegami na twarzy sama wyglądała jak nastolatka.

– Wiele ostatnio przeszłaś – odezwał się.

Maddy zaczęła płaczliwie:

– Jaka byłam głupia. Przecież można było tego uniknąć. Mam wyrzuty sumienia wobec ludzi w tym drugim samochodzie. Zabrali ich karetką. O nich też nic nie wiem, a przecież to była nasza wina... Nick.

– Daj spokój – przerwał jej.

– Naprawdę. To znaczy, był to wypadek, ale gdyby nie ten kot...

– To był wypadek – rzekł stanowczo. – Tak wyglądają wypadki.

– Może masz rację – westchnęła. – Jesteśmy na miejscu. Maddy pośpieszyła do stanowiska pielęgniarek i zapytała o Douga.

– Nie mam żadnych informacji – odparła z rozdrażnieniem siostra pełniąca dyżur.

– Ale ja muszę coś wiedzieć. Cokolwiek – błagała Maddy.

– Pani McCarthy – odezwał się Nick, lekko pochylając się nad biurkiem. – Będziemy w poczekalni. Bardzo byłbym wdzięczny, gdyby mogła się pani dowiedzieć czegoś o panu Blake’u.

Pielęgniarka spojrzała na niego zaskoczona i zarumieniła się.

– Oczywiście, ojcie Nick – powiedziała pobożnie, ciesząc się z możliwości niesienia pomocy księdzu ze swojej parafii.

– Chodźmy więc i usiądźmy – zarządził Nick.

Maddy niechętnie pozwoliła mu poprowadzić się do poczekalni oświetlonej bardziej niż korytarze. W poczekalni były pomarańczowo-turkusowe krzesła, pudło z zabawkami i duży wybór czasopism rozrzuconych na stolikach, spod sufitu zwiisał cicho włączony telewizor. Usiadła na krześle tyłem do telewizora. Nick podszedł do automatu i kupił dwie kawy. W poczekalni było tylko kilka osób. Siedzące w rogu, przy oknie dwie kobiety robiły na drutach i cicho rozmawiały. Każda miała ze sobą płócienną torbę wypchaną wszystkimi rzeczami niezbędnymi do dłuższego pobytu w tym przybytku. Przy drzwiach siedziała zdenerwowana para w średnim wieku. Ciągłe wyglądali przez drzwi, więc było oczywiste, że czekają na lekarza.

Nick przyniósł kawę i podał jej styropianowy kubek.

Maddy popatrzyła smutno na parujący napój. – Myślę, że mogę sobie pozwolić. I tak nie będę dzisiaj spać.

Nick pokiwał głową i upił łyk.

– Ja też nie.

– A ty jaką masz wymówkę? – zapytała.

– Pakowanie. Wiesz. Finalizuję tutaj różne sprawy.

– Rzeczywiście, przecież ty wyjeżdżasz! – wykrzyknęła. Dopiero teraz spostrzegła, że jego ładna i zamyślona twarz wygląda na zmizerowaną. – Kiedy? Tak bardzo byłam zajęta swoimi problemami, że...

Problemami twojego męża, pomyślał i wbrew sobie poczuł niesmak. Wiedział, że Doug

został oczyszczony z zarzutów. To powinno oznaczać koniec sprawy. Ostatecznie czyż on sam nie był dzisiaj świadkiem, jak niewinny człowiek został, po kilku latach pobytu w więzieniu, zwolniony.

A jednak zastanawiał się nad Dougem Blakiem. Miał niby przyjacielski sposób bycia, ale w jego oczach było coś zimnego, pomyślał. A może, jeśli już miał być szczery, sama myśl, że zostawia Maddy jemu, sprawiała, że niezbyt lubił Douga Blake'a. Choć z drugiej strony...

– Nick?

– Właściwie wyjeżdżam pojutrze – odparł. – Albo przynajmniej mam taką nadzieję.

– Tak szybko!?! – zdziwiła się zasmucona. – Dopiero się poznaliśmy.

Spotkała go, gdy zaczęła pracę nad witrażami do nowej kaplicy w jego kościele. Szybko zauważyła, że łatwo jej się z nim rozmawiało.

– Czy kościół, do którego jedziesz, jest mniejszy? Gdzie to jest? W Nowej Szkocji, tak?

– Tak. Właściwie to nie jadę do kościoła.

– Nie?

Poruszył się w krześle, jakby nie odpowiadał mu ten temat.

– Będę nadzorował prace restauracyjne w pewnym starym klasztorze.

Maddy chciała zapytać, dlaczego, ale wyczuła, że nie bardzo chciał o tym mówić.

– Będzie mi ciebie brakowało – wyznała.

Nick zachnął się i rozejrzał wokół. Jego wzrok padł na ekran telewizora.

– Słyszałaś o tym? – zapytał zatroskany.

Maddy odwróciła się na krześle i podążyła za jego wzrokiem. Na ekranie ujrzała kobietę w kwiecistej sukni, z potarganymi włosami. Oczy miała czerwone od płaczu. Obok niej stał młody człowiek z krótką, gęstą brodą. Kobieta informowała, jak ubrane było jej zaginione dziecko. Gdy zaczęła opisywać czerwony sweterek z dalmatyńczykami zrobiony na drutach przez babcię, rozplakała się. W dole ekranu przesuwaly się numery telefonów gorącej linii. Maddy z niedowierzaniem przyglądała się scenie.

– Co się stało?

– Zniknęła opiekunka do dziecka z małym chłopcem dziś w naszym mieście – wyjaśnił Nick.

– O mój Boże, to okropne. Oni sami wyglądają jak para dzieciaków.

W tej chwili w wejściu do poczekalni pojawił się Doug doprowadzony tu przez pielęgniarkę, panią McCarthy.

Twarz Maddy rozjaśniła się. Wstała z krzesła i podbiegła do męża.

– Kochanie! – zawołała. – Jak się czujesz? Co mówią lekarze? Nick także się podniósł i wyciągnął dłoń do Douga. Ten jednak wskazując na swoje ramię ręką, uniknął uścisku.

– Jest trochę sztywne – wyjaśnił.

– Jak się pan miewa? – zapytał Nick, zastanawiając się, czy był to afront.

Doug wzdrygnął się.

– Wszystko w porządku. Lekarz uważa, że wykręciłem sobie ramię. Ale nie chcą mnie jeszcze puścić. Czekają na wyniki prześwietlenia.

– Ale chyba nic nie jest złamane? – dopytywała się Maddy. Doug zaprzeczył.

– Całe szczęście – z ulgą odetchnęła Maddy.

– Na mnie już czas – pożegnał się Nick. – Dobranoc.

– Dziękuję ci za wszystko. A jeśli miałbym cię już nie zobaczyć... Pokiwał im, nie oglądając się za siebie.

Doug usiadł ciężko na krześle, które Nick właśnie zwolnił.

– Podać ci coś? – zaoferowała Maddy. – Kawę albo wodę?

– Czego on chciał? – zapytał. Maddy poczuła się urażona.

– Dotrzymywał mi towarzystwa. Spotkałam go w poczekalni, kiedy Ruth przyszła zabrać Amy.

– Cóż za zbieg okoliczności – zauważył, odprowadzając księdza wzrokiem.

Maddy odparowała: – To ksiądz, odwiedza chorych. Doug zakrył oczy ręką.

– Wiem – odpowiedział zmęczonym głosem. – Zapomnij o tym, jestem w kiepskim nastroju.

Ciągle nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Jeszcze tego brakowało.

Maddy przytaknęła.

– Wszystko przez tego cholernego kota, Blacky’ego – denerwował się, kręcąc głową.

– Koty przynoszą pecha. Próbowałam cię ostrzec – droczyła się z nim, głaszcząc jego ramię.

– I tak mamy szczęście. Tobie nic poważnego się nie stało, Amy jest cała i zdrowa, a samochód będzie gotowy jutro. Facet z warsztatu powiedział, że to tylko opona.

Przypatrywał jej się przez chwilę. Maddy dostrzegła w jego spojrzeniu odrobinę fałszu. Odsunęła się od niego porażona. W wejściu zjawiała się znów pielęgniarka i skinęła na niego.

– Muszę iść – powiedział, wstając. – Jedź do domu. Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa.

– Poczekam – zapewniła cicho, unikając jego wzroku.

Doug poklepał ją po ramieniu i wyszedł z pielęgniarką. Roztrzęsiona Maddy przyglądała mu się, gdy odchodził. Jest zmęczony, tłumaczyła sobie. Wiedziała, że czasami jej optymizm bardzo go denerwował. Wzięła do ręki stare numery „People” i próbowała czytać. Dopóki szczupła kobieta o kasztanowych, kręconych włosach i w okularach nie usiadła naprzeciwko. Gwałtownie kołysała śpiące, przytulone do jej piersi dziecko. Z buźki wystawał smoczek, małe ciało spowite było w jasnoniebieski sweterek z kapturem. Nawet we śnie dziecko wyglądało na zupełnie wykończone. Odłożyła zniszczoną przyżółconą książkę, torbę na pieluchy ze śmiesznym wzorem oparła o krzesło. Maddy uśmiechnęła się do niej przelotnie i wróciła do artykułu, nad którym próbowała się skoncentrować. Wtedy właśnie pojawił się lekarz i siedząca przy drzwiach para w średnim wieku wstała.

- Państwo Sobransky? – upewnił się. Ścisnęli sobie dłonie, potakując przerażeni.
- Co się stało? – zapytał mężczyzna. – Jak się czuje Cliff?
- Już wszystko w porządku. Jest dobrze. Ale ma zerwane dwa wiązadła w kostce.
- Nie brzmi to chyba zbyt poważnie – z nadzieją w głosie odezwała się kobieta.
- Bardzo poważnie! – zdenerwował się mąż.

Wszyscy w poczekalni patrzyli na nich. Maddy przyglądała się ciekawie, jak mężczyzna zakrył dłońmi twarz i krzyknął:

- Jest zrujnowany!
- Może wyjdziemy – zaproponował lekarz.

Pani Sobransky wyglądała na bardzo skonfundowaną. Ponagliła męża i wyszli do holu.

Maddy przez chwilę przyglądała się im jeszcze, po czym wróciła do artykułu.

- Pani Lewis?

Uniosła wzrok. Przed nią stał umundurowany policjant z długopisem i notatnikiem w pogotowiu. Miał czarne, lśniące włosy, gładką cerę i wyglądał bardzo młodo. Maddy zaprzeczyła.

- To ja nazywam się Lewis – wyjaśniła kobieta z dzieckiem.

Młody policjant podszedł do niej:

– Pani Lewis, nazywam się Termini. Przyszedłem tu, aby porozmawiać o wypadku. Powiedziano mi, że pani mąż jest jeszcze operowany. Może mi pani opowiedzieć, co się stało?

Kobieta nerwowo skrzywiła twarz.

- Cóż, nie mogę powiedzieć dokładnie, gdzie to się stało, bo nie jesteśmy stąd.

- Pani rejestracja jest ze stanu Maine, prawda?

– Tak. Dopiero co przyjechaliśmy do miasta. Mój mąż dostał tutaj pracę. Byliśmy na River Road. Pogoda była fatalna, sam pan wie, lał deszcz i drogi były śliskie... – Przerwałaby dobrąć słowa, poprawiła okulary. – ...i nagle, nie wiadomo skąd, naprzeciwko pojawił się samochód, który skręcił prosto na nasz pas.

- Pani prowadziła?

– Tak. Mój mąż jechał cały czas, ale był już zmęczony. Próbowałam uniknąć kolizji i samochód wylądował w przydrożnym rowie. A mąż odniósł obrażenia.

Maddy słuchała sprawozdania kobiety z rosnącym niepokojem. Właściwie nie widziała tych ludzi tam, na szosie. Ich wóz wylądował po przeciwnej stronie drogi i zanim Maddy i Doug pozbierali się, kierowca jadący land roverem zatrzymał się i przez telefon komórkowy wezwał pomoc. Maddy nie miała wątpliwości, że rozmowa w poczekalni dotyczy ich wypadku.

- Przepraszam – wtrąciła się, wstając.

Policjant i kobieta z dzieckiem spojrzeli na nią. Podeszła i usiadła obok kobiety.

- Bardzo przepraszam, ale niechący usłyszałam. Nazywam się Maddy Blake – wyjaśniła.

Przygryzła wargi, gdy pani Lewis spojrzała podejrzliwie. – To my mieliśmy dzisiaj ten wypadek na River Road.

Policjant sprawdził coś w swoich notatkach.

– Czy jechaliście państwo szarym fordem taurusem kombi? Maddy przytaknęła i spojrzała ze smutkiem.

– Tak mi przykro – zwróciła się do kobiety. – To była nasza wina. Przez chwilę zawahała się. Czy powinna była to powiedzieć? Teraz na procesach sądowych różnie się działo. Można było tłumaczyć, że drogi są śliskie, że pełno liści na jezdni, ale gdyby nie zostawiła koszyka w zasięgu rączek Amy... Jednak to zrobiła, no i stało się. I teraz mąż tej biednej kobiety miał operację. To nie był moment, by zrzucić winę na okoliczności. Nienawidziła tego u innych i nie miała zamiaru sama tak postępować.

– Mieliśmy w samochodzie kotka, wyskoczył z koszyka i przestraszył mojego męża – wyjaśniła.

Kobieta spojrzała zza okularów i zasłoniła uszy dziecka, jakby Maddy mówiła coś nieprzyzwoitego.

– Pani Blake, właśnie miałem zamiar odszukać panią – odezwał się policjant. – Zaoszczędziła mi pani kłopotu.

– Czy ze mną to już wszystko? – szybko zapytała pani Lewis. – Chcę iść do toalety. Może jest tu gdzieś bar?

– Zaraz obok poczekalni jest kawiarenka czynna całą dobę.

Maddy schyliła się, pozbierała rzeczy kobiety i podając je, rzekła:

– Mam nadzieję, że z pani mężem będzie wszystko w porządku. Pani Lewis kiwnęła głową, ale oczy miała nadal nieufne. Ściskając tobołki i tuląc śpiącego syna, prędko wyszła.

Rozdział szósty

Czy na pewno dobrze się czujesz? – zapytała Maddy męża. – Może chcesz usiąść? Co mówi lekarz?

– Nic mi nie jest – odparł. – Naprawdę. Dał mi receptę na środki przeciwbólowe, no i zwyczajnie kazał wypoczywać. Receptę mogę wykupić w aptece w szpitalu.

– Dobrze – zgodziła się Maddy. – Skoro tak, zadzwonię szybko do Ruth. Dam jej znać, co się dzieje.

– W porządku. Zadzwon, a ja pójde do apteki i wezwę taksówkę.

Maddy wyszła z poczekalni w poszukiwaniu telefonu. Zadzwoniła do Ruth i upewniła się, że Amy już śpi. Podczas rozmowy zaglądała przez szybę do kafeterii. O tej porze była prawie pusta. Przy oknie zauważyła Bonnie Lewis i jej synka siedzących przy małym, okrągłym stoliku w rogu. Dziecko nie spało. Siedziało na plastikowym krzeselku dla dzieci. Chłopiec drobną piąstką próbował włożyć jedzenie do buźki, co nie zawsze mu się udawało. Bonnie siedziała spięta, jej twarz zdradzała niepokój. Kiwała głową, słuchając, co mówiła do niej szczupła lekarka w zielonym fartuchu. Lekarka wyglądała na zmęczoną, choć mimo to dało się zauważyć, że jest atrakcyjną kobietą. Gdy opuściła kafeterię, Maddy odwiesiła słuchawkę i z wahaniem weszła do środka.

– Pani Lewis – niepewnie zaczęła. – Nie chcę pani przeszkadzać, ale czy wszystko w porządku?

Bonnie popatrzyła na Maddy nieobecny wzrokiem. Była drobna jak ptaszek.

– Tak – odpowiedziała tępo.

– A to była lekarka pani męża? Bonnie przytaknęła.

– Chirurg. Powiedziała, że operacja Terry’ego już się skończyła.

– I jak się teraz czuje? – z niepokojem zapytała Maddy.

– Miał pękniętą śledzionę. Wyrzuciło go do przodu, gdy uderzyliśmy w rów. No i musieli ją wyciąć. Lekarka mówi, że to nie jest bardzo groźne. Można żyć bez śledziony.

– Dzięki Bogu! Bonnie spojrzała na zegar.

– Zupełnie straciłam poczucie czasu – rzekła przepraszająco.

– Wcale się nie dziwię – usprawiedliwiła ją Maddy, siadając obok i kładąc rękę na bladej dłoni Bonnie. – Może przynieść pani coś do picia? – zaproponowała.

Bonnie popatrzyła z niechęcią na swoją nietkniętą tacę.

– Nie, dziękuję. – Dolna warga jej drgała, ale kobieta dzielnie walczyła z emocjami. – Rano będę mogła go zobaczyć.

Podniosła pękatą, beżową filiżankę i wypiła łyk. Odstawiła filiżankę, westchnęła i wyjrzała

przez okno kafeterii. Maddy widziała, jak próbuje powstrzymać łzy. Dziecko znudzone zabawą kanapką z masłem orzechowym zaczęło płakać i wiercić się na krześle.

– Nie płacz, Sean – uspokajała Bonnie. – Tatuś będzie zdrowy.

– Ciężko tak siedzieć i czekać, prawda?

Bonnie wyjęła z torby grzechotkę w kształcie słonia. Sean przestał kwilić i zaczął się jej przyglądać.

– To będzie bardzo długa noc – ponuro zauważyła Bonnie.

– Gdzie się pani zatrzyma?

Bonnie nie patrzyła na nią. Zatopiła wzrok w grzechotce.

– W poczekalni. Jest tam kilka wygodnych foteli.

– Ależ to niemożliwe – sprzeciwiła się Maddy. – Nie może pani tutaj spać z dzieckiem.

– Cóż, nie mam wielkiego wyboru – rzeczowo zauważyła Bonnie. – Nie stać mnie na motel.

Terry przez jakiś czas był bez pracy, a teraz nie wiem. Pewnie nic z tego nie będzie...

Maddy zawahała się i natychmiast zawstydzila. Wyrzała do poczekalni, gdzie Doug rozglądał się za nią. Była wyczerpana. Chciała po prostu jechać do domu z mężem, położyć się i uciec przed wszystkimi problemami. Wiedziała też jednak, mimo swojego zmęczenia, że jeszcze jedno powinna zrobić.

– Proszę posłuchać – odezwała się. – Nie będzie pani tutaj nocować. Pojedzie pani z nami. Mamy mnóstwo miejsca w domu i moja córeczka będzie zachwycona, kiedy rano zobaczy małe dziecko.

– Ależ nie, my nie możemy tak – spiesznie odparła Bonnie.

– Nalegam. Nie zgodzę się na nic innego. Nie mogłabym zmrużyć oka myśląc o pani i o Seanie tutaj. Mój mąż właśnie poszedł po taksówkę. Jutro przywiozę panią do męża. Zostanie pani z nami, jak długo będzie trzeba.

– Myślę, że macie swoje własne problemy – sprzeciwiła się Bonnie. – Wasz samochód także ucierpiał.

– Nie było tak źle. Pękła tylko opona. Rano auto będzie gotowe. Poza tym mamy jeszcze jedno.

Bonnie wyglądała na zażenowaną na samą myśl, że można mieć dwa samochody. Maddy poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie.

– Nie chcemy się narzucać – protestowała słabo Bonnie.

– Nonsens. Wyświadczy mi pani przysługę. To uciszy moje wyrzuty sumienia.

– Nie ma pani przecież powodu, by czuć wyrzuty sumienia. Ale dobrze. Dziękuję bardzo.

Choć Maddy tak stanowczo zapraszała kobietę, męczyła ją jednak obawa, że oferta zostanie przyjęta. Przypomniała sobie błysk złości w oczach Douga, gdy rozmawiali wcześniej. Bała się jego reakcji. Zdecydowała jednak nie okazywać swoich ambiwalentnych uczuć.

– A więc, wszystko załatwione.

– Czy zdążę jeszcze zajrzeć na chwilę do Terry’ego, zanim odjedziemy?

– Oczywiście – Maddy znów pomyślała o Dougu. Musi być wykończony. – Proszę iść. Wezmę Seana – zaofiarowała się. – Nie sądzę, żeby go wpuścili.

Bonnie zawahała się i Maddy dostrzegła w jej oczach mieszaninę zmęczenia i troski. Bonnie nie chciała okazać się niewdzięczna, ale odmówiła. Maddy przypomniała sobie kobietę z telewizji błagającą o oddanie jej dziecka i od razu usprawiedliwiła reakcję Bonnie.

– Może się bać kogoś obcego – wytłumaczyła.

– Ma pani rację.

Bonnie pochyliła się, uniosła chłopca. Trochę marudził, ale jego lepkie ręce zacisnęły się wokół szyi, a paluszkami chwycił loki kobiety.

– Nie potrwa to długo, zajrzę tylko na chwilę.

– Będziemy w poczekalni – zapewniła Maddy. – Jest tam mój mąż. Jak tylko pani załatwi sprawę, proszę zejść. Będziemy czekać.

Bonnie pozbierała swoje torby.

– Czy mam się tym zaopiekować? – zaofiarowała Maddy, ale kobieta ponownie odmówiła. – To może wezmę chociaż torbę z pieluchami?

Bonnie popatrzyła z niepokojem na torbę, jakby Maddy chciała ją zabrać i nie oddać.

– Nie, wezmę ją. Może mi być potrzebna.

Maddy starała się nie okazywać, że czuje się dotknięta. W końcu kobieta miała prawo nie mieć zaufania do obcych, jeśli chodziło o dziecko, ale torba z pieluchami? Z trudem stłumiła irytację.

– No dobrze.

Gdy Bonnie spiesznie wychodziła z kafeterii, Maddy wkroczyła do poczekalni. Doug odwrócił się, uśmiechnął lekko i spojrzał na zegarek.

– Idziemy? Maddy westchnęła.

– Przygotuj się. Mamy dzisiaj gości.

– Gości? Kogo?

Maddy rozejrzała się, czy nikt nie słyszy. – No wiesz, ci ludzie z wypadku.

Doug, oburzony, przyglądał się jej z niedowierzaniem, jakby mówiła w jakimś obcym języku.

– No, z wypadku, kochanie. Przecież ten człowiek dopiero co miał operację, ich samochód jest w warsztacie i nie mają dokąd pójść. Przyjechali z Maine. Nie znają tutaj nikogo. Teraz poszła się z nim zobaczyć.

– Nie mogą spać w hotelu?

– Nie mają pieniędzy – wyszeptała Maddy. – Przyjechali tu, bo miał dostać pracę. Przez jakiś

czas był bezrobotny. Możemy chyba okazać im trochę współczucia?

Doug zmarszczył brwi.

– To może damy im pieniądze, żeby poszli sobie do hotelu?

– No, a jak będą się poruszać? Mają jeździć taksówkami? Ta kobieta ma maleńkie dziecko.

Doug westchnął.

– To przez nas znaleźli się w tej sytuacji, Doug. Nie możemy ich tak zostawić.

– Tylko nie przez nas – Doug zdenerwował się. – Nie jesteśmy za to odpowiedzialni. Nie powiedziałaś jej chyba o kocie?

Maddy zaprzeczyła, chociaż to było kłamstwo.

– To był wypadek – jeszcze raz podkreślił Doug. – To wszystko.

– No dobrze, to był wypadek, ale czy nie możemy zrobić czegoś przyzwoitego?

– Maddy... – zaczął Doug, ale nie skończył, bo potrafił go jakiś wysoki mężczyzna ze zbyt krótkimi kulami. Kuśtykał przez poczekalnię, na jego twarzy malowała się mieszanina wściekłości, bólu i żalu.

Doug przyjrzał się mu ciekawie.

– To Cliff Sobransky – wyszeptał.

– Kto? – zapytała Maddy.

Nagle zobaczyła znajomą parę podchodzącą do młodego mężczyzny. Kobieta odezwała się do niego głosem pełnym matczynej troski, natomiast twarz ojca wyrażała wzburzenie.

– Jest najlepiej zapowiadającym się bejsbolistą na uniwersytecie. I NBA rozglądała się już za nim na ten sezon – wyjaśnił Doug.

– Słyszałam, jak lekarz mówił jego rodzicom, że ma zerwane dwa ścięgna w kostce – wyjaśniła Maddy.

– No, nie – zasmucił się Doug. Wyglądał na przygnębionego, patrząc na zrozpaczoną rodzinę wolno odchodzącą w mrok. – Biedny chłopak. Miał u stóp cały świat. Mógł osiągnąć wszystko. Niewiarygodne.

Maddy obserwowała męża i wiedziała, że myślał o swojej kontuzji i przerwanej karierze. Współczuła mu, ale z drugiej strony chciała powiedzieć, że przecież są o wiele gorsze rzeczy na świecie. Jednak powstrzymała się. Dyskusja na ten temat nie miała sensu, bo zawsze jej mówił, że kobiety po prostu nic nie rozumieją.

W tym momencie pojawiła się Bonnie. Rozglądała się gorączkowo po poczekalni, kołyszając marudzące dziecko, by je uspokoić. Odprężyła się, gdy zobaczyła Maddy i Douga.

– Myślałam, że już pojechaliście – odezwała się. Maddy zastanawiała się, dlaczego tak pomyślała.

– Przecież powiedziałam, że będziemy czekać.

Bonnie wzruszyła ramionami, jakby chciała wyrazić brak wiary w takie obietnice.

– To mój mąż, Doug Blake – przedstawiła Maddy. – Doug, to jest Bonnie Lewis, o której ci mówiłam. – I zwróciła się do Bonnie: – Jak się czuje mąż?

– Jest nieprzytomny. Nawet nie wie, że byłam. – Bonnie zwróciła się do Douga z niepokojem: – Pana żona zaprosiła nas, ale jeśli pan sobie nie życzy...

– Nie, nie, to żaden problem – zapewnił ją z wymuszonym uśmiechem. – Pójdę sprawdzić, czy jest już taksówka.

Maddy uśmiechnęła się do Bonnie, gdy Doug podszedł do drzwi.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała.

Bonnie przytaknęła i pogłaskała dziecko, którego płacz roznosił się po cichej poczekalni.

Maddy zaprowadziła ich na górę do sypialni. Otworzyła drzwi pokoju gościnnego. Stały tam dwa łóżka i komoda. W rogu było łóżeczko, z którego Amy już wyrosła. Maddy zostawiła je tam na wypadek, gdyby przyjechali do nich jacyś goście z małym dzieckiem. Bonnie rozejrzała się po pokoju. Na jej twarzy po raz pierwszy pojawił się uśmiech.

– Tu jest wspaniale.

Maddy nie mogła się nie zgodzić. Ściany pokoju były jasnożółte. Na podłodze leżał ręcznie robiony chodniczek. Łóżka przykryte były kołdrami w polne kwiaty.

Pamiętała dzień ubiegłej wiosny, kiedy razem z Dougiem malowali ten pokój. Doug na początku ubolewał, że nie stać go na wynajęcie fachowców, ale potem okazało się, że mieli dużo zabawy. Oni malowali, a wokół nich tańczyła z lalką szczęśliwa Amy.

– Może i my kiedyś kupimy dom – odezwała się Bonnie. – Jeśli tylko uda się z tą pracą. Dotąd wynajmowaliśmy mieszkanie, ale teraz, gdy mamy już Seana...

– Od jak dawna jesteście małżeństwem? – zapytała Maddy.

– Dopiero kilka lat. Długo nie mogłam zajść w ciążę. Ale kiedy się udało, bardzo dobrze ją zniosłam. Pracowałam do samego końca.

Położyła dziecko w łóżeczku i zdjęła z jego nóżek zrobione na drutach buciki.

Maddy oparła się o framugę drzwi:

– Gdzie pracowałaś? – zapytała.

– Słucham? – Bonnie odwróciła się do niej. – O, w bibliotece. Jako pomoc.

– W takim razie nie będziesz miała problemu ze znalezieniem pracy tutaj. W bibliotece zawsze kogoś potrzebują.

– Nie wracam do pracy. Nie teraz. Terry sam chce nas utrzymywać. Dopiero jak to maleństwo pójdzie do szkoły, będę mogła wrócić do pracy – rozmarzyła się. – Przedyskutowaliśmy to wspólnie i doszliśmy do wniosku, że matka powinna być w domu.

Maddy uśmiechnęła się i dokładnie przyjrzała kobiecie.

Nie była młoda. Była już dobrze po trzydziestce, niezbyt atrakcyjna. Ale znalazła sobie męża

i urodziła pierwsze dziecko. To dziecko to spełnienie jej marzeń. Nic dziwnego, że chce zostać w domu. Na pewno im się uda, mimo że na początek żywiciel rodziny wylądował w szpitalu.

Bonnie podeszła do łóżka i zaczęła grzebać w torbie. Wyciągnęła piżamę i delikatnie rozłożyła ją na łóżku.

– Całe szczęście, że nie była w walizce – odezwała się. Wyjęła też buteleczkę oliwki dla dzieci, puder i mydelniczkę.

– Podwiozę cię jutro do mechanika i weźmiemy bagaże.

Bonnie wróciła do łóżeczka i zdjęła dziecku sztruksowe spodnie. Chłopiec zareagował z niechęcią.

– Może należałoby go tak zostawić – zasugerowała Maddy. – Żeby go nie budzić.

Bonnie spojrzała na nią z odrazą.

– Mam mu pozwolić spać bez mycia? Jest taki spocony. Nawet by mi to do głowy nie przyszło.

Pilnuj swojego nosa, skarciła siebie Maddy. Każda matka robi wszystko po swojemu i wie najlepiej.

– No dobrze, zostawiam was. Do zobaczenia rano na śniadaniu.

– Ale żadnych owoców.

– Słucham? – nie dosłyszała Maddy.

– Żadnych owoców na śniadanie. Sean jest uczulony na większość z nich.

Maddy uśmiechnęła się.

– Moja Amy też nawet na nie nie spojrzy. Dobranoc.

Bonnie znów zajęła się dzieckiem, a Maddy wyszła zamykając za sobą drzwi. Przeszła na palcach przez przedpokój do sypialni, by nie budzić męża. Gdy była już przy drzwiach, wydawało jej się, że słyszy jego głos. Otworzyła drzwi i zobaczyła go siedzącego na brzegu łóżka. Ramiona miał opuszczone, a na twarzy malował się ból.

– Doug, co się stało? – zapytała. – Wszystko w porządku?

– Tak, nic mi nie jest.

– Może powinieneś wziąć te tabletki przeciwbólowe? Doug pokręcił przecząco głową.

– Ale przecież lekarz ci je przepisał.

– Nie potrzebuję ich. Maddy westchnęła.

– Jak uważasz. Nasi goście już się urządzili.

Z dała dobiegał płacz dziecka. Maddy podeszła do szafy i wyciągnęła koszulę nocną.

– Co za noc...

– Maddy!

Odwróciła się i spojrzała na męża.

– Tak?

– Jest jeszcze jeden mały problem.

Serce Maddy zaczęło gwałtownie bić z obawy. Trzymała koszulę nocną przed sobą jak tarczę.

– Co za problem? Z kim rozmawiałeś przez telefon?

– Słyszałaś?

– Usłyszałam twój głos, gdy wchodziłam, ale nie wiem, co mówiłeś i do kogo.

– To był Stanley Plank.

– A kto to jest? Doug jęknął:

– Nasz agent ubezpieczeniowy.

– Powiedziałeś mi o naszym wypadku, tak? – upewniła się zdezorientowana. – To w czym problem?

– Posłuchaj, Maddy – zaczął Doug. – Wiesz, że ostatnie miesiące były wyjątkowe. Mam na myśli tę sprawę w sądzie, no i byłem bez pracy.

– Tak? – słuchała wstrzymując oddech.

– W ostatnim miesiącu, gdy płaciłem rachunki, niestety, na wszystko nie starczyło.

– Na co nie starczyło?

– Musiałem zrezygnować z kilku rzeczy. Nie miałem wyboru – tłumaczył, unikając jej wzroku.

– Tylko nie mów mi, że to ubezpieczenie.

– Prawdopodobnie nie będzie to miało znaczenia. To nie była nasza wina.

Maddy odwróciła się i zacisnęła szczęki.

– Ubezpieczenie?

– Musiałem to zrobić – odparł poirytowany. – Tak czy inaczej, wszystko się jakoś ułoży.

Maddy z niedowierzaniem kiwała głową. Była jak ogluszona.

– Nie mogę w to uwierzyć. Jak ty to sobie wyobrażałeś? A co będzie, jeśli nas zaskarzy?

Doug podskoczył i z wściekłością zwrócił się do niej:

– Jeśli nas zaskarzy, to tylko dlatego, że ty, zapraszając ich tutaj, zachowujesz się tak, jakby to była nasza wina! Równie dobrze mogłaś to powiedzieć policji!

Maddy poczerwieniała, bo wiedziała, że zrobiła dokładnie to, o czym mówił.

Nagle usłyszeli jakiś szmer na korytarzu. Doug rzucił w stronę drzwi:

– Kto tam?

Maddy odwróciła się i w uchylonych drzwiach ujrzała cień. Amy nie było w domu, więc mogła to być tylko jedna osoba. Czowała na twarzy rumieniec wstydu na myśl, że ich kłótnia mogła być podsłuchana. Doug podszedł do drzwi i otworzył je. Stała tam Bonnie trzymając w rękach pustą butelkę.

– Co pani tu robi?

– O, przepraszam – rzekła Bonnie. – Chciałam tylko zapytać, czy mogłabym dostać dla Seana trochę mleka. Nie miałam zamiaru przeszkadzać.

– Oczywiście – grzecznie odpowiedziała Maddy. – Jest na dole w lodówce.

Bonnie uniosła głowę i odwróciła się na pięcie. Maddy pochwyciła jej mrożący wzrok. Nie myliła się – to był błysk satysfakcji.

Rozdział siódmy

Frank Cameron wlał sobie filiżankę kawy, ziewnął i przetarł zapadłą twarz dużą dłonią. Większą część nocy spędził w komisariacie, nadzorując sprawę zaginionej opiekunki z dzieckiem. Jego cera była prawie tak samo szara jak włosy, prawie siwa. Po powrocie do domu udało mu się zdrzemnąć na kanapie w swoim pokoju i teraz znowu szykował się do pracy. Mary Beth siedziała przy stole kuchennym. Przed nią stał talerz z tostem i otwarty laptop. Wnikliwie wpatrywała się w ekran, co chwilę stukając wypielęgnowanymi paznokciami w klawiaturę. Wystrojona i uczesana, z nienagannym makijażem, była gotowa do pracy w biurze. Wyglądała bardzo pociągająco w dopasowanym czerwonym kostiumie. Frank przypomniał sobie czas, gdy wróciła do pracy. Heather była wtedy w trzeciej klasie, a Mary Beth narzekała, że nudzi się w domu. Wtedy w tamtych czasach cała jej garderoba składała się z dwóch spódnic: szarej i granatowej oraz kilku wełnianych bluzek. Powiększała się stopniowo, dlatego umknęło to jego uwadze. Dopiero po pewnym czasie odkrył, że żona, którą znał, zniknęła, a zastąpiła ją ta wyelegantowana magnatka handlu nieruchomościami.

– O której wróciłeś? – zapytała Mary Beth, nie odrywając wzroku od komputera.

– Jezu, nie wiem, piąta, szósta...

– Znaleźliście ich?

– Jeszcze nie, Mary Beth – powiedział uszczypliwie, czego nawet nie zauważyła.

Heather weszła do kuchni, powłóczę nogami i otworzyła lodówkę.

– Cześć, Heather – odezwał się Frank.

– Cześć, tato – uśmiechnęła się do niego słabo, penetrując wnętrze lodówki.

Frank pomyślał, że to dziwne. Wszyscy znaleźli się w tym samym miejscu, o tej samej porze. Zazwyczaj wychodził z domu, zanim one wstały. Gdy wracał, Heather była zamknięta w swoim pokoju, a jego obiad czekał w mikrofalówce. W tym czasie Mary Beth była zajęta umawianiem się na spotkania przez telefon komórkowy albo buszowała w Internecie, dzieląc się swoimi troskami z jakąś sfrustrowaną koleżanką. Wrócił myślami do czasów, gdy ich syn Frank i Heather byli dziećmi. Wtedy zawsze jadali razem. Wiele było takich wieczorów, gdy musieli długo na niego czekać, ale i tak były to lepsze czasy. Przypatrzył się córce popijającej sok z kartonika i jedzącej grzanki z papierowego talerzyka. Nagle poczuł, że bardzo ją kocha. Prawdopodobnie dlatego, że całą noc martwił się o Rebekeę Starnes, rówieśniczkę Heather. Wyglądała bezbrinnie i słodko w tych obszernych ogrodniczkach, które tak bardzo lubiła nosić. Pod wpływem impulsu podszedł do niej i pogładził po miękkich włosach.

Mary Beth odsunęła się od stołu, krytycznie przyjrzała córce i zapytała:

– Heather, co skłoniło cię do założenia tych dwóch ubrań jednocześnie?

Heather popatrzyła na swoją zieloną koszulę i lawendowe ogrodniczki. Z niepokojem spojrzała na matkę.

– Przecież dobrze wygląda. Mary Beth potrząsnęła głową:

– Wygląda idiotycznie. Potem się dziwisz, że nie masz przyjaciół. Frank popił kawę i westchnął. Wyobraził sobie nagle Sandi Starnes w poplamionej keczupem bluzce, zaciskającej fotografię córki. Z pewnością obiecywała Bogu wszystko, żeby tylko znów zobaczyć ją żywą.

– Przecież dobrze wygląda – wstawił się za córką.

Mary wstała i podeszła do ekspresu do kawy. Jej obcasy stuknęły o podłogę.

– A co ty o tym wiesz, Frank? – zapytała.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Mary Beth otworzyła gotowa zbesztać intruza zakłócającego rodzinne śniadanie, lecz na widok dwojga młodych ludzi rozplynęła się w uśmiechu.

– Karla! – wykrzyknęła z szerokim uśmiechem. – Jaka miła niespodzianka. Wejdz.

Heather zbladła, gdy ujrzała gości. Karla Needham mieszkała dwie przecznice dalej i była jedną z najpopularniejszych dziewczyn w szkole. Wyglądała świetnie, miała ekstra ciuchy i chłopaka, na widok którego Heather zawsze omdlewała. Chłopaka, który stał teraz w jej drzwiach.

– A kim jest twój znajomy? – spytała Mary Beth.

– To Richie Talbot. Cześć, Heather – zwróciła się do niej. Heather przełknęła kęs i wymamrotała powitanie, przy czym kilka okruchów spadło na stół. Heather znała Karłę od zawsze. Jako dziewczynki bawiły się ze sobą. W piątej klasie ich drogi się rozeszły. Karla zainteresowała się innymi sprawami. Nie to, że nie była miła. Owszem, zawsze mówiła cześć i pytała Heather o rodziców, ale to było wszystko. Aż do dzisiejszego ranka. Heather nagle zrobiło się niedobrze.

– Przechodziliśmy obok i myśleliśmy, że może będziesz chciała z nami pójść do szkoły – uprzejmie wytłumaczyła cel swojej wizyty Karla.

– Dlaczego? – zdziwiła się Heather.

– Heather! – ton matki mówił sam za siebie. Zdenerwowało ją, że córka zaprzepaszcza szansę na to, by zobaczono ją w dobrym towarzystwie. – Bądź miła. Heather właśnie wychodziła – zwróciła się do pary ciągle stojącej w drzwiach. – Prawda, kochanie? Jestem przekonana, że chętnie z wami pójdzie.

W tym momencie zadzwonił telefon. Frank podniósł słuchawkę zadowolony, że dzięki temu córka mogła się odnaleźć w tej najwyraźniej kłopotliwej dla niej sytuacji. Ucieszył się również, że telefon przeszkodził żonie kontynuować swoje machinacje. Przez chwilę słuchał, po czym kiwnął głową i odezwał się: – W porządku, zaraz tam będę.

Biorąc klucze i portfel z szafki, rzucił:

– Muszę już iść.
– Znalazł już pan tę dziewczynę i dziecko? – chciała wiedzieć Karla.
– Jeszcze nie – westchnął Frank. – Może teraz nastąpi przełom. Przepraszam was wszystkich.
Wychodząc, usłyszał, jak Mary Beth rozplywa się w grzecznościach nad gośćmi, ponagłając Heather do wyjścia.

Co jest, Pete? – rzucił Frank, trzaskając drzwiami komendy.

Pete Miliard miał rozpiętą koszulę i poluźniony krawat. Jego włosy, zazwyczaj dokładnie uczesane, teraz były potargane od ciągłego przeczesywania palcami. Wskazał głową biurko sierżanta. Siedziała tam kobieta w okularach w drucianych oprawkach. Blond włosy miała związane w koński ogon. Ubrana była w sportową kurtkę SUNY i sportowe Reeboki. Z pogardliwym uśmiechem lustrowała pomieszczenie komisariatu.

– Świadek. Mówi, że czytała o tym w dzisiejszej gazecie – wyjaśnił. Frank uniósł brwi, przyglądając się kobiecie z wielkim zainteresowaniem:

- Nie ogląda telewizji? Przecież całą noc o tym mówili.
- Nie posiada telewizora, o czym nie omieszkała mnie poinformować.
- Intelktualistka – prychnął Frank.
- No, ale jest tutaj i to się liczy – podsumował Pete.
- Dobrze, porozmawiajmy z nią. Przyprawdźcie ją do pokoju numer jeden.

Frank poszedł do pokoju przesłuchań i zapalił światło. Pokój pomalowany był na nieprzyjemny zielony kolor. Frank opadł na stojące najbliżej wejścia składane krzesło i spojrzał na zegarek. Minęło piętnaście godzin, odkąd zgłoszono zaginięcie dziewczyny i dziecka. Z każdą godziną szanse na ich odnalezienie malały. Drzwi się otworzyły i Pete Miliard wprowadził do pomieszczenia kobietę.

- Komendancie Cameron, to jest panna Julia Sewell.
- Pani – poprawiła.
- Dziękuję, że pani przyszła – przywitał ją uprzejmie Frank.

Zdawał sobie sprawę, że nie należy zniechęcać tej dziwnej osoby. Okazało się, że kobieta miała około trzydziestu lat, a nie dwadzieścia, na co wskazywał jej strój.

– Detektyw Miliard powiedział mi, że to z gazet dowiedziała się pani o zniknięciu Rebeki Starnes i Justina Wallace’a. Czy tak? Rozpoznaje ich pani na tym zdjęciu?

- Dziewczynę rozpoznaję. Widziałam ją wczoraj.
- Samą?
- Nie, była z dzieckiem. Nie wiem jednak, czy jest to to samo dziecko. Dla mnie wszystkie wyglądają jednakowo.
- A gdzie pani ich widziała?

– W parku.

Serce Franka zaczęło szybciej bić na tę wiadomość.

– W jakim parku, pani Sewell?

– Binney – odparła. – Siedziałam na ławce obok stawu z kaczkami naprzeciwko parkingu.

Czytałam.

Kobieta wydawała się Frankowi znajoma, choć nie mógł sobie przypomnieć nic więcej. Był chyba przemęczony.

– Która to była godzina? – zapytał znad notatnika, gdzie coś zapisywał.

– Około drugiej.

– Co robili?

– Nic takiego. Dziecko było w wózku, a ona siedziała na ławce.

– Czy działo się coś, co przyciągnęło pani uwagę? Dlaczego pani ich zauważyła?

– Podszedł do nich mężczyzna i zaczął rozmawiać... – Kobieta ujawniła tę wiadomość z ponurą satysfakcją.

Od tych słów włos się jeżył na głowie. Wiedziałem, że to zboczeniec, pomyślał. Co jest z tymi draniami, że chce im się dzieci? Myśli natychmiast powędrowały do jego córki i jej ostatnich przeżyć z nauczycielem. Nie było już bezpiecznego miejsca dla dzieci w tych czasach, nawet w szkole.

– Czy wie pani, kto to był?

Kobieta zmrużyła oczy i przecząco pokręciła głową.

– To musiał być jakiś obcy.

– Pozwoli pani, że zapytam, skąd ta pewność? – dopytywał się Frank. Zawsze bał się świadków, którzy widzieli zbyt wiele.

– Kwestia obycia – padła odpowiedź.

Frank pokiwał głową, notując coś niezbyt zadowolony z tego, co usłyszał. Coś go niepokoiło w tej kobiecie. Większość świadków zjawiających się dobrowolnie nie była nastawiona wrogo tak jak ona. Byli pełni zapału, jaki mogą mieć niewinni obserwatorzy gotowi stanąć po stronie policji.

– Czy może pani opisać tego mężczyznę? – poprosił.

– Oczywiście.

– Wzrost, waga, wiek. Kobieta głośno westchnęła:

– Nie mogę powiedzieć dokładnie, ile miał lat. Nie widziałam go z bliska. Chyba około trzydziestu. Włosy blond wpadające w kasztan, średniej budowy ciała.

Oczom Franka ukazał się mężczyzna idealnie pasujący do tego opisu. Mężczyzna, który na sali sądowej zaprzeczał oskarżeniom, jakoby namawiał kilkunastoletnią córkę Camerona, Heather, do kontaktów seksualnych. Około trzydziestki, piaskowe włosy, średnia budowa –

Douglas Blake! Nagle ta rozmowa nabrała osobistego charakteru.

– Co miał na sobie?

– Chińskie spodnie i ciemną marynarkę.

– Jaki kolor?

Wzdrygnęła się: – Nie jestem pewna. Może granatowe.

Frank przyglądał jej się przez chwilę spod przymrużonych powiek. Nagle przypomniał sobie, skąd zna tę kobietę. Miało to miejsce jakiś czas temu. Zgłosiła, że napadł na nią mężczyzna i próbował zgwałcić. Wystraszyła go krzykiem. Nigdy go nie odnaleziono.

– Panno Sewell – zaczął.

– Pani – poprawiła go.

– Zastanawiałem się, skąd panią znam. Czy nie zgłaszała pani niedawno napadu?

Julia Sewell zarumieniła się, ale odważnie przyznała:

– Tak, dwa lata temu. Rzeczywiście bardzo mi pomogliście. Ale jakie to ma teraz znaczenie?

Frank zajrzał do notatek i odparł:

– Właściwie żadnego. Zastanawiam się jednak, czy nie odebrała pani może tej sytuacji w szczególny sposób, ze względu na własne doświadczenie. Nie chcemy tracić cennego czasu, próbując ścigać kogoś, kto zatrzymał się, aby zapytać Rebeke o godzinę.

Julia Sewell popatrzyła na niego z mieszaniną oburzenia i pogardy. Już chciała się wycofać, ale się powstrzymała. Mogła na niego naskoczyć, gdyby nie chodziło tu o coś bardzo ważnego. Nawet ci gliniarze, przypomniała sobie, chociaż ślamazarnie, ale próbowali coś zrobić. Poza tym czuła się winna. Powinna była jakoś zareagować, może podejść i przestrzec dziewczynę. Po długim namyśle rzekła:

– Odezwał się do niej, potem usiadł na ławce obok niej i czymś ją poczęstował. Wzięła to. Następnie zaczął się do niej zbliżać i... Ma pan rację, mam co do niego pewne podejrzenia, chociaż moje doświadczenie było zupełnie inne. Ja zostałam zaskoczona od tyłu i wepchnięta w krzaki.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Po chwili Julia dodała:

– Ona miała taki dziwny wyraz twarzy, jakby czuła się niezręcznie. Po chwili wstała i odeszła.

– Odeszła?

– Tak.

– A ten mężczyzna?

– Posiedział jakiś czas na ławce, wystarczająco długo, by nie wzbudzić podejrzeń, a potem wstał i podążył za dziewczyną.

Frank i Pete Miliard wymienili poważne spojrzenia, rozumiejąc się bez słów.

– Widziała pani, co się wydarzyło dalej?

– Nie – cicho odpowiedziała, spuszczać oczy. – Powinam była za nimi pójść. Żałuję, że tego nie zrobiłam.

– Nie mogła pani wiedzieć, pani Sewell – pocieszył ją i szybko zmienił temat. – Dobrze, chcielibyśmy przygotować rysopis, portret pamięciowy. Mógłby nam pomóc w śledztwie. Czy pamięta pani, jak to się odbywa? Mogłaby pani popracować z naszym rysownikiem?

– Tak, oczywiście – zgodziła się bez namysłu.

– Czy ktoś jeszcze mógłby rozpoznać tego mężczyznę? Czy poza nimi zauważyła pani w parku jeszcze kogoś?

Julia westchnęła i popatrzyła w sufit.

– Było kilka kobiet z dziećmi – wyliczała. – Jakaś pani spacerująca z dzieckiem w wózku, kilku biegających. Zaraz! Był facet, który ćwiczył tai chi – to taka seria ćwiczeń związanych ze wschodnimi sztukami walki – Wiem, co to jest – zirytował się Frank. – Jak wyglądał?

– To był Azjata. Młody, po dwudziestce, ubrany w sportowe dresy.

– No tak, to byłby już jakiś punkt zaczepienia. – Frank wstał. – Dziękuję, że pani przyszła. Jeśli przypomni sobie pani coś jeszcze...

– ... Wtedy zadzwonię – obiecała.

Zawahał się i dodał: – Żałuję, że nikt nie zjawił się w pani przypadku z pomocą.

Julia zatrzymała się przy drzwiach.

– Mam nadzieję, że nie jest jeszcze za późno.

– Ja także – chropowatym głosem przytaknął Frank.

Rozdział ósmy

Tytuł na całą stronę „Taylorsville Tribune” głosił: ZAGINIONA. Pod spodem znajdowały się zdjęcia ślicznej licealistki i uśmiechniętego dziecka z loczkami wokół małej główki. Ellen Henson wpatrywała się w te zdjęcia, czytając podpisy: *Sześciomiesięczny Justin Wallace i piętnastoletnia Rebeka Starnes.*

– Słucham? – zapytał mężczyzna w kiosku.

Ellen spojrzała zaskoczona jego obojętnością wobec tej tragedii i wskazała na paczkę miętusków.

– To i gazetę – poprosiła.

Mężczyzna obojętnie podliczył i Ellen, wpychając bezwiednie cukierki i gazetę do torby, odeszła w dół ulicy. Po drodze oglądała wystawy sklepowe, ale jej umysł z trudem rejestrował obserwacje. W końcu zatrzymała się przed jedną z witryn. Stała tam dłuższą chwilę. Przeczytała nazwę sklepu. Nie rozpoznała go. Jak długo on tu jest?, zastanawiała się. Rzadko przychodziła do miasta, ale była pewna, że nie było go tutaj kiedy... kiedy Ken był dzieckiem. Otworzyła drzwi Precious Littles Shop i ostrożnie weszła do środka.

Kremowe ściany sklepu wykończone były tapetą w kaczuszki, stokrotki i tańczące literki. Ellen rozejrzała się po tym radosnym wnętrzu. Z zadziwieniem oglądała falbaniaste sukienki, śpioszki i maleńkie pastelowe sweterki. Nie chciała niczego dotykać. Kręciła się dookoła, podenerwowana, przyciskając do piersi torebkę, jakby w obawie, że ktoś ją może ukraść.

W sklepie nie było klientów. Młoda sprzedawczyni siedziała za szklanym kontuarem pełnym dziecięcych czapeczek i połyskujących grzechotek. Składała właśnie ręczniki frotte z kapturkami w równą piramidkę. Uśmiechnęła się do tej wymizerowanej, siwiejącej kobiety stojącej bezradnie na środku sklepu.

– W czymś pani pomóc? – spytała.

– Chciałabym kupić kilka rzeczy.

– Dla wnuka? – zainteresowała się dziewczyna. Ellen wyglądała na zakłopotaną:

– Nie – odparła po chwili. – Po prostu dla dziecka.

Nawet jeśli ekspedientka była zaskoczona odpowiedzią, nie okazała tego.

– W jakim wieku jest dziecko?

To pytanie znów zaskoczyło Ellen. Spoglądając na zdjęcie w gazecie wystającej z torebki, szybko odparła:

– Około sześciu miesięcy.

– Chłopiec czy dziewczynka?

– Chłopiec.

Dziewczyna wyszła zza lady i zaprowadziła Ellen do półki z kolorowymi ubrankami ozdobionymi wozami strażackimi, pieskami i piłkami. Wybór był ogromny. Ellen delikatnie przesuwiała wieszaki, zachwycona różnorodnością oryginalnych kompletów.

– A może żyrafy? – zaproponowała dziewczyna, wyciągając pastelowe zielone śpioszki ozdobione dzikimi zwierzętami.

Ellen przyjrzała się i powiedziała, że dziecko uwielbia wszystkie zwierzęta.

– A czy interesuje się już samochodami? – wypytywała dalej sprzedawczyni, eksponując granatowo-żółte ubranko z samochodami wyścigowymi.

– To też na pewno mu się spodoba.

Dziewczyna poszła dalej, wybierając dwanaście różnych ubranek, które Ellen natychmiast postanowiła kupić. Zadowolona, ale i zaskoczona uległością klientki, sprzedawczyni zaniósła wszystko na ladę i podliczyła należność.

– Jego mama będzie zachwycona tymi ubrankami – zagadnęła. Ellen popatrzyła na dziewczynę zmęczonym wzrokiem:

– Jak to?

– No, ma pani tutaj właściwie całą garderobę i to wszystko są piękne ubranka. Jeśli już jakąś z tych rzeczy ma albo chciałaby wymienić, to może przyjść. Wymienimy bez problemów.

– Miło z pani strony.

– A jak ma na imię? – zapytała dziewczyna.

– Ken – powiedziała cicho. – Ma na imię Ken.

– Śliczne imię – zauważyła dziewczyna, odcinając maleńkimi nożyczkami metki od wszystkich ubranek. – Jaką kartą będzie pani płacić?

– Gotówką – spiesznie odparła Ellen, przerzucając rzeczy w torebce w poszukiwaniu portfela.

Wyjęła gazetę i położyła ją na kontuarze zdjęciami do góry. W końcu znalazła portfel. Dziewczyna w tym czasie pakowała już ubrania do jasnoniebieskiej reklamówki ozdobionej girlandami białych kokardek. Spojrzała na gazetę.

– Okropne, prawda? – skomentowała, potrząsając głową. – Mam na myśli to zaginione dziecko.

Ellen spojrzała na nią zaskoczona:

– Słucham? A tak.

Podła dziewczynie plik banknotów, zrzucając nerwowo gazetę na podłogę. Przykucnęła, aby ją podnieść.

– Kto mógłby zrobić coś takiego? – ciągnęła swoje rozważania dziewczyna, jednocześnie przeliczając pieniądze. – To niewiarygodne – dodała, wkładając pieniądze do kasy. – Rodzice muszą być zrozpaczeni. Nie wiem, co się dzieje na tym świecie – westchnęła. – Nie rozumiem

tego!

Dziewczyna zakończywszy transakcję, odwróciła się do klientki, by wręczyć jej rachunek, ale kobiety już nie było. Ekspedientka zmarszczyła brwi, przewidując dalszy scenariusz. W przyszłym tygodniu na pewno przyjdzie i będzie chciała wymienić przynajmniej ze cztery z tych ubranek, ale nie będzie miała rachunku.

– Dlaczego ludzie są tacy niedbali? – gniewnie powiedziała do pustego sklepu.

Kiwając z dezaprobatą głową, zabrała się za odkurzanie stojących na półce ramek do zdjęć. Nagle zauważyła bardzo drogi portfel, w kolorze koniaku, leżący na ladzie. Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi wejściowych, dziewczyna spodziewała się, że zobaczy właścicielkę tego portfela. Zamiast niej pojawiła się śliczna młoda blondynka pchająca przed sobą wózek. Gdy ta zaczęła oglądać ubrania, ekspedientka podniosła portfel i zajrzała do środka.

Rozdział dziewiąty

Maddy szła szpitalnym korytarzem, sprawdzając numery poszczególnych sal. Podrzuciła dziś rano Bonnie i Seana do szpitala, a teraz, zgodnie z obietnicą, przyjechała ich zabrać. Stłumiła ziewanie. To była bardzo długa noc. Sean cały czas marudził, a Maddy nie mogła zasnąć, martwiąc się brakiem ubezpieczenia. Czuła się zupełnie wyczerpana wydarzeniami ostatnich kilku dni. Chciała gdzieś uciec i ukryć się przed całym światem. Niestety, nie było nawet cienia nadziei na spełnienie tego życzenia. Zatrzymała się przy sali oznaczonej numerem 304 i zajrzała do środka. W pokoju nie było odwiedzających. Na pierwszym łóżku siedział mężczyzna i czytał gazetę. Był łysawy i mógł mieć około czterdziestki. Na drugim łóżku leżał inny mężczyzna z twarzą odwróconą do okna. Widziała tylko jego dosyć długie czarne włosy i tatuaż na ramieniu. Zwróciła się do mężczyzny czytającego gazetę:

– Pan Lewis?

Ten, lekko zdziwiony, wskazał sąsiednie łóżko, po czym wrócił do czytania.

Maddy zaskoczona, podeszła na palcach do drugiego łóżka.

– Pan Lewis?

Mężczyzna odwrócił się do niej i Maddy z trudem zdołała ukryć zdumienie. Mąż Bonnie był zupełnie inny, niż sobie wyobrażała. Miał szeroką twarz o wysoko osadzonych kościach policzkowych. Mogła to być interesująca twarz, gdyby nie szpecące ją blizny po trądziku. Grube, czarne wąsy przyprószone były siwizną, podobnie jak włosy. Bandaż na czole uzupełniał wygląd pirata. Na grubej szyi połyskiwał srebrny krzyżyk. Miał błędny wzrok. Powieki opadały bezwiednie pod wpływem działania środków przeciwbólowych. Poruszył się na łóżku, eksponując potężny tors.

– Czy pan Lewis? – powtórzyła swoje pytanie Maddy. W jej głosie słychać było niedowierzanie.

– Tak – odpowiedział z wysiłkiem, pokazując w lekkim uśmiechu krzywe zęby.

Maddy natarczywie wpatrywała się w niego. Nigdy by nie przypuszczała, że ta nijaka, sztywna Bonnie miała męża, który wyglądał jak z piekła rodem. Zdała sobie sprawę, że musi wyjaśnić swoją obecność.

– Nazywam się Maddy Blake... Pańska żona i syn... oni zatrzymali się u nas.

– A tak, witam!

– Ogromnie mi przykro z powodu tego wypadku – zaczęła.

– To naprawdę miło, że zaopiekowała się pani moją rodziną – podziękował.

– Chociaż tyle mogłam zrobić. – Pomyślała o kłopotach z polisą ubezpieczeniową i szybko dodała: – Naprawdę cieszę się, że mogę coś dla państwa zrobić.

Znów poruszył się na łóżku i skrzywił się.

– Jak się pan czuje? – zapytała troskliwie.

Mężczyzna położył ostrożnie rękę na brzuchu.

– Muszę przyznać, że ciągle jeszcze boli. Lekarze mówią, że mam dużo odpoczywać, ale ja jestem silny duchem.

Maddy niepewnie przytaknęła.

– Jestem przekonana, że nie będzie pan zbyt długo dochodził do siebie.

– Mam nadzieję – westchnął. – Czy Bonnie mówiła pani o naszej sytuacji?

– Powiedziała, że przyjechaliście tutaj w sprawie nowej pracy.

Smutek przesłonił jego twarz. Przytaknął, odwracając wzrok.

– Bardzo mi przykro z tego powodu. Czy będą trzymali dla pana tę pracę? A może mogłabym tam zadzwonić i wytłumaczyć, co się stało. Co mówią lekarze, jak szybko będzie pan mógł wrócić do pracy?

Terry wzruszył ramionami, co najwyraźniej sprawiło mu ból.

– Mówią: Nic nie dźwigać, no i z tym będzie problem. Widzi pani, ja jestem robotnikiem.

Poczucie winy ogarnęło Maddy, gdy pomyślała o sytuacji, w jakiej znalazła się ta rodzina. Mężczyzna bez pracy, małe dziecko – to było przygnębiające.

– Tak mi przykro – powtórzyła bezradnie.

– Niech się pani nie martwi. Jestem szczęściarzem. Dobry Bóg czuwa nade mną, a reszta się jakoś ułoży.

Maddy uśmiechnęła się z przymusem.

– Nie wie pan, gdzie jest teraz Bonnie i Sean?

Oczy Terry'ego zabłysły na dźwięk tych imion.

– Poszła go chyba nakarmić. Jak się pani podoba mój chłopak? – z dumą zapytał.

Tym razem Maddy uśmiechnęła się szczerze.

– Świetny chłopak.

Terry spojrzał radośnie na zdjęcie Seana zrobione krótko po urodzeniu. Fotografia stała oparta o karafkę z wodą, na stoliku naprzeciwko je go łóżka.

– Nie mogę się napatrzeć na to zdjęcie. Dzień, w którym urodził się mój syn, był najszcześniejszy w moim życiu. – Spojrzał na Maddy: – Ma pani dzieci?

– Mam córkę, Amy – odparła zdziwiona, że Bonnie nie wspomniała o tym mężowi. – Ma trzy lata. Teraz jest w przedszkolu.

– Dzieci to największy dar od Boga, nie sądzi pani? Niezależnie od tego, co dzieje się z człowiekiem, tylko one się liczą. Zawsze są w naszych sercach. – Wyciągnął rękę i grubym palcem wskazującym muskał buźkę synka na zdjęciu.

– To prawda – zgodziła się Maddy i jednocześnie zasmuciła, słuchając tego macho, tak czule

mówiącego o swoim dziecku. Dlaczego Doug nigdy tak nie mówi o Amy? Może gdyby była chłopcem, byłoby inaczej. Słyszała, że niektórzy mężczyźni nawiązywali szczególną więź tylko z synami.

– Mam nadzieję, że będziemy mieli też dziewczynkę – rozmarzył się. – Małą księżniczkę, którą będę mógł nosić na rękach. Jeśli Bóg da – zakończył, odbierając Maddy argumenty usprawiedliwiające chłód Douga wobec ich córki.

– No cóż – westchnęła, otrząsając się z nieprzyjemnych myśli. – Pójdę poszukać Bonnie i Seana i zabiorę ich do domu.

– Czy może mi pani podać Biblię przed wyjściem? Sam nie mogę sięgnąć – poprosił, wskazując stolik przy łóżku.

– Oczywiście.

Wyjęła z szuflady książkę i podała mu ją. Skórę dłoni miał popękana i szorstką.

– O! Już są! – wykrzyknął nagle radośnie.

Maddy obejrzała się i zobaczyła Bonnie trzymającą Seana na ręku.

– Madonna z dzieciątkiem – westchnął.

Bonnie zaczerwieniła się rozzłoszczona, unikając zaciekawionego spojrzenia Maddy. Podeszła do męża i pocałowała go.

Do domu jechały w milczeniu. Siedząca obok Maddy kobieta wyglądała przez okno. Październikowy dzień był ponury. Na tylnym siedzeniu Amy udawała, że czyta Seanowi książeczkę z obrazkami, którą zabrała z przedszkola. Sean wiercił się w jej starym foteliku, cicho protestując. Co jakiś czas Maddy rzucała ukradkowe spojrzenia na swoją pasażerkę. Bonnie miała na sobie luźną koszulę w kratę, pod nią sprany fioletowy golf. Na nogach sportowe buty i zabawne skarpetki. Jej kręcone ciemne włosy rozsypywały się w nieładzie i wyglądało na to, że naprawdę nic nie dało się z nimi zrobić. Dłonie oparte na udach nerwowo zaciskała i otwierała. Jej szare oczy patrzyły to w prawo, to w lewo, jakby sprawdzała otoczenie.

Maddy myślała o wytatuowanym, spokojnym, i czytającym Biblię mężu Bonnie. Zastanawiała się, jak tych dwoje tak różnych ludzi mogło się spotkać.

– Mam nadzieję, że mąż czuje się lepiej? – zagadnęła Maddy. Bonnie znieruchomiała, jakby przebudziła się z koszmarnego snu. Dopiero po chwili odezwała się zatroskana:

– No, mam nadzieję, że tak.

– Czy wiadomo, jak długo będzie musiał zostać w szpitalu?

– Prawdopodobnie jeszcze dzień lub dwa – sucho odparła Bonnie i dodała: – Mamy się wyprowadzić?

– Nie – zaprzeczyła Maddy trochę zniechęcona nieprzyjemnym tonem pasażerki. – Możecie zostać, jak długo chcecie.

– Niedługo odejdziemy – oznajmiła stanowczo Bonnie. – Musimy w końcu zacząć realizować nasze plany.

– Wierzę. Krótki odpoczynek na pewno dobrze wam zrobi – dodała Maddy. – Sean miał przecież ciężką noc.

– Co masz na myśli? – agresywnie zapytała Bonnie.

Maddy zaczęła się szybko tłumaczyć:

– Dla takiego dziecka to zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień. Najpierw wypadek, potem szpital, obcy dom i tylu nowych ludzi. Nie spaliście chyba zbyt dobrze.

– Nic mu nie będzie. Wszystko jest w porządku.

Maddy westchnęła. Nie chciała przecież krytykować Bonnie, ale ona i tak się chyba obraziła.

– Ale jeśli chodzi o samochód, to chyba jesteś zadowolona z dobrych wieści? – próbowała poruszyć inny temat.

Po drodze wstąpiły do mechanika. Dowiedziały się, że pękła tylko miska olejowa. Nowa będzie wstawiona jeszcze tego dnia.

Bonnie kiwnęła głową w odpowiedzi i znów zaczęła wyglądać przez okno.

– Mąż się ucieszy, że to nic poważnego. Jest bardzo miły. Przyjemnie nam się rozmawiało...

– Maddy nie dawała za wygraną.

Bonnie przyjrzała jej się nagle zmrużonymi oczami:

– O czym? – zapytała podejrzliwie.

Maddy wzdrygnęła się.

– Mówił głównie o Seanie. Jest bardzo kochającym ojcem. Widać, że przepada za synem i świata poza nim nie widzi.

Bonnie na te słowa kiwnęła głową, napięte rysy jej twarzy złagodniały.

– Wiem. Mieć syna było jego największym marzeniem.

– Mamo – zapłakała Amy. – Sean ciągnie mnie za włosy.

– On się tylko z tobą bawi, kochanie.

Bonnie odwróciła się i zobaczyła, że Sean ścisnął kosmyk włosów Amy. Bez wahania siłą otworzyła dłoń dziecka i uwolniła włosy dziewczynki, po czym uderzyła go dwukrotnie w otwartą małą dłoń i pogroziła palcem.

– Niegrzeczny chłopiec – skarciła go. – Bardzo niegrzeczny. Amy była przerażona jej reakcją. Sean zaczął płakać. Bonnie niewzruszona, usadowiła się z powrotem na przednim siedzeniu i oświadczyła:

– Jestem zwolenniczką wychowania dzieci w dyscyplinie. Trzeba je od małego uczyć, jak mają się zachować.

Maddy z trudem ukryła konsternację. Chciała zaprotestować. Przecież sześciomiesięczne dziecko nie potrafi jeszcze odróżnić co dobre, a co złe. Postanowiła jednak milczeć. Każdy miał

swój sposób wychowywania dzieci. Jednak cały czas zastanawiała się, jak Bonnie mogła tak spokojnie słuchać płaczu dziecka. Prawdopodobnie sama była tak wychowywana, myślała Maddy.

Z tyłu Amy jęklonie zawodziła:

– Wszystko w porządku, Sean – starała się go uspokoić, bo zdawała sobie sprawę, że to właśnie przez nią spotkała go przykrość.

– No, już prawie jesteśmy w domu – z udawaną wesołością oznajmiła Maddy.

Gdy skręciła w swoją ulicę, ujrzała błyskające światła na dachu czarnego wozu policyjnego. Słysząc było piski i odgłosy policyjnego radia. Bonnie siedząc wyprostowana, z niepokojem patrzyła przez okno.

– A to co znowu, do licha?!

– Nie wiem – Maddy starała się zachować spokój. – Są przed naszym domem.

– Co oni tam robią? – panikowała Bonnie.

– Na pewno chodzi o nasz wypadek.

Rozpoznała na podejździe szarego mercedesa Charlesa Hensona i ze strachu ścisnęło ją w dołku.

– Policja! – wykrzyknęła Amy, wychylając ciekawie główkę.

Rozdział dziesiąty

Maddy zaparkowała na podjeździe i wyskoczyła z samochodu. Policjant stał oparty o jeden z dwóch wozów patrolowych.

– Co tu się dzieje? – zapytała go.

Potrząsnął głową, jakby nie chciał odpowiedzieć. Maddy wróciła do samochodu, otworzyła tylne drzwi i uwolniła Amy.

– Czego oni chcą? – dopytywała się przerażona Bonnie. Maddy pokręciła głową:

– Nie wiem. Usiłuję się dowiedzieć.

Wniosła Amy do domu frontowym wejściem. Dziewczynka przytuliła się do mamy przerażona widokiem tyłu obcych. Ciężar ciała dziecka pomógł Maddy opanować drzenie. Otworzyła drzwi i weszła do środka.

W przedpokoju na krześle siedział Doug z głową ukrytą w dłoniach. W dużym pokoju zauważyła Charlesa, który rozmawiał z mężczyznami. Jeden z nich był w mundurze, drugim był detektyw w pomiętym garniturze, którego pamiętała z rozprawy, a trzecim szef policji Cameron.

– Co tu się dzieje?

Doug spojrział na nią ponuro. Odwrócił się do mężczyzn w pokoju i potrząsnął głową, po czym przemówił urywanym głosem:

– To po mnie... wendeta z powodu Heather. Jestem pewien, że nie spocznie, dopóki mnie nie wrobi... Nie uwierzysz...

– Doug, czego oni chcą? – gorączkowała się.

Amy ścisnęła ją za szyję. W wejściu do salonu pojawił się Cameron i zmierzył Maddy zimnym wzrokiem.

– Znów się spotykamy.

– Czego chcecie? – powiedziała niezbyt grzecznie.

Charles Henson wszedł właśnie do przedpokoju. Cameron wyciągnął kartkę papieru z portretem pamięciowym mężczyzny.

– Poznaje pani tego człowieka? – zapytał, pokazując Maddy szkic.

– Nie odpowiadaj – ostrzegł ją Charles.

Maddy ścisnęła Amy mocno w ramionach, przypatrując się rysunkowi. Gładko ogolona twarz o równych rysach; jasne włosy zaczesane do tyłu w sposób, w jaki zwykle czesał się Doug. Spojrzała ponownie na męża i poczuła, że byli w niebezpieczeństwie.

– Czyż nie wygląda znajomo? – Cameron pytał łagodnie, ale w oczach miał wściekłość.

– Nie za bardzo – ostro odparła Maddy.

– Nie rozmawiaj z nim – odezwał się stanowczo Charles. – Doug, myślę, że będzie dla nas

lepiej, jeśli mimo wszystko weźmiemy udział w tym ich śledztwie.

Amy spojrzała na rysunek i z radością zawołała:

– Tata!

Oczy Camerona zwięzły się:

– Proszę, i to mówi dziecko.

– Zabierz ją stąd – warknął Doug.

– Już dobrze.

Maddy przeszła do kuchni. Serce jej waliło. Jak długo Frank Cameron zamierza ścigać ich ze względu na kłamstwa Heather? Maddy już sama nie wiedziała: bać się czy wściekać. Nawet złość na Douga za to, że nie opłacił ubezpieczenia, rozwiła się gdzieś w obliczu nowej sytuacji. Ile razy może im się nie udawać?

– Mamo, puść mnie!

Musiała bardzo mocno ścisnąć córkę, skoro Amy próbowała się uwolnić. Maddy postawiła ją na podłodze i próbowała zebrać myśli. Amy zaczęła się rozbierać.

– Poczekaj – odezwała się matka. – Nie zdejmuj kurtki. Chodź z mamusią.

Drzwi z kuchni prowadziły do garażu. Tamtędy wydostała się na zewnątrz. Jej samochód stał zaraz za autem Douga. Zobaczyła, że Bonnie ciągle siedzi w środku. Wzięła wózek i popchnęła go w stronę samochodu. Chciała otworzyć drzwi, ale Bonnie protestowała.

– Co oni tu robią? – denerwowała się.

– Szef policji chce zemścić się na moim mężu. Później ci wytłumaczę. Proszę, weź Amy i Seana na krótki spacer, zanim nie odjadą. Chcę być przy tym, ale Amy nie powinna na to patrzeć.

Bonnie, gramoląc się z samochodu, zgodziła się w końcu.

– Tu niedaleko jest mały park, o tam – tłumaczyła Maddy, wskazując to miejsce. – Są tam huśtawki.

Bonnie kiwnęła głową, nie patrząc nawet w tym kierunku:

– No dobrze, ale na krótko.

Otworzyła drzwi samochodu i zanim wyjęła dziecko, tak szczelnie je opatulila, że widać było tylko koniuszek nosa. Wtedy dopiero wyjęła Seana z fotelika. Dziecko fikało, skrzępowane nadmiarem ubranek. Maddy z niepokojem spojrzała na Amy.

– Ty też powinnaś mieć czapkę. Robi się chłodno – zatroskała się. – Poczekajcie.

Z bagażnika wyjęła robioną na drutach czerwoną czapkę. Założyła ją córeczce i lekko pchnęła w kierunku Bonnie.

– Dobrze, idź teraz z Seanem i panią Bonnie na huśtawki, a ja niedługo do was przyjdę.

Amy pomogła posadzić Seana w wózku.

– Dzięki – rzuciła Maddy.

– Żaden problem – wymamrotała Bonnie w odpowiedzi.

Maddy pospiesznie wróciła do domu. W przedpokoju Doug grzebał w szafie.

– Co robisz? Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Niech pan założy granatową marynarkę – sarkastycznie radził szef policji.

– Przecież on nie ma granatowej marynarki! – zaprotestowała Maddy.

Charles Henson podszedł do niej i chwytając za rękę, zaczął tłumaczyć. Mówił cicho, ale stanowczo.

– Prowadzą dochodzenie w sprawie zaginięcia dziewczyny i małego chłopca. Jakiś świadek opisał mężczyznę, który rozmawiał z nią w parku, i Cameron myśli, że ten portret pamięciowy przypomina Douga.

– Przecież to mógłby być każdy – protestowała Maddy.

Przez okno widziała, jak po drugiej stronie ulicy Amy gramoli się na huśtawkę. Bonnie siedziała na ławce pod gołymi gałęziami drzewa, a obok stał wózek. – Oczywiście – zgodził się Charles. Doug wyciągnął w końcu z szafy ciemnozieloną marynarkę i włożył ją. – To powiesz mi, dokąd idziesz? – dopytywała się Maddy.

– Muszę zagrać w tę grę – odparł smutno Doug. – Zostaw to mnie. On jest zdesperowany, więc posunie się do wszystkiego.

I Cameron poczerwieniał, ale nie zareagował na to oskarżenie.

– No to zaczynamy przedstawienie. Mamy świadka czekającego w komendzie na konfrontację. – Konfrontację?! – wykrzyknęła Maddy. – Aresztujecie go? – Po konfrontacji – złowieszczco zapowiedział Cameron. Charles położył uspokajająco rękę na ramieniu Maddy.

– Będziemy z nimi współpracować niezależnie od ich motywów i wrócimy tak szybko, jak tylko się da.

– Jadę z wami.

– Nie – Charles zaprotestował ostro. – Zostań tutaj. Przywiozę ci go, jak tylko wszystko się skończy.

Doug przeproszał żonę: – Jest mi tak przykro, że musisz przez to przechodzić. Tyle już musiałaś znieść przez ostatnie miesiące. Maddy wyciągnęła rękę:

– To nie twoja wina. Wszystko będzie dobrze.

Serce waliło jej jak młotem, gdy odchodził.

Dźwięk telefonu po chwili zaskoczył ją.

– Pani Blake? – usłyszała wysoki, nerwowy głos.

– Tak. Słucham?

Maddy zebrała się w sobie, modląc się, żeby nie były to znowu gazety.

– Tu Ellen Henson.

– Och! Dzień dobry! – powitała ją z ulgą. – Szuka pani męża? Właśnie wyszedł.

– Tak? Nie, nie, tylko czytałam o tym wypadku w gazecie. Wszystko w porządku? Czy nic się nikomu nie stało?

Maddy wyjrzała przez okno na samochody odjeżdżające z podjazdu. Przeszedł ją dreszcz.

– Nie, wszystko w porządku.

– A co z kotem? – pytała Ellen.

Maddy nie mogła sobie przypomnieć, o co chodzi. Po chwili skojarzyła.

– Ach! Kotek! Obawiam się, że uciekł w całym tym zamieszaniu. Chyba do lasu. Amy bardzo rozpacziała.

– Znaleźliście go?

– No cóż, było zbyt wiele zamieszania. Mój mąż został ranny. Próbowałam szukać tego kotka, ale było zbyt ciemno.

– Przecież to maleństwo, mógł umrzeć!

Maddy napływały do oczu łzy:

– Wiem, przepraszam, ale nic nie mogłam zrobić... – Nagle wyobraziła sobie zaginionego w lesie kota, którego położenie w jednej chwili zmieniło się diametralnie, chociaż sam tu nie zawinił. Ofiara okoliczności. – Ma pani rację. Tak mi przykro.

– Nie – płaczliwie zaprzeczyła Ellen. – To moja wina. Nie powinnam była wam go dawać. Widziałam radość dziecka i zrobiłam to pod wpływem impulsu. Przecież wcale nie prosiliście o kota. Ja chciałam tylko zrobić Amy przyjemność. Dlaczego często robimy to, czego nie powinniśmy...?

– Tak mi przykro – powtarzała Maddy bezradnie. – Powinnam była sprawdzić dokładniej.

– Nie, nie – ponuro zakończyła Ellen. – To moja wina.

Zanim Maddy zdołała odpowiedzieć, Ellen odłożyła słuchawkę.

Rozdział jedenasty

Ojciec Nicholas Rylander zebrał naręczę książek z regału stojącego w dużym pokoju i włożył je do pudła na podłodze. W domu parafialnym zajmował trzy pomieszczenia. Ten właśnie pokój z widokiem na Binney Park, niewielką kuchnię i podobną do celi sypialnię. Nie zostało mu już wiele do pakowania, ale było to przykre zajęcie. Dlatego zwlekał do ostatniej chwili. Bez przerwy przystawał, zamykał oczy z powodu okropnego bólu głowy i pulsowania w lewej skroni. Czuł się jak przy potężnym kacu, mimo że wcale nie pił. W oczach miał piasek, a mięśnie szyi bardzo napięte. Upuścił na biurko duży album, który otworzył się na reprodukcji *Męczeństwa św. Sebastiana* pędzla Botticellego. Nick przyglądał się obrazowi przez chwilę. Święty wpatrywał się w niebo, podczas gdy strzały przeszywały na wskroś jego ciało. Umartwienie się to był ideał, do którego dążył każdy ksiądz. Taka jest wola Boga. Potarł w zamyśleniu czoło i zamknął książkę. Następnie wsunął ją do pudła razem z innymi. Jutro, pomyślał. Jutro już cię tu nie będzie. Będziesz daleko stąd.

Zmiany w jego życiu zachodziły powoli. Nic nie wskazywało, że zostanie księdzem. Wręcz przeciwnie. Jego rodzice prawie utonęli w alkoholu. Widząc, jak niszczą się nawzajem, postanowił nigdy się nie żenić. Gdy studiował historię sztuki na uniwersytecie, daleko od rodzinnego domu, zachwycaly go inspiracje artystów renesansu. Stopniowo pociągał go katolicyzm. Studia doprowadziły do wiary. Jego powołanie było naturalnym pogłębieniem tej wiary.

Teraz próbował sobie wyobrazić siebie w Kanadzie. Klasztor był zaszyty gdzieś w lasach, daleko od problemów, z którymi spotykał się tutaj. Miał pracować nad restauracją dzieł sztuki, ale przede wszystkim odzyskać kontrolę nad swoim życiem. Zamierzał zacząć od nowa: dokonywać wreszcie właściwych wyborów, których oczekiwał od niego Bóg. Nie chciał przeżywać kryzysu z powodu pożądanego. Nie chciał już popełniać błędów.

– Nick – odezwał się łagodny głos.

Czy to jego myśli ją tu przyciągnęły? Całym ciałem słyszał jej głos. Poczuł się, jakby spadał w przepaść. Nie znosił tego młodzieńczego niepokoju, z jakim jego zmysły reagowały na jej obecność, widok, zapach, głos. Próbował nie wyobrażać sobie jej dotyku. Poczuł, że płoną mu policzki. Jak mógł sądzić, że będzie w stanie kiedykolwiek to przeczłyczyć.

Podniósł głowę i zobaczył Maddy Blake z córeczką. Nieśmiało pukała do jego drzwi. Zerknęła przy tym do wnętrza ciemnego pokoju. Zdał sobie sprawę, że chociaż on ją widział, sam pozostawał niewidoczny. Zafundował sobie krótką chwilę, by móc na nią popatrzeć. Jej ciemne włosy lśniły w nikłym świetle przedpokoju. Co sprawiało, że te włosy tak lśniły, zastanawiał się. Jej skóra także zdawała się błyszczeć, mimo podkrążonych oczu, które zauważył.

– Nick! – zawołała znowu.

Ten głos był balsamem dla jego zbolełej duszy.

– Tutaj! Wejź!

Maddy wprowadziła Amy do ciemnego pokoju. Ściany obstawione były regałami prawie bez książek. Nad kominkiem wisiał srebrny krzyż. Pokój niewiele mówił o człowieku, który go zamieszkiwał.

– Witaj! Tak się cieszę, że jeszcze cię zastałam. Nie przeszkadzam? – zapytała.

Nick ukrył gorzki uśmiech. Nie miała pojęcia, jak często wdzierała się w jego modlitwy i pojawiała w snach.

– Nie – odparł. – Każdy powód jest dobry, by przerwać pakowanie. Czemu zawdzięczam tę wizytę?

– Widzę, że jesteś jednak zajęty – stropiła się.

Ona także wyglądała, jakby w ogóle nie spała, ale najpewniej nie z tego powodu, dla którego on nie mógł zmrużyć oka.

– To nic, cieszę się, że przyszedłeś. Mam już dosyć tej pracy.

Maddy wzdrygnęła się bezradnie. – Próbowałam znaleźć cię w biurze, ale przysłano mnie tutaj.

– No jasne – odparł, robiąc miejsce na sofie zawalonej pudełkami.

– Usiądź! Ty też, Amy. Jesteście tu zawsze mile widziane.

Maddy wyciągnęła z dużej torby książeczkę. Amy zabrała się z zapalem za jej oglądanie. Zwłaszcza że po naciśnięciu różnych guziczków książka wydawała dźwięki. Maddy przysiadła na krawędzi sofy i rozejrzała się.

– Zimno tutaj – zauważyła.

– Trenuję przed Kanadą – zażartował wskazując szary pulower, który miał na sobie.

– Wygląda na to, że jesteś prawie spakowany – zauważyła bez entuzjazmu.

– Jeśli chodzi o organizowanie pracy, jestem najgorszy na świecie – przyznał się, ale widział, że nawet nie zwróciła uwagi na jego odpowiedź.

Rozglądała się po pokoju z zakłopotaniem.

– To chyba cudowne uczucie żyć sobie bez tych wszystkich komplikacji – westchnęła.

Uśmiechnął się do siebie smutno.

– Zależy jak się na to spojrzy... Maddy, wiem, że nie przyszedłeś mówić o moim wyjeździe. O co chodzi? Powiedziałaś wczoraj w szpitalu, że wszystko w porządku. Czy coś się stało?

Maddy pokręciła głową: – Nie o to chodzi.

– Więc o co?

Wstała i zaczęła przechadzać się po pokoju.

– Nie wiem, dlaczego tutaj przyszedłam – przyznała. – Nie jestem zbyt religijna. To znaczy, na

pewno zauważyłeś, że nie chodzę zbyt często do kościoła.

Nick próbował ją powstrzymać, ale Maddy nie mogła przestać.

– Nie jestem tutaj, by rozmawiać z księdzem, potrzebuję przyjaciela, kogoś, komu mogę zaufać.

Czuł, że się rumieni, i cieszył się, że na szczęście w pokoju było ciemno.

– To prawdopodobnie dlatego, że spotkaliśmy się wczoraj wieczorem i pracowaliśmy razem przy tych witrażach... Czuję, jakbyśmy się znali od zawsze... Och! Ty masz tyle spraw do zrobienia, a ja zajmuję ci tylko czas... Naprawdę nie powinnam...

Nick pochylił się, próbując zajrzeć jej w oczy.

– Maddy, przestań.

– W myślach na pewno opuściłeś już to miejsce. Wiem, jak to jest, kiedy się odjeżdża. Przez ostatnich kilka dni wszystko dzieje się automatycznie.

– Nie wszystko – powiedział.

Zastanawiał się nad jej brakiem spostrzegawczości. Może było to celowe. Jak to możliwe, że nie była świadoma wrażenia, jakie na nim wywierała. Przypomnił sobie, że przyszła tutaj po radę czy pocieszenie. Niezależnie od tego, co mówiła, wybrała go, bo był księdzem i mogła polegać na jego dyskrecji.

– Może to dlatego, że wyjeżdżasz – myślała głośno. – I wiem, że zabierzesz ze sobą wszystkie okropności, które wygaduję, i nie będę musiała spotkać się z tobą po tym, jak to powiem.

Nick siłą woli opanował się, by nie pokazać, ile bólu sprawiły mu jej słowa.

– Maddy, co wydarzyło się od wczoraj? – zapytał ponownie. – Myślałem, że wszystko jest w porządku. Powiedz mi, co się dzieje?

Maddy westchnęła głęboko.

– Dobrze – zgodziła się w końcu. – Zabraliśmy do domu tych ludzi z wypadku, bo nie mieli się gdzie zatrzymać.

– Jak się ma ten mężczyzna?

– Dziś rano czuł się całkiem dobrze. Wiesz, jak to jest teraz w szpitalu: jednego dnia operacja, a następnego już wychodzisz. To w związku z ubezpieczeniem, nie chcą płacić za zbyt długi pobyt w szpitalu... – Przy tych słowach grymas bólu pojawił się na jej twarzy.

– To bardzo szlachetne, że wzięliście ich do siebie – pochwalił Nick.

– Musiałam – zapewniła Maddy, bawiąc się bezwiednie srebrną bransoletką. – Czułam się winna.

Nick uśmiechnął się do niej wyrozumiale.

– Wina – wtrącił. – Jak byśmy dawali sobie bez niej radę?

– No cóż, chciałabym móc powiedzieć, że to Duch Święty – rzuciła bez ogródek Maddy. –

Ale naprawdę to było poczucie winy.

– Jesteś bardzo uczciwą osobą, Maddy Blake.

Maddy zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, to nie to. Wczoraj wieczorem, kiedy wróciliśmy do domu i ulokowałam ich w pokoju gościnnym, Doug wyznał mi, że nie zapłacił naszej polisy ubezpieczeniowej na samochód i jeśli nas zaskarżą, to nic nas nie obroni.

Nick zamrugał. Głupiec, pomyślał. Wiedział o problemach dnia codziennego więcej, niż jego parafianie sądzili. Widział ludzi, którzy wykonywali pracę, której nienawidzili, tylko po to, by opłacać ubezpieczenie. Widział również tych, których brak ubezpieczenia zrujnował. Douglas Blake pozwoliłby jego rodzina, pozbawiona tego zabezpieczenia, pozostała bezbronna. Poczul, jak rośnie w nim coraz bardziej niechęć do tego mężczyzny.

– To było głupie – denerwowała się Maddy.

– Wyjęłaś mi te słowa z ust. – Nie mógł się opanować.

– Byłam na niego wściekła – ciągnęła. – Po tym wszystkim, przez co musieliśmy przejść w związku z Heather Cameron... – Spojrzała na Nicka. – Nie udawaj, że o tym nie wiesz.

Uniknął jej wzroku.

– Nigdy o tym nie mówiliśmy.

– Wiem. Z nikim nigdy o tym nie mówiłam, ale czułam... – Machnęła bezradnie ręką: – Teraz też nie chcę o tym mówić. Chodzi o to, że dzisiaj, godzinę temu, przyjechała policja i zabrali go na przesłuchanie w związku z tą zaginioną dziewczyną i dzieckiem.

– Co?! – Nick wykrzyknął zaszokowany.

Maddy popatrzyła na niego z niepokojem.

– Nick, nie wiem, co myśleć. Doug nigdy by nie... to znaczy, jest czasami nieodpowiedzialny, ostatnio bywał też napastliwy i zły, ale to...

Nick potrząsnął głową: – Na pewno nie.

– Ale ja ciągle o tym myślę – szepnęła.

– Nie dziwię się.

Amy siedząca na podłodze z wyprostowanymi nóżkami aż krzyknęła zachwycona, gdy doszła do strony z ćwierkającym ptaszkiem. Maddy wyciągnęła rękę i delikatnie pogłaskała dziewczynkę po blond włosach. Gdy tak dotykała jedwabistych włosków Amy, jej srebrna bransoletka połyskiwała wśród dziecięcych platynowych loczków. Po chwili podniosła rękę i w zamyśleniu bawiła się bransoletką.

– Tak naprawdę, nie znasz mojego męża – rzekła.

Nick zgodził się. Miał wrażenie, że zamierzała go bronić, a on wcale nie chciał tego słuchać. Maddy przechyliła głowę w zamyśleniu i westchnęła.

– Zanim go poznałam lepiej, myślałam, że jest rozpieszczonym egocentrykiem. W tamtych

czasach miał pieniądze i lubił szpanować. Był zawodowym bejsbolistą. Wiedziałeś o tym?

– Nie jestem wielbicielem sportu – przyznał się Nick.

– No cóż, ja też nie i zawsze myślałam, że sportowcy są głupi i w ogóle. Ale on nie. Doug jest inteligentny, jest dobrym nauczycielem i ma dobre serce... – Zawahała się.

– Ale? – naciskał Nick.

– Nie to chciałam powiedzieć. Chodzi mi o to, że Doug nie miał życia usłanego różami. Dorastanie nie było dla niego łatwe. Jego rodzice... jego matka jest bardzo zimną osobą. Nigdy do niego nie dzwoni, nawet na urodziny. Nigdy nie przysłała mu nic więcej niż urodzinową kartkę. Możesz to sobie wyobrazić? Jego ojciec jest bardzo bierny. Zajmował się tylko swoimi sprawami i Doug musiał sobie radzić sam. Nie było chyba łatwo żyć w ten sposób, nie sądzisz?

Nick pokiwał głową, przypominając sobie własnych wojujących rodziców, walczących o jego miłość, a każde z nich chciało wyrzec się drugiego.

– To zdumiewające, przez co dzieci muszą przechodzić – powiedział. – Niezwykłe jest także to, że urazy z dzieciństwa pozostawiają nieodwracalne szkody.

– Wiem – żarliwie przyznała Maddy. – Ja miałam łatwo. Rodzice rozpieszczali mnie i brata. Nie wiem, jak to jest być odrzuconym. Zawsze, gdy on jest zimny czy niecierpliwy, należy to zrozumieć. Jego zachowanie nie oznacza, że nas nie kocha lub że mógłby zrobić coś tak okropnego Heather czy tej dziewczynie. To tylko jego sposób na przetrwanie.

Nick pokiwał głową, jakby się zgadzał. Tak naprawdę jednak nie mógł tego zrozumieć. Jak Doug Blake mógł trwonić ten dar i przyjmować za pewnik tę miłość, która została mu ofiarowana? Nawet, nim został księdzem, Nick mieszkał sam i nigdy mu to nie przeszkadzało. Cisza była błogosławieństwem po kłótniach w rodzinnym domu. Odkąd odnalazł wiarę, nie był samotny. W bliskości z Bogiem odczuwał spokój i cisza znów była błogosławieństwem wobec wszystkich wymagań, jakie niosło ze sobą życie w parafii. Potem poznał Maddy i zaczął odczuwać brak obecności konkretnej osoby. Zburzyło to jego spokój wewnętrzny. Odczuwał samotność, gdyż ona nie była z nim. Popatrzył w jej ciemne, smutne oczy czekające na odpowiedź.

– A teraz chciałabyś wiedzieć, czy dalej masz w niego wierzyć, Maddy? Czy o to właśnie mnie pytasz?

Maddy kiwnęła głową.

– Cóż, myślę, że znasz odpowiedź na to pytanie. Z tego, co mówisz, wynika, że ciągle w niego wierzysz. On teraz cię potrzebuje.

– Wiem, że szef policji nienawidzi go z powodu Heather.

– Ludzie postępują irracjonalnie, gdy pragną zemsty – tłumaczył Nick.

– To prawda – przyznała. – To na pewno tylko zemsta...

– Nie wiem, ale jest to bardzo prawdopodobne.

– I to na pewno nie ma nic wspólnego z tym, co się naprawdę wydarzyło – uspokajała się. – Jak mogłam pomyśleć, że Doug mógł coś takiego zrobić.

Nick patrzył prosto na nią, ale jego duszą targały mieszane uczucia. Nietrudno było myśleć źle o Dougu Blake’u i sądzić, że mógł być winnym uwiedzenia Heather Cameron. Zdawał sobie sprawę z tego, że zazdrościł Dougowi i miał do niego uraz, gdyż ten był mężem kobiety, którą kochał. Było więc niemożliwe, by mógł wydać sprawiedliwy osąd w sprawie tego człowieka. Wszystkie jego sądy były subiektywne i niesprawiedliwe. Gdyby powiedział jej teraz, że powinna trzymać się tych podejrzeń, może udałoby mu się, przy pomocy jednego słowa, rozbić to małżeństwo. Nie mógł tego zrobić, to byłby grzech. Postanowił pozostać przy swoim powołaniu i zostawić za sobą to zgubne uczucie do niej. Nie mógł zniszczyć jej małżeństwa. Nie, jeśli chciał ocalić swoją duszę.

– Jeśli nie będziesz w niego wierzyła – zaczął powoli – do kogo się zwróci? Ma prawo oczekiwać od ciebie lojalności.

Maddy westchnęła i uśmiechnęła się.

– Masz rację, muszę w niego wierzyć. – Wstając, dodała: – Zachowasz dla siebie to, co powiedziałam? – I natychmiast zdała sobie sprawę, jak obraźliwie to zabrzmiało. – Przepraszam. Wiem, że tak będzie, i dlatego właśnie tu przyszedłam.

– No i wiedziałas, że wyjeżdżam – uzupełnił, również wstając.

Maddy podeszła do niego i wyciągnęła rękę. Jego twarz była taka smutna. Pomyślała, że to w związku z wyjazdem. Na pewno nie miało to nic wspólnego z nią. Gdy ich oczy się spotkały, zrozumiała jednak, że chodziło o nią. Poczuli się posiadaczką przerażającego, ale i radosnego sekretu. Pod wpływem impulsu objęła go. Otoczył ją ramionami i wdychał jej zapach. W gardle więzły mu same pieszczotliwe słowa, ale nie powiedział ani jednego. Maddy westchnęła i nagle poczuła, że nie wolno jej zatracić się w tych ramionach. Powiedziała sobie, że to przyjacielski uścisk na pożegnanie. Choć to, co odczuwała, wtulając się w niego, nie wyglądało na przyjaźń. Pragnęła dotknąć jego włosów, przytulić się do jego policzka i poznać smak jego ust. Nie, powiedziała sobie. To tylko zmęczenie i jego wzmacniająca siła. Mimo wszystko było to alarmujące. Szybko odepchnęła go.

– Lepiej już pójdę – powiedziała, unikając jego wzroku. – Może Doug jest już w domu. Dziękuję... Nick. Chodź, kochanie – zwróciła się do Amy, podnosząc ją z podłogi. – Nie będziemy już przeszkadzać księdzu Nickowi. Musi się pakować.

– Czy on wyjeżdża na wakacje? – zapytała dziewczynka.

Maddy spojrzała na niego – widziała smutną minę.

– Obawiam się, że wyprowadza się, kochanie.

– A czy wróci? – dopytywała się Amy.

– Nie, kochanie, wyjeżdża na zawsze. Amy odwróciła się i pomachała rączką.

– Pa, pa – pożegnała go ponuro, nie przekonana wyjaśnieniami matki. – Zobaczymy się, jak już będziesz z powrotem.

Maddy nie patrzyła na niego, tylko szybko wyszła z pokoju.

Rozdział dwunasty

Ernest Unger bardziej wyczuwał, niż widział poruszenie w oddalonej kępie drzew. Ogarnęło go znajome podniecenie. Skradając się po cichu, z wprawą zdobytą w czasie lat praktyki, obrócił się bezszelestnie i ujrzał swoją ofiarę. Jeleń stał dosyć daleko, ale w zasięgu jego strzelby. Ogromne poroże zajmowało całą przestrzeń między dwoma drzewami. Jaki przystojny, pomyślał Ernest, wpatrując się z podziwem w swoją ofiarę i planując dalsze ruchy. Wyobrażał sobie ten dumny łeb zawieszony na ścianie jego pokoju. Tylko tam Mary pozwalała mu trzymać trofea. Ernest wieszał jedynie najlepsze. Ten kolesz był tego wart. To była sztuka, o której można mówić przez lata. Ernest poczuł gorączkę oczekiwania. Nie mów hop, tłumaczył sobie. Wiele takich strzałów chybiło celu, wiele takich okazji zdarzyło mu się zaprzepaścić.

Bezgłośnie przyjął pozycję. Jeleń się nie poruszył. Teraz oby tylko ten dureń-zięć został tam, gdziekolwiek się zaszył. Ernest nie znosił zabierać Dana na wyprawy, chociaż Mary i Susie wyposażyły go w najlepszy sprzęt. Dan wykazywał nawet chęć uczenia się, ale nie miał żadnego pojęcia o polowaniu. Był niezręczny i głośny. Zepsuł już tyle okazji, kiedy Ernest był bliski zdobycia ofiary. Wiedział, że powinien zaprzyjaźnić się z chłopakiem, znaleźć wspólny język. Ernest tęsknił za starymi, dobrymi czasami, gdy faceci wychodzili razem dla przyjemności, a inne sprawy zostawiali dziewczynom. Myślistwo to był męski sport. Jest jedną z nielicznych już rzeczy, którą mogą robić mężczyźni, bez tych wszystkich kobiet próbujących się przyłączyć. Sęk w tym, że towarzystwo Dana było prawie tak złe, jak zabieranie ze sobą kobiet.

Szczerze mówiąc, Ernest podejrzewał, że Dan był zbyt wrażliwy i wcale nie chciał się nauczyć polować. Strzelał całkiem nieźle. Ernest widział, jak trafiał do celu z dość dużą dokładnością. Dopiero widok krwi źle na niego działał. Susie wychowała się wśród myśliwych i tłumaczyła Danowi, że to sprawa ekologii, chodzi bowiem o utrzymanie populacji jeleni na odpowiednim poziomie. Jednak ważne było również to, że mogli całą zimę jeść dziczyznę, gdy skończył się już sezon myśliwski. Dan niby się z tym zgadzał, ale gdy tylko Mary przyrządziła stek z dziczyzny, Ernest widział, jak obracał go na talerzu i nie mógł się do niego zabrać. No cóż, nie miał zamiaru tego zmieniać. Jeśli Dan się do tego nie nadaje, sam musi to orzec. Tymczasem był nieszkodliwym kaleką w wyprawach myśliwskich.

Jeleń podniósł głowę, poruszając nozdrzami przy ostrożnym wciąganiu powietrza. Podobnie jak Ernest, napiął mięśnie swego muskularnego ciała. Ostrożnie unosząc broń, wziął jelenia na cel. Przez chwilę odczuwał jedność myśliwego z ofiarą, związanych przeznaczeniem. Ernest delikatnie położył palec na spuście i zaczął go naciskać.

Przenikliwy krzyk przeszył powietrze. Ernest przygotowany do strzału wypalił i niemal stracił równowagę. Jeleń obrócił swoje niezwykle poroże, popatrzył na Ernesta i szybko umknął,

łamiąc kruche gałęzie.

Skurczybyk, pomyślał Ernest. To już koniec. Mam to w nosie. Choćby mnie błagali, nigdy już nie zabiorę tego ignoranta! Rozpoznał głos Dana wołającego go przeraźliwie. Ernest zawiesił na ramieniu broń. Był wściekły. Zawsze uważał się za człowieka spokojnego i rozsądnego, który w gniewie nigdy nie użyłby broni. Przez chwilę jednak, przedzierając się przez gęstwiny, zrozumiał, że sprawy mogą wymknąć się spod kontroli, jeśli ludzie mają przy sobie broń.

– O co, do diabła, chodzi? – zapytał, gdy tylko zbliżył się do swojego zięcia.

Dan opierał się o drzewo. Jego twarz była szarozielona.

– Tato – wyszeptał głosem pełnym przerażenia, tak że cały gniew Ernesta gdzieś wyparował.

– Popatrz – drżącą ręką pokazał na zagajnik rachitycznych drzew.

Ernest podszedł do niego i spojrzał we wskazanym kierunku.

– O Boże! – Nie mógł złapać oddechu. – O Boże!

Obok niego Dan pochylił się wstrząsany torsjami. Ernest patrzył przerażony na makabrycznie poranione ciało dziewczyny w rozdartej bluzce i z opuszczonymi spodniami. Robaki opanowały już zwłoki. Oczy miała otwarte, niewidzące.

Ernest nic nie powiedział. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wyciągnął rękę i poklepał Dana po plecach. Następnie oparł karabin o pień drzewa, zdjął kurtkę i podszedł do miejsca, gdzie leżała. Klękając obok niej, przykrył ją kurtką, delikatnie jak ojciec, który wieczorem otula śpiące dziecko.

Pół godziny później cichy las przekształcił się w makabryczne targowisko. Policja, fotografowie i dziennikarze wydeptywali ścieżki wokół krzaków. Kamery wideo brzęczały zza żółtej taśmy policyjnej okalającej teren. Radia wydawały swoje dźwięki. Asystent prokuratora okręgowego dyskutował z policją i jednocześnie porozumiewał się przez telefon komórkowy ze swoim biurem.

Ernest Unger, szary na twarzy, siedział na odwróconym wiadrze, które Dan znalazł w samochodzie, i małymi łykami popijał zwietrzałą coca-colę, którą jego zięć przelał do termosu. Dan stał za nim, opierając rękę na jego ramieniu, w czasie gdy cierpliwie, po raz kolejny opowiadali policjantom, w jaki sposób natknęli się na ciało.

Frank Cameron odwrócił wzrok od ciała Rebeki Starnes, gdy mężczyźni z biura koronera z troską przykryli je i umieścili na noszach, zabierając z tego miejsca spoczynku na leśnym poszyciu. Zwrócił się do doktora Simona Tillisa, wkładającego przyrządy medyczne do swojej torby.

– W jaki sposób umarła, doktorze? – zapytał.

– Właściwie została postrzelona w głowę z niedalekiej odległości. Sądząc po ranie wlotowej, był to niewielki pistolet, ale musimy mieć kulę, by się upewnić – wyjaśnił lekarz.

- Była bardzo poraniona.
- Została tutaj przycignięta, zgon nie nastąpił od razu.
- No ładnie – rzekł Frank, myśląc o matce dziewczyny ściskającej szkolne zdjęcie córki. –

Czy to na tle seksualnym?

Koroner się wzdrygnął:

- Na to wygląda. Nie ma jednak pewności, dopóki nie dostaniemy wyników ekspertyzy.
- Ci zbrojeńcy zazwyczaj używają noży albo, jeszcze lepiej, duszą swoje ofiary – zauważył

Frank.

- To prawda, ale biorąc pod uwagę stan, w jakim ją znaleźliśmy... – zaczął doktor.
- Racja – przerwał Frank. – Kiedy będą wyniki?
- Myślę, że jutro.
- Niech pan ich pogoni. Te wyniki są na wczoraj – warknął Frank. Doktor Tillis nie przejął

się zbytnio gniewem Camerona.

- Zobaczmy, co da się zrobić – odparł.

Pete Miliard podszedł do Franka i razem patrzyli na umieszczone z tyłu samochodu, okryte ciało dziewczyny.

- To co? Na tle seksualnym, czy chodziło o dziecko?
- Trudno powiedzieć. Wygląda na to pierwsze, ale trzeba czekać na wyniki.
- Jeśli to seks... – zaczął Pete.
- Tak. Jakieś ślady...? – spytał Frank.

Pete zrozumiał skrót myślowy szefa. Sam myślał o Justinie.

- Przeczesują teren – odpowiedział.
- Spóźniliśmy się – zauważył Frank. Pete przytaknął.
- Cholera. Biedna kobieta.

Frank nie cierpiał tego. Obawiał się chwili, gdy będzie musiał zapukać do drzwi Sandi Starnes i znaleźć odpowiednie słowa, by wytłumaczyć, co się stało z jej ukochaną, radosną córką.

– Może znajdziemy dziecko – z nadzieją w głosie odezwał się Pete. – To chyba dobry znak, że nie ma go tutaj.

- Akurat – prychnął Frank, błędząc wzrokiem po drzewach w tym cichym lesie. – Świetny.

Rozdział trzynasty

Heather Cameron siedziała samotnie przy sześciuosobowym stoliku. Taca z nieruszoną lunchem stała przed nią, a ona udawała, że czyta książkę. Starła się nie zwracać uwagi na to, że koledzy i koleżanki unikali jej.

Wydawało jej się, że przez gwar stołówki przebiegał szmer z wyraźnie słyszalnym jej imieniem. Nie miała zamiaru patrzeć na kogokolwiek. Nie chciała dać im satysfakcji. Serce zaczęło jej walić ze strachu, gdy zobaczyła dwie osoby zmierzające do jej stolika. Utkwiła wzrok w książce i modliła się, by poszli sobie gdzie indziej. Zamiast tego dwie tace wylądowały na jej stole, jedna naprzeciwko, a druga obok. Poczuli się osaczona i próbowała powstrzymać piekące łzy. Pochyliła głowę, gdy usłyszała miły głos:

– Cześć, Heather.

Spojrzała ostrożnie. Karla i Richie, którzy szli dziś z nią do szkoły, rozmawiając bez troski, jakby nieświadomi ponizienia Heather z powodu oficjalnego nazwania jej kłamcą, zatrzymali się teraz przy jej pustym stole. Richie stał przed nią, a Karla za nim.

– Cześć – wymamrotała Heather podejrzliwie, przyglądając się tej parze. Rano myślała, że są po prostu mili, wychowała się przecież z Karłą w sąsiedztwie. Ponieważ Karla zawsze była piękna i miała chłopców, nie było jej trudno być miłą, pomyślała Heather. Ale to było zbyt miłe. Była pewna, że coś knuli, zwłaszcza gdy zauważyła, jak wymieniali znaczące spojrzenia.

– Możemy się przysiąc? – spytała Karla.

– Pewnie, jeśli chcecie – odparła Heather bez uśmiechu. Karla usadowiła się i odwijając słomkę, zagadnęła:

– Czy słyszałaś o tej dziewczynie z Perpetual Sorrows?

– Jakiej dziewczynie?

– No tej, którą porwano z dzieckiem.

– Ach, tak.

– Znaleźli ją. Twój tata był w telewizji.

– I co? Wszystko w porządku?

– Nie – wtrącił się Richie. – Ona nie żyje.

– O Boże! – Heather zamknęła książkę.

Trójka młodych ludzi siedziała w milczeniu, jakby nie dowierzając, że komuś w ich wieku, w tym mieście mogło przydarzyć się coś takiego.

– Słyszałem, że przesłuchiwali pana Blake'a w tej sprawie – oznajmił Richie. – Twój tata go aresztował.

Twarz Heather zapłonęła. Żałowała, że nie może zapaść się pod ziemię.

– To głupie – odezwała się.

– Dlaczego, przecież to zboczeniec – zdziwił się Richie. – Sama tak mówiłaś.

Karla rzuciła Richiemu ostrzegawcze spojrzenie, na co Heather zabrała się znów do czytania.

– Co czytasz? – zapytała Karla.

Dziewczyna musiała najpierw spojrzeć na książkę, by móc odpowiedzieć na to pytanie.

– Algebra – rzuciła.

Zerknęła na Richiego popijającego coca-colę z puszki, lecz ten unikał jej wzroku. Wtedy zwróciła się do Karli:

– A dlaczego wy jesteście dla mnie tacy mili?

Richie zrobił niewinną minę zraniony tym pytaniem. Ale jego towarzyszka nie miała zamiaru niczego udawać. Wsadziła słomkę do kartonika z mlekiem i zamieszała.

– Musicie mieć jakiś powód – Heather uparcie domagała się odpowiedzi.

– A nie możemy być mili tak po prostu? – protestował Richie.

Heather skrzywiła się.

– Nie próbujcie się ze mnie nabijać. Już wystarczy. Wszyscy wiedzą, że jestem jak trędowata z powodu tej sprawy z panem Blakiem.

– No dobrze, Heather, masz rację. Chodzi nam o coś, ale nie chcemy ci zrobić krzywdy, obiecuję.

– Ale coś chcecie.

Richie westchnął i ugryzł kawałek pizzy.

– W pewnym sensie – wyjaśniła Karla.

Heather zrobiło się słabo. Mimo że było to podejrzane, chciała wierzyć, że tych dwoje pięknych ludzi starało się z nią zaprzyjaźnić. Nie było to wielkim rozczarowaniem, bo to złudzenie trwało krótko, ale jednak...

Karla położyła małą piękną dłoń na jej ramieniu.

– Heather – zaczęła. – Znamy się od zawsze, prawda? Ta pokiwała tylko głową, nie mogąc ukryć rozczarowania.

– Wierzę ci, Heather, to znaczy w pewnym sensie. Heather wzdrygnęła się, jakby właśnie tego oczekiwała.

Richie pochylił się nad stołem. Piękne zielone oczy patrzyły na nią szczerze, od czego dziewczynę ścisnęło w dołku. Jakie to musi być uczucie – mieć takiego jak ten chłopaka, chłopaka, który cię lubi.

– Heather, wiem, że wszyscy myślą, że pan Blake to taki fajny facet i tak w ogóle, ale ja tak nie uważam. Postawił mi jedynekę na semestr i nie pozwolił zapisać się do drużyny.

– Nie zasłużyłeś sobie na to? – z sarkazmem zapytała Heather.

– Nie byłem na teście, bo nabawiłem się kontuzji na wuefie, a później nie pozwolił mi tego

napisać. Powiedział, że to automatycznie jedynka.

– Dlaczego nie przyniosłeś usprawiedliwienia?

– Przyniosłem zwolnienie lekarskie, ale dla niego to nic nie znaczyło. I jeszcze powiedział, że skoro jestem taki słaby, to nie mogę należeć do drużyny. To świnia.

– Czemu nikomu o tym nie powiedziałaś, rodzicom albo dyrektorowi?

– Tak jak ty?

Heather westchnęła: – Ale dlaczego, dlaczego to zrobił? Chłopak zrobił minę i zgniatając puszkę odparł:

– Myślę, że próbował dobierać się do Karli.

– No, też coś!

– Naprawdę. Ciągle mnie o nią wypytywał i powiedział, że ona na pewno pomogłaby mi dostać się do drużyny.

– Nie zrobiłby tego – zaprotestowała Heather. – On nie...

– Nie co? A myślałem, że obiecywał ci lepszą ocenę.

– Nie chcę o tym mówić – wzdrygnęła się Heather.

– Naprawdę mieliśmy nadzieję, że go wyleją za to, co zrobił tobie – przyznała Karla.

– No cóż, ja też.

– I prawdopodobnie tak by się stało, gdybyś nie zmieniała swoich zeznań – ostro ją zbesztala.

– Czemu to robiłaś? Czemu w ogóle nie pojawiłaś się w sądzie?

Oskarżona zacisnęła mocno zęby i utkwiała wzrok w tacy. Twarz jej płonęła. Pragnęła, żeby sobie poszli.

– Nieważne – szepnęła.

– Lubiałaś go? – pytała Karla.

– Nie.

Karla i Richie wymienili spojrzenia.

– Chodzi o to, Heather, że słyszałam już o nim plotki. Nic pewnego, ale zawsze.

– Spróbuj to udowodnić – szyderczo poradziła jej Heather.

Karla pochyliła się nad nią, złapała za rękę i oznajmiła:

– To właśnie chcemy zrobić. Chcemy go dostać i chyba znaleźliśmy sposób. A przynajmniej mamy pomysł.

Heather z nadzieją zabiło mocniej serce na te słowa. Zdała sobie sprawę, że nawet w czasie procesu bardzo chciałaby dostać za swoje. Decyzja, by oskarżyć go publicznie, nie była przemyślana. Nie myślała, że sprawy zajdą tak daleko. Ale teraz zrobiła z siebie pośmiewisko i zrozumiała swój błąd. Patrzyła zachwycona na nowych sprzymierzeńców.

– Naprawdę? – nie dowierzała.

– Tak – upewniła ją Karla i zapytała: – Chcesz nam pomóc?

Rozdział czternasty

Paulina Tomczuk spojrzała na zegarek i zdenerwowała się. Od godziny szukała Ellen, ale bez rezultatu. To było denerwujące. Przecież mogła być wszędzie. Paulina odwiedziła już wszystkie miejsca, gdzie mogła być Ellen. Szklarnię, skąd brała kwiaty, i kilka sklepów, gdzie rzadko robiła zakupy. Jeździła wolno ruchliwymi ulicami, zaglądała na parkingi Taylorsville, ale nigdzie nie było czerwonego dżipa Ellen.

Jestem kucharką, nie detektywem, pomyślała ze złością, skręcając w bramę cmentarza, gdzie spoczywał Kenny. Ponury, nieosłonięty teren był cichy i pusty. Suche liście leżały na zielonych jeszcze trawnikach, unosił je lekko wiatr i opadały na surowe płyty nagrobne. Paulina jechała wijącymi się alejami cmentarza, zatrzymując się na chwilę w miejscu spoczynku dziecka. Wybrali miejsce pod drzewem, które wiosną pięknie kwitło. Teraz, w październikowych szarościach, jego gołe gałęzie wyglądały żałośnie, oplatając nagrobek jak matczyne ramiona.

O tej porze każdego roku pan H. zawsze niepokoił się o swoją żonę. Urodziny były najgorsze. Paulinie wydawało się, że Ellen całkiem dobrze zniosła ten dzień. Była zajęta i wesola, co jeszcze bardziej martwiło pana H., niż gdyby była płaczliwa. Paulina zaczynała zgadzać się z nim.

Nie była wprawdzie ekspertem od chorób psychicznych, ale wychowała czworo dzieci, które wszystkie, dzięki Bogu, były zdrowe i normalne, w przeciwieństwie do jej wnucząt. Ale oni nigdy nie przeżyli tego, co Ellen. Tego się nie zapomina. Tak czy inaczej, gdy po południu przyszła do pracy i zadzwonił pan H., Ellen nigdzie nie było. Mówił, że dzwonił od rana, ale nikt nie odbierał. Był bardzo zdenerwowany i Paulina wiedziała dlaczego. Ellen prawie nigdzie nie wychodziła, a jeśli już, to zastanawiała się nad tym długo i bardzo szybko wracała. Paulina zgodziła się, że pojeździ trochę i jej poszuka. Zdjęła fartuch, wgramoliła się do samochodu i oto straciła godzinę.

– Nie umiem czytać w myślach – powiedziała głośno. Była zdenerwowana, że nie udało jej się wykonać powierzonego zadania. – Nie jestem detektywem – przyznała się samej sobie.

A może jest już w domu? Może się minęłyśmy? Muszę jeszcze przygotować kolację. Wracam, zdecydowała.

Gdy tylko wyjeżdżała z cmentarza, przyszło jej do głowy jeszcze jedno miejsce, weterynarz. Ellen była tak przejęta kotkami, że może pojechała po coś do weterynarza. Spróbuję jeszcze tam – pomyślała, skręcając w River Road. Kilka minut później rzut oka na parking wystarczyłby wiedzieć, że i tu nie ma Ellen.

– Muszę wracać – orzekła. Nie mogła przecież tak jeździć przez cały dzień. Rzuciła okiem na figurkę Matki Bożej przyczepioną do deski rozdzielczej. – Będziesz musiała się nią zaopiekować.

Gdy tylko wypowiedziała te słowa, zobaczyła w oddali czerwony samochód stojący na poboczu. Podjechała i zatrzymała się za zaparkowanym dżipem. Paulina zacisnęła z niepokojem usta. Wysiadając zobaczyła, że samochód był pusty, a w zasięgu wzroku nie było nikogo.

– Pani H. – zawołała. – Ellen!

Oprócz suchych liści i śpiewu ptaków las był cichy. Na drodze widoczne były ślady poślizgu, a skrawki gumy z opony leżały w suchej trawie.

– Ellen – wołała Paulina.

Odwróciła się, słysząc szelest liści w krzakach za nią, ale nikogo nie zauważyła. Musiało to być zwierzę. Wtem usłyszała dobiegający z głębi lasu płacz. Paulina nie była zbyt odważną osobą, ale po chwili wahania ruszyła w kierunku świerków. I zaraz zobaczyła ją. Ellen na kolanach przeczesywała krzaki niemal czołgając się po ziemi.

– Pani H.!

Pobiegła do niej nie zważając na gałęzie, które drapały jej nogi. Granatowe, płaskie buty nie nadawały się do przedzierania się przez lasy, ale rzuciła się na pomoc tej kruchej istocie, nie wiadomo czemu leżącej na ziemi. Ellen spojrzała i Paulina dostrzegła przerażenie w jej oczach. Wyciągnęła ręce jak dziecko. Paulina złapała ją i przygarnęła:

– Co pani tu robi?!

– Szukam kotka – żałośnie odparła Ellen, łapiąc Paulinę za rękaw.

– Jakiego kotka?! – dopytywała się kompletnie zaskoczona.

– No, tego, którego dałam tej małej dziewczynce.

Paulinie zabrało kilka chwil, by zorientować się w tym, co jej pracodawczyni mówiła.

– Dlaczego miałby być tutaj? To oni już go nie mają?

Ellen mocno ścisnęła rękę Pauliny.

– Kotek uciekł, nikt się o niego nie zatroszczył. On jest taki maleńki, a ja go wydałam. Nie powinnam była tego zrobić. Szukam i szukam, i nie mogę go znaleźć.

Paulina uklękła w liściach, nie bacząc na to, że liście przyczepiły jej się do rajstop, a błoto oblepiło buty. Nie rozumiała zbyt wiele z tego, co mówiła Ellen, i to ją przerażało. Co ona tu robi w lesie na ziemi? Wciąż zadawała sobie to pytanie. Nic dziwnego, że pan H. się martwił... Otoczyła ramionami tę delikatną kobietę i pogłaskała jej bujne loki.

– Już dobrze – uspokajała. – Kotkowi nic nie będzie, a my musimy już iść.

– Ale ty nie rozumiesz – przekonywała ją Ellen kręcąc głową. – To jakiś znak, kara.

– Co za nonsens. Chodźmy już, musimy wracać.

Ellen pokiwała głową. Paulina zastanawiała się, jak ona opowie to wszystko panu H. Łatwo dostrzec można było w tym oznaki kryzysu. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy, gdy o tym usłyszy. Nie tym razem. I nie po raz pierwszy Paulina żałowała, że jej pracodawcy nie mieli silnej wiary, do której by mogli zwrócić się w trudnych chwilach. Ona zawsze odnajdywała

spokój w modlitwach, a paciorki różańca wyznaczały linię jej życia. Paulina zaczęła się modlić, chwytając Ellen, pomagając jej wstać i przedrzeć się przez las z powrotem do samochodu.

Chociaż dom Donny i Johna Wallace'ów był pełen ludzi, oprócz dźwięku włączonego cały czas telewizora, słychać było tylko lekki gwar. Na stole w kuchni było dużo jedzenia owiniętego w papier czy folię, a wszędzie było pełno cioc, wujków i kuzynów. Johnny Wallace popijał piwo, jako że był to jedyny sposób na uspokojenie. Oparty o stół kuchenny, wpatrując się nieobecny wzrokiem przed siebie ledwie słyszał siedzącego przy stole starszego brata, który próbował z optymizmem spojrzeć na sytuację.

W sypialni Donna Wallace siedziała na łóżku, gdzie piętrzyły się pluszowe zwierzęta. Ciągle miała na sobie koszulę Johnny'ego zarzuconą na koszulę nocną, a na nogach kapcie. W prawej dłoni ścisnęła całą garść mokrych chusteczek. Wpatrywała się w zdjęcie Justina stojące na nocnym stoliku. Zostało zrobione w momencie, gdy pies babci łasił się do chłopca i dziecko piszcząc z zachwyty.

Donna Wallace wiedziała, co należy zrobić. Słyszeli już o Rebecce i w telewizji, i przez telefon. Przez tych kilka dni od zaginięcia Justina tłum w ich domu nie zmniejszał się. Jej wściekli krewni odganiaли reporterów, nie pozwalając nikomu zbliżyć się do niej. Ale nie mogli jej ochronić przed tą powinnością... Wstała, choć trzęsły jej się nogi i wyrzuciła chusteczki do kosza. Zdjęła flanelową koszulę męża oraz piżamę i ubrała się powoli. Założyła czystą bluzkę i ciemne getry. Następnie ubrała skarpetki i eleganckie buty. Tenisówki nie byłyby odpowiednie.

Spojrzała w lustro. Twarz miała bladą, oczy podkrążone. Położyła odrobinę różu na policzki. Ostrożnie nałożyła pomadkę. Włosy miała beznadziejne. Nic jednak z nimi nie zrobiła. Gdy otworzyła drzwi, skrzypnięcie zaalarmowało kuzyna Rose, który przyjrzał jej się podejrzliwie.

– O co chodzi, kochanie?

– Powiedz Johnny'emu, że jestem gotowa – poprosiła.

– Czy jesteś pewna...?

– Powtórz mu, tak?

Rosę powlókł się niechętnie spod drzwi i po kilku minutach przyprowadził Johnny'ego. Ten wślizgnął się do pokoju, trzymając długą kurtkę z kapturem.

– Załóż, będzie ci potrzebna.

Donna spojrzała na męża i zauważyła, że się ogolił. Pokiwała głową z aprobatą i lekko dotknęła ręką jego gładkiej twarzy.

– Wyjdziemy tylnym wejściem – zaproponował i pomógł jej włożyć okrycie. Bolały ją ramiona jak przy grypie.

– Dobrze – wyszeptała.

– Gotowa? – upewnił się.

W jego spojrzeniu była jakaś siła i Donna jeszcze raz pomyślała sobie, jakie to wielkie szczęście, że za niego wyszła.

Johnny wziął ją za rękę i wymknęli się z domu, zostawiając za sobą grupę ludzi dyskutujących w dużym pokoju. Dzień był zimny i mokry. Donna zatrzęsała się od jesiennego chłodu mimo kurtki. Johnny trzymał ją mocno za rękę, gdy tak szli po trawie, mijając kolejne domy. Na szczęście nikt z sąsiadów nie miał płotu. W końcu przybyli na znajome patio małego domu Sandi Starnes. Plecione biało-zielone meble ogrodowe w niezbyt już dobrym stanie nie zostały jeszcze sprzątnięte. Złożony parasol zatknięty w stół wyglądał szaro i brudno.

Johnny i Donna wymienili spojrzenia, Donna kiwnęła głową. Johnny zapukał w szklane drzwi prowadzące na patio.

Duży opryskliwy mężczyzna podszedł, odsunął zasłony i przyglądał się im przez chwilę. Wyglądał na zmieszanego, gdy rozpoznał Wallace'ów.

– Możemy wejść? – zapytał Johnny.

Mężczyzna opuścił zasłonę i szorstkim głosem odezwał do kogoś w środku. Donna i Johnny stali przez chwilę, drżąc z zimna i spoglądając na szare niebo.

Przy drzwiach coś się poruszyło, Sandi Starnes odsłoniła zasłonę i odsunęła drzwi. Twarz miała czerwoną od płaczu.

Donna tak bardzo współczuła tej kobiecie.

– Sandi – odezwała się.

– Witaj, Donna.

Przez chwilę wydawało się Donnie, że nie będzie w stanie wykrztusić ani słowa. Że przymarznie do patio i pozostanie jak jakaś statua. Jednak słowa same jakoś przyszły.

– Sandi, może nie chcesz w ogóle z nami rozmawiać. Zrozumiemy to. Ale właśnie dowiedzieliśmy się o Rebecie i musieliśmy przyjść... i powiedzieć... i powiedzieć...

Płacz przerwał jej ostatnie zdanie. Johnny odchrząknął i dokończył mężnie:

– I powiedzieć, jak bardzo nam przykro, i że... jest nam wstyd, że myśleliśmy... że mówiliśmy o Rebecie... – Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Ona zawsze była dobrą dziewczyną.

Donna odwróciła się od drzwi, ukrywając twarz w dłoniach. Sandi ubrana tylko w szary sweterek wyszła na patio i położyła rękę na ramieniu sąsiadki.

Donna odwróciła się i spojrzała na tę starszą kobietę. W oczach miała strach, ale gotowa była przyjąć wszystko.

– Musisz mnie nienawidzić – odezwała się ponuro. – Sama siebie nienawidzę.

Sandi zaprzeczyła. Czowała w sobie dziwny spokój, a nawet współczucie dla tej pary. Kto wie, myślała, co ja bym mówiła, gdyby chodziło o moją Rebeke? Mówi się różne rzeczy. Do głowy przychodzą najczarniejsze myśli. Zazwyczaj okazuje się, że nic takiego się nie stało. Ktoś

poszedł na lody, zapomniał zadzwonić, złapał gumę. Najczęściej nasze obawy okazują się płonne. W głowie mamy już najgorszy scenariusz, wtem drzwi otwierają się i twoje ukochane dziecko stoi radośnie w progu, przynosząc pocieszenie jak słońce po burzy. I wtedy dopiero zaczynasz się awanturować, że napędziło ci tyle strachu.

Sandi popatrzyła na Donnę i Johnna. Byli tacy bezradni, jak dzieci. Ale nie byli już dziećmi. Byli przerażonymi rodzicami zaginionego dziecka.

Sandi uścisnęła drżącą dłoń Donny. Ta, chwyciwszy ją, pod wpływem impulsu ucałowała z wdzięcznością.

– Przynajmniej moje czekanie już się skończyło – cicho powiedziała Sandi.

Rozdział piętnasty

Paulina powitała księdza w foyer posiadłości Hensonów.

– Dziękuję księdzu za przybycie. Wiem, że ksiądz szykuje się do drogi...

– Wszystko w porządku, Paulino. I tak niewiele udało mi się zrobić. – Pomyślał o Maddy w swoich ramionach, o ich krótkim uścisku, który sprawił, że do tej pory był rozgorączkowany. Gdy wyszła, próbował wrócić do pakowania, ale nie mógł. – Ucieszyłem się z twojego telefonu – przyznał szczerze.

Był wdzięczny, że mógł się oderwać od swoich myśli, by służyć innym, jak obiecywał w swych przyrzeczeniach.

– Nie mogłam skontaktować się z jej mężem. Jest prawnikiem i nie było go w biurze. Więc pomyślałam o księdzu. Ona nie jest katoliczką, proszę księdza, ale ma rozdartą duszę. Pomyślałam, że może ksiądz jej pomoże. Ksiądz tak umie sobie radzić z ludźmi. Często sama przecież przychodzę ze swoimi problemami.

Nick uśmiechnął się:

– Z chęcią spróbuję. Mówiłaś, że straciła syna?

– To było bardzo dawno temu. Potem przeszła załamanie nerwowe. Zawsze było ciężko, ale tym razem... Wydaje się, przytłaczał ją jakiś ciężar. Mnie wiara daje dużo siły. Nie chcę jej zmuszać, by wierzyła, ale nie znalazłam innego sposobu, żeby ją pocieszyć. Uprzedziłam, że dzwonię po księdza, ale chyba mnie nie słyszała. Może nawet każe księdzu zostawić ją w spokoju.

– Nie będzie pierwsza, która tak robi – uśmiechnął się. – Ale możemy spróbować.

Gestem poprosiłby wskazała mu drogę, i Paulina weszła na szerokie schody.

Całkiem nieźle poszło – zauważył Doug, radośnie rozluźniając krawat. Siedział w skórzanym fotelu obok mahoniowego biurka, w gabinecie Charlesa Hensona należącego do kancelarii adwokackiej „Henson, Newman i Pierce”. Biura kancelarii mieściły się w odrestaurowanej kamienicy naprzeciw biblioteki publicznej. Prywatny gabinet Charlesa ozdabiały perskie dywany, ustawiane w kilku miejscach lampy od Tiffany’ego oraz pyszny kominek z ozdobnym gzymsem.

Słyszając to, Charles spojrział na swego klienta wygodnie rozpartego w fotelu. Naturalnie, rozumiał jego ulgę. Julia Sewell nie rozpoznała go na konfrontacji i chociaż policja zagroziła, że znajdą innych świadków, najwyraźniej były to czcze pogrożki. Gdy Charles wspomniał o złożeniu sprawy o nękanie, policja wypuściła Douga.

– Na twoim miejscu nie cieszyłbym się tak bardzo – chłodno zauważył Charles. – Sprawa nie

jest jeszcze zakończona.

Z twarzy Douga znikło samozadowolenie, wyprostował się i poprawił krawat. Charles skarcił się, że tak ostro zareagował. Ten człowiek miał pełne prawo do zadowolenia. Może to jego własny niepokój sprawiał, że był rozdrażniony. Usłyszał telefon w sąsiednim pokoju. Zastanawiał się, czy sekretarka wróciła już do biura, bo kiedy wchodzili, nie było jej. Charles w jednej chwili zeszywniał, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie Paulina. Światelko zgasło i Charles powrócił do przeszukiwania swojej teczki.

– Co masz na myśli, mówiąc, że nie jest po wszystkim? – z niepokojem zapytał Doug.

– Cóż, gdy tam poszliśmy, chodziło tylko o zaginięcie. Teraz mamy morderstwo. – Miał na myśli fakt, że odnaleziono ciało Rebeki. – Cameron nie marzy o niczym innym, jak tylko o oskarżeniu ciebie. Najwyraźniej stało się to jego życiowym celem.

– Czy myślałeś poważnie o wniesieniu sprawy do sądu?

Charles bezwiednie pukał piórem „Mont Blanc” o skórzane oparcie fotela.

– Może będziemy musieli. Coś na podobieństwo uderzenia wyprzedzającego. Niech wie, że nie może bezkarnie, pod byle pretekstem cię aresztować.

– Czy byłoby z tego dużo pieniędzy? – zainteresował się Doug, co zniesmaczyło adwokata.

– Doug, to nie loteria. Taka sprawa może ciągnąć się latami. Jak na razie nie mamy dużych szans na wygranie.

– Ale ten portret był tak niewyraźny, że to mógł być każdy – z oburzeniem zaprotestował Doug.

– To równie dobrze mogłeś być ty. Był bardzo podobny. Kobieta nie opisała przecież niewysokiego, łysego czy smagłego mężczyzny...

– Ale nie poznała mnie – upierał się.

– Nie. I miejmy nadzieję, że na tym koniec.

– W takim razie, dlaczego o tym wspomniałeś?

Charles wyczuł w jego głosie rozczarowanie.

– Dopiero co zostałeś uwolniony od poważnych zarzutów i próbujesz odzyskać reputację. Doskonale wiemy, jak gazety potrafią roztrąbić czyjeś potknięcia, choć wcześniej składały gołosłowne obietnice, że pomogą temu komuś odzyskać dobre imię...

– To prawda.

– I ty teraz chcesz wrócić na pierwsze strony gazet, do telewizji? I to tylko dlatego, że szef policji nie może pogodzić się z faktem, iż jego córka kłamała...?

– Teraz rozumiem – przyznał skruszony Doug.

– Proces może być jedynym sposobem walki, gdy zechce postawić cię pod pręgierzem.

– I wtedy to zrobimy?

– Także nie. Właściwie mam nadzieję, że sama groźba wystarczy, by ten człowiek się

opanował. Teraz już powinien zostawić cię w spokoju. Chyba nie chcesz wciągać znowu w to wszystko twojej rodziny?

– Nie... – Doug bezwiednie przygryzł wargę.

Charles spojrział najpierw na zegarek, a później na telefon. Doug rozłożył ręce:

– Nie wiem jednak, co jeszcze mogę zrobić, żeby powstrzymać go przed czepianiem się mnie za każdym razem, gdy jakaś nastolatka usłyszy na ganku hałas. Nie chcę być straszakiem. Chcę z tym skończyć. Nie sądzę, żeby proces był dla mojej żony gorszy niż obecna sytuacja.

Charles westchnął.

– Dlatego, jak powiedziałem, mam nadzieję, że mądrej głowie dość dwie słowie. Jeśli nie, rozważymy inne możliwości. Musisz zdać sobie sprawę z tego, że jeśli wytoczysz proces przeciwko policji, będziesz pod mikroskopem przez najbliższe lata. Z tego co wiem, Maddy chce, by wszystko wróciło do normy.

– Ale to nie jest normalne – upierał się Doug. – To nienormalne, jeśli na każde zawołanie Camerona mam stawiać się na policji. Maddy to zrozumie.

– Być może.

Charles zirytowany był już uporem klienta.

– Zagrożenie wniesieniem sprawy do sądu ma temu zapobiec. Jak dotąd Cameron nie przekroczył granic – nachylił się do Douga. – Dziewczyna nie żyje, dziecka nie odnaleziono, musi więc sprawdzić każdy trop, nieważne, czyje uczucia będą zranione. Jeśli teraz wniesiesz sprawę do sądu tylko dlatego, żeby uzyskać kilka odpowiedzi, to zapewniam cię, że zostaniesz wrogiem publicznym numer jeden.

Doug opadł na fotel.

– No dobrze – wymamrotał. – Przypuśćmy, że masz rację, przynajmniej na razie...

Adwokat aż podskoczył na dźwięk telefonu w tym momencie.

– Przepraszam – zwrócił się do Douga i podniósł słuchawkę. Dzwoniła Paulina. – Połącz mnie – powiedział do sekretarki.

Doug, pogrążony we własnych myślach, wpatrywał się w złamany paznokieć prawej ręki. Charles słuchał relacji gospodyni.

– Jak ona się czuje? – zapytał. – Wszystko w porządku? Słuchał chwilę w milczeniu i nagle zdecydował: – Już jadę. Ostrożnie odłożył słuchawkę na widełki i wstał, zwracając się do Douga: – Bardzo cię przepraszam, muszę nagle wyjść.

Doug niezgrabnie wstał z fotela i wyciągnął rękę na pożegnanie.

– Jeszcze raz ci dziękuję, Charles.

Ten szybko uścisnął jego dłoń i spieszenie wyprowadził Douga z gabinetu, rzucając: – Skontaktuję się z tobą.

Charles przemykał przez zatłoczone w godzinach szczytu ulice, ryzykując mandat za przekroczenie prędkości. Gwałtownie przyspieszał na prostych odcinkach. Nie włączył ani radia, ani odtwarzacza kompaktowego. Nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. W ciszy próbował skoncentrować się na prowadzeniu pojazdu, by nie wpaść w panikę. Chociaż tłumaczył sobie, że na pewno nic się nie stało, miał złe przeczucia.

Wczoraj wieczorem zauważył, że stara, zardzewiała kłódka domku zabaw leżała w koszu na śmieci, zastąpiona nową i błyszczącą. Kawałki farby leżące na chodniku świadczyły o tym, że Ellen skrobała frontową ścianę domku. Twierdziła, że wszystko w porządku, ale on wiedział, że było wręcz przeciwnie i to od dłuższego czasu.

Dotarł do domu, zaparkował mercedesa za czerwonym dżipem Ellen i czarnym buickiem, którego nie mógł rozpoznać. Otworzył drzwi i zawołał Paulinę, rzucając teczkę na komodę w holu. W domu unosił się zapach cynamonu i pieczonych jabłek.

Paulina wyłoniła się z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę.

– Tak się cieszę, że pan przyjechał – powitała go. – Ojciec Rylander jest u niej na górze.

– Ojciec Rylander? Kto to jest?

Paulina wskazała, aby przeszli do gabinetu. Poszedł za nią do ciemnego, oficjalnego pomieszczenia. Ciężkie jedwabne draperie i robione na zamówienie regały zdobiły ściany tego pokoju. Wnętrze ożywiała kompozycja różnobarwnych kwiatów.

– To mój ksiądz – wyjaśniła Paulina.

– Wszystko w porządku? – dopytywał się Charles. – Dlaczego jest u niej ksiądz?

– Najpierw nie mogłam pana złapać. Nie wiedziałam, co robić.

– Co się stało?

– Niemało się namęczyłam, zanim ją znalazłam. Byłam wszędzie. Wie pan, tam, dokąd ona jeździ. Nie ma tego co prawda wiele...

Charles kiwnął głową ze zrozumieniem. Dotknął ręką ramienia gospodyni.

– Dzięki Bogu, że jesteś – westchnął.

– Gdy już nie wiedziałam, gdzie szukać, i zamierzałam wrócić do domu, zobaczyłam jej samochód na River Road. Stał na poboczu.

– Co mogła robić na River Road? – zastanawiał się.

Paulina zmarszczyła czoło.

– Twierdziła, że szuka kota, którego dała tym ludziom z dzieckiem. Znalazłam ją w lesie poranioną, klęczącą w krzakach.

– Mieli wypadek, kot uciekł – wyjaśnił Charles.

– Mówiła coś takiego – przyznała Paulina.

– A o co chodziło z tym sklepem dziecięcym, o którym wspominałaś przez telefon?

– Gdy już wróciliśmy, ktoś zadzwonił z tego sklepu i powiedział, że dziś rano zostawiła tam

portfel.

– Odbiorę go jutro – wzdrygnął się niecierpliwie. – Na pewno kupowała jakiś prezent.

Paulina zaprzeczyła.

– Dziewczyna ze sklepu powiedziała, że Ellen kupiła z pięć ubranek.

– Pewnie gdzieś idzie – bronił żony, szukając w myślach kogoś ze znajomych, dla kogo mógł być przeznaczony ten prezent.

– Mówiła, że ubrania były dla dziecka o imieniu Ken.

Charles poczuł strużkę zimnego potu spływającą po plecach.

– Znalazłam to w jej samochodzie – powiedziała, wręczając mu reklamówkę ze sklepu Precious Littles. – Była pusta. Schowała ją pod siedzenie. Gdy zapytałam, rozżołościła się i udawała, że nie wie, o czym mówię. Potem poszła na górę.

Charles odwrócił się i wyjrzał przez okno.

Ogród Ellen był teraz martwy. Tylko gdzieniegdzie przebijały różowe lub szkarłatne róże na bezlistnych gałązkach. W środku stał domek do zabawy, teraz ciemny i cichy. Puste okna, spiczasty daszek i odpryskująca farba ze ścian. Był wystarczająco duży, by zmieścić całe przedszkole. Pusty i smutny chylił się ku ruinie. Oczy Charlesa napełniły się łzami, gdy przypominał sobie dawne, dobre czasy.

– Paulino – szepnął. – Co się z nią dzieje?

Wstała, odruchowo wycierając ręce w ściereczkę.

– Niech pan lepiej tam pójdzie. Bałam się, że będzie wściekła, że zadzwoniłam do księdza, ale już dosyć długo u niej jest.

Charles wyszedł. Przystanął w holu i spojrzał na schody. Religia. To była odpowiedź Pauliny na wszystko. I to miało działać, zarówno w jej przypadku, jak i rodziny. Ellen nie była w kościele od dnia pogrzebu Kena. Westchnął i wspiał się na drugie piętro, gdzie znajdowała się ich sypialnia.

Akceptował słabostki żony. Wiedział lepiej niż ktokolwiek, ile przecierpiała. On też to przeżył. Ale wrócił do świata, rzucił się w wir pracy, bo co innego mógł zrobić. Musiał utrzymać żonę, dom, no i klienci czekali. Ellen ułożyła sobie życie tutaj, wokół domu, myślami zawsze przy zmarłym synku, i tak już zostało. Po jakimś czasie próbował ją wydobyć z depresji, ale nie chciała. Wydawało się, że rzeczywiście jest jej dobrze. Może nie była zupełnie normalna, ale kto z nas jest normalny?

W drzwiach sypialni Charles spotkał księdza Rylandera.

– Ojcze!

– Pan Henson? – upewnił się Nick, wyciągając rękę na powitanie. – Miło mi pana poznać. Rozmawiałem właśnie z Ellen o panu...

– Czy powiedziała może, co ją gnębi?

Nick zawahał się.

– Jestem dla niej obcy. Rozmawialiśmy trochę o Bogu, jak daje i zabiera, i jak ciężko to wszystko zrozumieć. Ale nie wiem, czy to jej pomogło.

– Dziękuję księdzu za przybycie.

– To dla mnie przyjemność.

Mijając Charlesa Nick uściskał jego ramię i zszedł po schodach.

Przed wejściem do sypialni Charles chwilę się wahał. Spędzili w tym pokoju większą część wspólnego życia. Na początku śmiali się i kochali, później opłakiwali śmierć syna, a często uciekali przed światem. Teraz się bał. Nie mógł się więcej oszukiwać co do jej stanu. Mógł znieść wszystko, tylko nie to... Nawet nie pozwalał sobie o tym myśleć. Otworzył drzwi i zajrzał do środka.

Leżała na łóżku z podwiniętymi nogami, pod satynową kołdrą. Na palcach wszedł do pokoju. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Jej ciemne oczy były pełne strachu.

– Kochanie, jak się masz? W holu spotkałem księdza Rylandera.

– Był bardzo miły.

– Odniosłem takie samo wrażenie.

– Nie mogłam znaleźć kotka.

Okrzyknął łóżko i usiadł przy niej. Wyciągnął rękę i delikatnie pogładził jej siwiejące włosy. Kiedyś były złociste.

– Już dobrze – zapewnił ją. – Wszystko będzie dobrze. – Wiedział, że musi zapytać o ten sklep. Chciał ująć to delikatnie. – Jutro odbiorę twój portfel w sklepie dziecięcym.

Ellen odwróciła głowę.

– Znaleźli go chyba na ulicy – oświadczyła twardo. – Zatrzymałam się przed sklepem, przy kiosku na rogu. Paulina myśli, że byłam w tym sklepie. A co niby miałabym tam robić?

A torba? – stłumił okrzyk. Gdzie są ubrania? Dlaczego sprzedawczyni miałyby kłamać? Nie powiedział jednak ani słowa. Nieugięty w swym sądzie, siedział teraz na łóżku bez słowa. Nie chciał odbierać sobie tej odrobiny nadziei, wymuszając odpowiedź.

Ellen znów odwróciła się do niego. Popatrzyła na jego siwe włosy i zakłopotane oblicze. Chwyciła jego silną dłoń swoją kruchą ręką.

– Przepraszam, Charles – wyszeptała. – Tak się boję. Nigdy w życiu jeszcze tak się nie bałam...

Głaskał ją po głowie. Dałby wszystko, żeby zrozumieć, co znaczą jej słowa.

Zawahała się, ale nie powiedziała nic więcej. Leżała, drząc lekko pod ciepłą kołdrą.

– Nie ma się czego bać – uspokajał ją. – Spróbuj odpocząć. Nie myśl o niczym.

Mówił głosem łagodnym i cichym, a w sercu błagał: Boże, tylko nie to! Czy nie dosyć mi już zabrałeś?! Proszę, tylko nie to!

Rozdział szesnasty

Następnego ranka Maddy i Doug stali na podjeździe własnego domu, drżąc od porannego chłodu. Patrzyli, jak Amy zbiera kolorowy bukiet jesiennych liści.

Doug westchnął.

– To była długa noc.

Maddy pociągnęła z kubka łyk kawy i wpatrywała się w cichą okolicę. Kolejna nieprzespana noc przez nieustanny płacz Seana pozostawiła cienie pod oczyma. Leżeli całą noc obok siebie. Żadne z nich nie spało, ale też nie rozmawiali ze sobą. Wiedziała, że mąż winił ją za tę nieprzespaną noc, ale nie miała ochoty dyskutować.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytała.

– Jadę do mechanika – odparł. – Zobaczę, czy ten ich samochód jest już gotowy. Mówili, żeby przyjechać dziś rano.

Maddy kiwnęła głową.

– Nasz zrobili szybko. Miejmy nadzieję, że teraz też tak będzie.

– Zostanę tak długo, aż zrobią – zapowiedział złowieszczo. – Już mam tego dosyć. Maddy, jutro wracam do pracy. Musimy się ich pozbyć. Potrzebuję ciszy i wypoczynku.

– Wiem – przyznała.

– I tak będzie mi ciężko wrócić z powrotem do szkoły, udając, że nie słyszę szeptów i nie widzę spojrzeń. Jakby tego było mało, teraz mieszają mnie do tej sprawy porwanego dziecka i opiekunki. Myślisz, że cała szkoła nie będzie o tym mówić...? – Przerwał na chwilę. – Mówię ci, Maddy. Nie mogę się doczekać, kiedy wniesiemy sprawę do sądu przeciwko policji. Mam już dosyć tej zabawy.

– Chcesz się zemścić – beznamiętnie zauważyła Maddy.

– Dla plotkarzy to i tak nie ma znaczenia. Żyjesz chyba w wieży z kości słoniowej, jeśli myślisz... Och, nieważne. Jedno wiem, potrzebuję trochę snu, zanim wrócę do pracy.

– Wiem, że potrzebujesz wypoczynku. Oboje jesteśmy zmęczeni.

– Jak mnie nie będzie, porozmawiaj z nią i powiedz, że mają się wyprowadzić jeszcze dzisiaj.

– Dobrze, dobrze – zniecierpliwiała się Maddy i zawołała córkę. – Chodź, kochanie, pójdziemy zobaczyć, czy Sean już się obudził.

Amy podbiegła, podając jej bukiet. Wzięła go machinalnie i całując dziewczynkę, patrzyła jeszcze, jak Doug wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku warsztatu samochodowego. Wtedy dopiero otworzyła drzwi wejściowe i razem z córką weszła do środka. Rozejrzała się po

mieszkanu z niesmakiem. Wszędzie było pełno rozrzuconych rzeczy. Bonnie nie bałaganiła. Wręcz przeciwnie, była pedantyczna w swoich obowiązkach. Jednak dwie dodatkowe osoby w domu, i aktualne kłopoty, robiły swoje. Bonnie i Sean byli jeszcze na górze.

Posadziła Amy i dała jej puzzle, a sama zabrała się za porządki. Rutyna prac domowych podzielała na nią uspokajająco. Wrzucając rzeczy do pralki, pomyślała, że może Bonnie ma coś do prania. Jeśli już miała ich wyrzucić na bruk, to należało chociaż zrobić im pranie.

Weszła na górę i zbliżając się do ich pokoju, usłyszała znajomy płacz dziecka. Lekko zapukała do drzwi.

– Czego chcesz? – gburowato zapytała Bonnie.

Maddy otworzyła drzwi i weszła do środka. Panował tu nienaganny porządek. Rzeczy Bonnie ułożone w stosik leżały przy walizce. Od razu było widać, że nie ma zamiaru się tu rozgościć. Siedziała na łóżku, czytając książkę. Maddy zauważyła, że był to romans historyczny. Sean siedział oparty o krzesło, mrucząc i wkładając paluszki do buzi. Obok niego na podłodze leżała maskotka Amy.

– Robię pranie – zaczęła Maddy. – Chciałabyś coś dorzucić? Bonnie niechętnie popatrzyła na kupkę ubrań przy walizce.

– Może rzeczy Seana? – dopytywała się.

Bonnie spuściła nogi na podłogę i podniosła walizkę. W przeciwieństwie do zniszczonych ubrań mamy, Sean miał wszystko nowe. Typowe, pomyślała Maddy. Zawsze bardziej troszczymy się o dzieci niż o siebie.

Po chwili namysłu Bonnie wyszukała i wręczyła Maddy kilka par spodni i koszule.

– No cóż, skoro pierzesz...

Maddy wzięła ubrania i zwinęła je. Wiedziała, że musi teraz powiedzieć Bonnie o decyzji Douga. Obiecała mężowi. Już miała to zrobić, ale słowa nie chciały jej przejść przez gardło. Zastanawiała się, ile Bonnie zdołała usłyszeć z ich rozmowy na temat ubezpieczenia. Nikt już o tym nie wspominał, ale być może Bonnie poruszy tę sprawę teraz. A może będzie jej grozić, gdy Maddy każe się im wynosić. Bonnie była nieprzewidywalna, nie wiadomo, co mogło ją wytrącić z równowagi. Nie rób uników, nakazała sobie. Powiedz jej, a potem niech się dzieje, co chce.

– Bonnie, musimy porozmawiać.

Bonnie zasunęła zamek walizki i spojrzała na nią zmęczonym wzrokiem.

– Wiem, że mówiłam, że możecie zostać – ciągnęła Maddy – jak długo chcecie. Ale... jest mi naprawdę przykro z tego powodu...

– Mamy się wyprowadzić – domyśliła się Bonnie.

– Doug pojechał zobaczyć, co z samochodem – rzekła niepewnie. Bonnie ostrożnie ułożyła walizkę na podłodze, jakby zawierała materiały wybuchowe. Maddy nie widziała wyrazu jej

twarzy.

– Właściwie moglibyście zostać – pośpiesznie dodała. – Tylko dziecko płacze całymi nocami... Mąż wraca jutro do pracy po dłuższej nieobecności i trochę się denerwuje, bo nie może spać.

Bonnie wyprostowała się, ale nie patrzyła na Maddy. Przez chwilę Maddy bała się panicznie, że ta kobieta zaraz się na nią rzuci.

– Naprawdę bardzo mi przykro.

Bonnie usiadła ponownie na łóżku i chłodno przyglądała się dziecku. Cały czas kwiliło.

– Nic nie szkodzi. Ja sama już też ledwo go znoszę...

W jej głosie nie było urazy. Właściwie była bardziej ugodowa, niż można się było spodziewać. Maddy poczuła się jeszcze bardziej winna:

– Każdemu trudno wytrzymać, gdy tak płacze.

Bonnie z niezadowoloną miną przez chwilę przyglądała się dziecku.

– Ciężko czasami zrozumieć, o co mu chodzi.

Maddy zgodziła się i, już w drzwiach, dodała z wahaniem: – Jest dużo łatwiej, gdy dzieci zaczynają mówić. Bonnie odezwała się tępym głosem:

– Matka zawsze mi mówiła, że będę okropną matką. Ostrzegła mnie. Jej zdaniem w niczym nie byłam dobra. Mówiła też, że nikt mnie nie zechce. – Zaśmiała się krótko. – I pomyliła się.

Maddy dostrzegła na jej twarzy smutek skrzywdzonego dziecka. Dlaczego matka tak do niej mówiła? Nic dziwnego, że teraz Bonnie zachowywała się w ten sposób.

– Myślę, że pierwszy rok dziecka jest najtrudniejszy. Przynajmniej dla mnie taki był – przyznała Maddy.

– Był dla ciebie ciężki? – nie dowierzała.

– Jeszcze jak. Wszystko było takie nowe, nie wiedziałam, co robić.

– Gdy tak płacze cały czas, człowiekowi się wydaje, że do niczego się nie nadaje – wtrąciła Bonnie.

Z opuszczonymi ramionami wyglądała tak żałośnie, że Maddy chciała ją przytulić.

– To minie – tłumaczyła. – Myślę, że najlepiej jest wtedy często i mocno je przytulać.

Bonnie popatrzyła na Seana, jakby taka myśl nigdy nie przeszła jej przez głowę. Założę się, że ciebie nikt nie przytulał, pomyślała Maddy, patrząc ze smutkiem na Bonnie.

– Może ząbkuje? – ostrożnie podsunęła. – Amy też tak płakała w tym okresie. Czasami pomaga, jeśli dać dziecku mokrą ściereczkę do żucia.

Bonnie najpierw się nastroszyła, ale później pokiwała głową.

– Możliwe – zgodziła się.

– Przyniosę mu – zaproponowała Maddy i zanim Bonnie mogła zaprotestować, już jej nie było.

Z szafy na końcu korytarza wyjęła czystą ściereczkę i moką przyniosła do pokoju.

– Proszę, Sean.

Dziecko jednak nawet na nią nie spojrzało.

Maddy zastanawiała się, nie po raz pierwszy, czy chłopiec nie jest głuchy. Nigdy nie reagował. Można by tym wytłumaczyć jego ciągły płacz. Postanowiła się nie odzywać. Bonnie nie przyjęłaby tego właściwie. Jeśli miał problemy ze słuchem, na pewno wkrótce sama się o tym przekona.

Bonnie schyliła się po dziecko. Rozplakało się. Bonnie już podniosła rękę, by je uderzyć, ale zamiast tego posadziła malca szybko z powrotem na podłodze, mówiąc: – Nie chce.

Maddy było przykro z powodu zakłopotania Bonnie, żal jej było także dziecka. Odrzucając Bonnie, Sean nieświadomie pogłębiał jeszcze jej brak poczucia własnej wartości.

– Dzieci mają swoje humory – rzekła nieprzekonująco.

– Nie lubi mnie – wyznała Bonnie, kryjąc łzy.

– Nonsens – gorąco protestowała Maddy. – On cię kocha. Przecież jesteś jego matką.

Bonnie uniosła okulary i przetarła oczy.

– Wybacz mi. Jestem trochę... wykończona.

Maddy pokiwała głową ze zrozumieniem. Zmęczenie rzeczywiście odbijało się na twarzy tej kobiety. Wyglądała na przybitą. Znała to uczucie. Ciężko było wytrzymać z marudnym dzieckiem, a co dopiero mówić, gdy dodać do tego męża po operacji. Poza tym Bonnie teraz musiała znaleźć dla nich mieszkanie. Mogło się to nawet odbić niekorzystnie na dziecku. Nie miało przecież pojęcia, że mama potrzebuje spokoju.

Maddy stała w drzwiach, myśląc o tym, co powiedział Doug, że muszą odejść dzisiaj. Dlaczego tak mu się spieszyło? Co mu przeszkadzało, czy zostaną jeszcze jeden dzień czy nie? Wymagała tego zwyczajna ludzka przyzwoitość. To też należało brać pod uwagę.

– Zdrzemnij się – powiedziała w końcu. – Popilnuję Seana. Amy będzie zachwycona, że może się z nim bawić. Później zawiozę was do szpitala.

– Muszę znaleźć dla nas jakiś pokój – słabo protestowała.

– To może poczekać – nalegała Maddy. – Nawet nie masz samochodu.

Bonnie tęsknie spojrzała na poduszkę.

– Jestem taka zmęczona – przyznała.

– Połóż się, naprawdę – zarządziła, podchodząc i wyjmując moką ściereczkę z ręki Bonnie.

Bonnie potulnie ułożyła się na łóżku.

– Dziękuję – wymamrotała. – Jesteś dla mnie taka miła.

Powiedziała to tak, jakby niewiele osób kiedykolwiek zadawało sobie ten trud.

– Nie ma za co.

Maddy schyliła się i podniosła Seana. Był leciutki jak piórko w porównaniu z Amy. Sean

sięgnął po mokrą ściereczkę, którą Maddy trzymała. Przyglądał się jej chwilę badawczo. Następnie włożył ją do buźki i zaczął intensywnie żuć. Szybko się odwróciła, żeby Bonnie tego nie zauważyła. Mogła to poczytać za zdradę. Na szczęście jednak nie patrzyła. Leżała na łóżku odwrócona do ściany, jakby już spała.

– Odpocznij – rzekła cicho Maddy. A zamykając za sobą drzwi dodała: – I o nic się nie martw.

Rozdział siedemnasty

Maddy włączyła w swojej pracowni telewizor na program z kreskówkami. Amy była dzisiaj trochę apatyczna, więc dała jej kilka owsianych ciasteczek. Seana, wciąż jeszcze żującego ściereczkę, posadziła w małym foteliku. Dla siebie znalazła miejsce za wielkim stołem służącym jej za warsztat pracy. Do owinięcia było dużo szkła, a teraz i tak nie miała nic innego do roboty. Ta czynność nie wymagała koncentracji, co było jej na rękę, bo czuła się mocno zmęczona. Na szczęście dzieci były spokojne, a w pracowni panowała cisza. Popijając już drugi kubek kawy, Maddy układała miedziany drut wokół kawałków szkła przygotowanego do wypełnienia okna, nad którym pracowała. Każdy kawałek musiał być najpierw owinięty drutem, a następnie wszystkie części były lutowane. Zajęcie to, chociaż nużące, było niezbędne w tym rzemiośle.

Amy chichotała oglądając ulubioną kreskówkę, w której kot nieustannie gonił mysz. Sean natomiast wydawał się zupełnie niezainteresowany telewizją. Bujał się w foteliku ze ściereczką w buzi. Maddy znów zastanawiała się, czy chłopiec nie ma problemów ze słuchem. Ciężko było go czymś zająć. Pociągnęła jeszcze jeden łyk kawy i zabrała się za niebieski kawałek szkła. Wzór okna był piękny, czuła, że będzie to najpiękniejszy z jej witraży. Poczowała żal, że ksiądz... że Nick już tego nie zobaczy.

Przypomniała sobie ich pożegnalny uścisk. Zarumieniała się, wspominając swoją reakcję na jego bliskość. Maddy nie była naiwna, wyczuwała magnetyzm między nimi. Nie wiedziała tylko, jak to się stało, że nie zauważyła tego wcześniej. A może po prostu nie chciała tego widzieć. W końcu to ksiądz. Kiedyś przypuszczała, że księża, wybierając celibat, mieli jakąś blokadę strzegącą ich przed pokusami.

Teraz jednak musiała przyznać, że nikt nie był od nich wolny. Chodziło o to, żeby ktoś, kto składał śluby, czy to kapłańskie, czy małżeńskie, nie ulegał. To proste, należało tylko dotrzymać ślubu.

Myślała ciągle o ich wczorajszej rozmowie i stwierdziła, że będzie jej go bardzo brakować. Jego przyjaźń, wspólne rozmowy stały się dla niej bardzo ważne w ciągu minionego roku wspólnej pracy. Tyle jeszcze chciała mu powiedzieć. Teraz nie miało to już znaczenia, pomyślała ze smutkiem. Nicka nie będzie i nie należało się spodziewać, że pozostanie w kontakcie. Zwłaszcza teraz, gdy uświadomiła sobie, że ją pociąga. Właściwie jego wyjazd będzie zbawienny dla obojga. Ich przyjaźń mogła się stać zbyt ważna w jej życiu. Mimo że podejrzenia Douga nie były uzasadnione, być może zauważył to coś między nimi.

Najważniejsza była rada Nicka, którą sobie przypomniała. Musiała wspierać męża i umocnić wiarę w jego niewinność. Nieważne, jak bardzo ją rozczarował – była ogromna różnica między beztróską a złem. Ponadto musiała sprowadzić ich małżeństwo na właściwe tory, zarówno dla

dobra Amy, jak i dla siebie. Włożyła w ten związek wiele wysiłku i musiała spróbować odbudować zaufanie między nimi. Wczorajszy wieczór był trudny, ale dziś czuła się lepiej. Ciągle jeszcze zdenerwowana, ale przynajmniej pełna nadziei.

Kreskówka się skończyła. Rozpoczęły się wiadomości. Podano informacje dotyczące śmierci Rebeki Starnes. Maddy zasmuciła się losem tego biednego dziecka tak młodo pozbawionego życia. Poczowała nawet złość na Franka Camerona. Mimo jego gniewu z powodu córki, posądzenie jej męża o taką okropną zbrodnię było karygodne. Spiker zapowiedział powtórzenie wystąpienia rodziców Justina Wallace'a błagających ludzi o pomoc w odnalezieniu synka. To nagranie było bardzo wzruszające. Donna Wallace trzymała zdjęcie synka z polaroida, na którym wyglądał, niestety, jak butelka mleka, z czerwonymi oczkami i burzą loczków.

– Kimkolwiek jesteście, jeśli macie naszego syna, błagam, oddajcie go nam. Nie chcemy procesu ani żadnej kary. Chcemy tylko naszego Justina z powrotem.

Donna Wallace zaczęła płakać i jej mąż Johnny objął ją ramieniem i nachylił do mikrofonu.

– Błagamy, oddajcie nam syna – rzekł głębokim, załamującym się głosem.

Maddy zajęta swoją pracą, patrząc tylko jednym okiem na ekran, nagle usłyszała poruszenie w foteliku, gdzie siedział Sean. Wyprostował się, jak tylko mógł, najwyraźniej poruszony tym, co widział. Miał szeroko otwarte oczy i wydawał dźwięki, brzmiące mniej więcej tak:

– Ta... ta, ta... ta...

Maddy przeszedł dreszcz. Dziecko zaczęło mocniej i szybciej bujać się w foteliku, powtarzając: – Ta ta, ta ta. Amy z ciekawością zapytała matkę:

– Co on mówi, mamusiu?

Maddy wpatrywała się w chłopczyka.

– Nie wiem, kochanie – wyszeptała.

– Chyba „tata” – odgadła Amy.

– Tak, chyba tak.

Właśnie rozpoczął się jakiś teleturniej. Amy oznajmiła, że nie chce tego oglądać. Sean rozplakał się żałośnie, pokazując paluszkami ekran telewizora. Maddy oszołomiona okrążyła swój stół, zmieniła program na *Ulicę Sezamkową*, ukucnęła i delikatnie wyjęła mokrą ściereczkę z rączki Seana. Podeszła do zlewu i odkręciła kurek. Nie bądź głupia, skarciła siebie. Przypomniała sobie Terry'ego Lewisa w szpitalu. Tak jak Johnny Wallace miał ciemne włosy. W tym stanie Johnny wyglądał również na zaniedbanego. Prawdopodobnie to wszystko. Mężczyzna w telewizji przypominał Seanowi ojca. Jeśli to w ogóle próbował powiedzieć.

Pomoczyła ściereczkę, wyżęła ją i pomoczyła znowu. Odwróciła się do dzieci. Sean ciągle jeszcze pokazywał ekran telewizora.

– Po... Po... – płakał.

– Chyba mu chodzi o Ciasteczkowego Potwora – orzekła Amy. – Sean umie mówić!

Maddy wolno podeszła do dziecka. Pomyślała, że nie mówiłby przecież, gdyby nie słyszał. To nic nie znaczy, tłumaczyła sobie. Nigdy nie wiadomo, co dzieci wymyślą. Spojrzała na malca krytycznie. Nie wyglądał na porwanego. Może miał ten sam kolor oczu i włosów, i podobne loczki. To jeszcze o niczym nie świadczyło. Wiele dzieci miało ten sam kolor włosów. To była szalona myśl. Nie bądź głupia, to dziecko Bonnie. Bonnie i Terry'ego – Sean.

Nadal kołysał się w foteliku, a z oczu płynęły po policzkach łzy rozczarowania. Maddy kucnęła za nim i wyszeptała:

– Justin.

Sean odwrócił się do niej zaskoczony. Potem jednak uśmiechnął się, pokazując dziąsła i wyciągnął rączkę po ściereczkę.

Rozdział osiemnasty

Doktor Larry Foreman wjechał windą na trzecie piętro budynku, gdzie znajdował się jego gabinet. Trzymał papierową torbę z kubkiem kawy i słodkim rogalikiem. Skarcił się za to niezdrowe śniadanie, ale w takie dni jak ten było mu wszystko jedno. Na dworze było zimno i okropnie. Gdy szare, ciężkie chmury zupełnie zakrywały słońce, Larry wyraźnie cierpiał. W tej chwili mógł tylko marzyć o spędzeniu zimowych wakacji w domu teściów na Florydzie. Gdyby nie ogromna hipoteka do spłacenia, trzy córki potrzebujące aparatów na zęby, wykształcenia, a wkrótce i hucznego wesela, wyjechałby na kilka tygodni do luksusowej miejscowości wypoczynkowej na Karaibach. Póki co, jedyne co mu pozostało, to dotrzeć do gabinetu i zjeść słodką bułkę na śniadanie. Był bardzo zniechęcony.

Drzwi do gabinetu były otwarte, co oznaczało, że recepcjonistka już jest. Tego dnia pierwszą wizytę miał dopiero za czterdzieści minut – dostatecznie dużo czasu na śniadanie i papierkową robotę, z którą zawsze zalegał. Ukłonił się Arlene, która wskazała ruchem głowy krzesła w poczekalni. Larry skrzywił się, a gdy się odwrócił, ujrzał Charlesa Hensona siedzącego na brzeжку krzesła, z teczką na kolanach.

– Charles? – zwrócił się do niego, nie kryjąc zdziwienia jego obecnością.

Henson powoływał go kilka razy na świadka w charakterze eksperta, ale zazwyczaj umawiali się telefonicznie przez sekretarki. Wieki temu, gdy zaczynał praktykę i miał mało pacjentów, poznał go w innej sytuacji. Ellen Henson, cierpiąca na depresję po śmierci syna, trafiła do niego na leczenie. Było już na to za późno. Zanim mężowi udało się namówić ją na wizytę u specjalisty, jej choroba posunęła się zbyt daleko. Skierował ją więc do szpitala, gdzie poddana intensywnej terapii i działaniu lekarstw zaczęła wracać do zdrowia.

Charles Henson wstał. Twarz miał szarą i zmęczoną.

– Larry – odezwał się. – Muszę z tobą porozmawiać.

Po jego wyglądzie Larry domyślił się, że nie chodzi o klienta. Pomyślał ze smutkiem, że papierkowa robota będzie musiała poczekać, ale poprosił adwokata do gabinetu.

– Usiądźmy przy oknie. Pozwolisz, że wypiję poranną kawę?

Charles posłusznie zajął miejsce i gestem wskazał, żeby Larry się nie krepował.

Psycholog widział już tylu ludzi w depresji i pogrążonych w rozpacz, że umiał rozpoznać ten stan duszy. Wetknął nie napoczęte śniadanie do szuflady, podszedł do okna i usiadł. Ze współczuciem popatrzył na adwokata.

– Co się stało? W czym mogę ci pomóc?

– Chodzi o Ellen – westchnął Charles.

– Tak przypuszczałem. Wyglądasz na bardzo zatroskanego. Charles otworzył usta, zawahał

się, po czym zaczął mówić:

– Próbowałem ignorować pewne zachowania, Larry. Ale pamiętam dokładnie, jak było poprzednio. Powiedziałem sobie wtedy, że na pewno wszystko będzie dobrze, i myślałem, że wszystko się jakoś ułoży...

– Cóż, różnie to bywa w takich sytuacjach – dyplomatycznie zauważył Larry.

– Myślę, że dzieje się coś niedobrego...

– Opowiedz mi o tym.

Charles zwięźle przedstawił wydarzenia z ostatnich kilku dni. Larry wysłuchał wszystkiego, nie przerywając. Wtedy rzekł:

– To rocznica urodzin Kena, prawda?

– Tak, skończyłby w tym tygodniu dwadzieścia jeden lat.

– Urodziny, rocznice zawsze bywają trudne.

– Zawsze jesienią popadała w depresję – przyznał Charles. – Jednak w tym roku jej zachowanie... – Głos mu się załamał.

Larry westchnął.

– Charles, nie chcę wydawać jakiegokolwiek diagnozy, zanim z nią nie porozmawiam. Z tego jednak co mówisz, przydałaby się jej konsultacja z lekarzem.

– Przyjmiesz ją, jeśli uda mi się ją namówić?

– Oczywiście.

Charles wstał szybko i podziękował.

– Wiem, co mam robić.

Larry odprowadził go do samego wyjścia. Gdy przechodzili przez poczekalnię, drogę zagroziła im elegancka kobieta.

– Doktorze Foreman!

Larry dostrzegł siedzącą z boku Heather Cameron, pierwszą w tym dniu pacjentkę, pochyloną nad czasopismem. Do nich natomiast podeszła Mary Beth Cameron, wydymając przepaszająco czerwone, błyszczące wargi.

– Poczekaj na mnie w korytarzu, proszę – zwrócił się do Charlesa. – Pani Cameron, czym mogę służyć? – uśmiechnął się z przymusem.

– Przywiozłam Heather przed czasem, bo dziś rano mam trzy spotkania z klientami i pomyślałam, że może zaczęlibyście troszkę wcześniej...

– No dobrze – zgodził się Larry, tęsknie myśląc o swoim śniadaniu.

– Jak pan ocenia jej stan, doktorze? – padło wyraźnie ciszej zadane pytanie. Heather głośno westchnęła, ale matka w ogóle nie zwróciła na to uwagi. – Myślę, że mógłby pan popracować nad poprawą jej samooceny i wyglądu. Wie pan, nie musiałaby wtedy żyć... w świecie fantazji. Potrzebuje przyjaciół w swoim wieku jak inne dziewczyny i trochę życia towarzyskiego.

– Jeśli chce pani rozmawiać o córce, to proszę umówić się na wizytę. Tymczasem proszę, żeby Heather tu poczekała... – Larry był już zniecierpliwiony. – Proszę mi wybaczyć.

Wyszedł szybko na korytarz, by pożegnać Charlesa.

Tymczasem Mary Beth z godnością uniosła głowę, przesłała córce buziaka i przemknęła obok doktora oraz jego gościa, zupełnie go ignorując.

– Czy to Heather Cameron? – spytał cicho Charles.

– Tak. Sąd nakazał jej te spotkania.

– Lepiej nie mogła trafić – skomplementował.

– Nie jestem pewien, czy to ona potrzebuje pomocy.

– Masz na myśli jej rodzinę? Larry westchnął.

– Dasz wiarę? Jej matka na przykład uważa, że dziewczyna wszystko to wymyśliła... –

W tym momencie przypomniał sobie, że Charles bronił Douglasa Blake'a.

– A ty nie? – Charles najwyraźniej był zaskoczony.

– Przepraszam, ale nie wolno mi na ten temat rozmawiać.

– Ale przecież zmieniała te opowieści kilka razy – przekonywał Charles.

– Charles, niech Ellen do mnie zadzwoni. A ty się nie martw. Wiem, że można jej pomóc.

Poklepał swego klienta delikatnie po plecach i pospieszył do gabinetu, uciekając przed dalszymi kłopotliwymi pytaniami.

Rozdział dziewiętnasty

Maddy nerwowo krążyła po dużym pokoju, wyglądając co chwilę przez okno. Wypatrywała Douga. Dzwonili ze szpitala z informacją, że można zabrać Terry'ego. Maddy miała nadzieję, że Doug zdąży wrócić, zanim Bonnie się obudzi.

W końcu doczekała się i przed dom zajechał najpierw ich samochód, za nim buick Bonnie, na końcu wóz z warsztatu, który miał zabrać mechanika z powrotem. Doug podziękował wszystkim i poczekał, aż odjadą. Maddy przywitała go na schodach przed domem.

– Misja zakończona – oznajmił. – Ich samochód jest jak nowy. Nie mają już pretekstu, by dłużej u nas siedzieć.

Maddy chwyciła go za rękaw i wyszeptała:

– Doug, posłuchaj. Powiem Bonnie, że Amy jest chora i muszę zostać z nią w domu. Dzwonili ze szpitala. Trzeba odebrać Terry'ego. Musisz z nią pojechać i tam poczekać.

– Że co? – nie mógł uwierzyć. – Dlaczego? Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Jutro wracam do pracy. Muszę popracować nad konspektami.

– Możesz zabrać ze sobą papiery do szpitala.

– Dlaczego mamy jej znowu pomagać? Niech sama pojedzie po niego i niech już wreszcie odjadą w swoją dal. Ich samochód czeka.

– Doug, proszę. Musisz ich stąd zabrać. To ważne. Naprawdę.

Doug wyrwał rękę z uścisku. – Maddy, co ty knujesz?

Maddy odetchnęła głęboko.

– Doug, nie myśl, że zwariowałam, tylko mnie posłuchaj – rzuciła spojrzenie w głąb domu. – Myślę, że Sean jest tym porwanym dzieckiem.

– Na litość boską, Maddy! – oburzył się Doug.

– Posłuchaj mnie. Dziś rano dzieci oglądały telewizję. Gdy pojawili się rodzice tego porwanego dziecka, Sean oszalał na ich widok. Cały czas coś gaworzył i pokazywał na ekran.

Doug patrzył na nią jak na wariatkę.

– To dziecko! Tak właśnie zachowują się dzieci. Gaworzą i pokazują palcem telewizor.

– Ale on nie reaguje na swoje imię. Myślałam, że może jest głuchy, ale jak zawołałam: Justin, spojrzał prosto na mnie.

Doug przybrał cierpienniczą minę.

– To śmieszne. Oni są z Maine. Nawet nie było ich w tym czasie w mieście...

– Nie wiemy, od kiedy tutaj są. Poza tym... ona nie zachowuje się jak matka – broniła swojej teorii.

– To ty tak uważasz – podkreślił Doug. – Matki są różne. Moja zawsze traktowała mnie tak,

jakbym był dzieckiem sąsiadów. Nie znaczy to, że nie była moją matką.

– No dobrze. Może zachowuję się dziwnie, ale zrób to dla mnie. Chcę, żeby wyszła z domu, a ja sprawdzę jej rzeczy. Nie możesz chociaż tyle dla mnie zrobić?

– Mówiłem ci, że mają się wynosić.

– Ale jeszcze na razie są i chcę, żebyś to zrobił. Nie tylko dla mnie. Jeśli to jest to dziecko, to raz na zawsze odzyskasz dobre imię. Cameron ciągle jeszcze wierzy, że to ty zabiłeś Rebekę Starnes.

– Jeśli chcesz bawić się w Sherlocka Holmesa, nie udawaj, że robisz to dla mnie.

– A jeśli mam rację? Jeśli Sean naprawdę został porwany? Czy nie możesz poświęcić kilku minut ze swojego życia, żeby się o tym przekonać?

– Myślisz, że to Terry Lewis ją zabił?

Maddy stanął przed oczami ten mężczyzna o wyglądzie rzeźmieszka. Przypomniała sobie ich rozmowę na temat wiary i syna.

– Nie wiem – przyznała. – Nie wiem. Może tylko mi się wydaje, ale muszę to sprawdzić.

– Dobrze, niech ci będzie – poddał się. – Nie chce mi się dyskutować.

– O czym? – usłyszeli głos.

Bonnie stała w drzwiach, przyglądając im się podejrzliwie. Maddy uśmiechnęła się do niej szeroko.

– Właśnie prosiłam męża, żeby zawiózł cię do szpitala odebrać Terry'ego. Amy nie czuje się zbyt dobrze i chcę zostać z nią w domu.

Bonnie popatrzyła na dzieci bawiące się w dużym pokoju.

– Wygląda na zdrową – zauważyła.

– No cóż, trochę się o nią martwię – odparła sztywno.

– Zawiozę panią, proszę przygotować rzeczy – oznajmił Doug.

– Możesz zostawić Seana, przypilnuję go – zaproponowała Maddy.

– Nie mam zamiaru zostawiać go z chorym dzieckiem – odpowiedziała Bonnie i Maddy pomyślała, że może myśli tak źle o tej kobiecie, bo ona tak bardzo jej nie lubi.

Bonnie bez słowa wróciła do domu i zapakowała potrzebne rzeczy. Ubrała Seana w sweterek z kapturem, założyła mu na głowę czapkę, wzięła torebkę i reklamówkę. Maddy nie mogła się doczekać ich wyjścia. Doug zapakował sobie trochę książek oraz notatnik i wyszedł z Bonnie. Spojrzał na żonę, jakby mówiąc: Jesteś mi za to coś winna. Maddy zdenerwowało, że zachowywał się jak męczennik. Czyż nie pomagała mu przez cały ten czas bez narzekania? Czy nie zadłużyli się, by ratować jego reputację, i nie wiadomo, czy kiedykolwiek się wypłacą? Czy prosiła o zbyt wiele?

Mimo to pomachała im na pożegnanie, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

Jak tylko zniknęli za domem, podbiegła do Amy i powiedziała:

– Pójdiesz z mamusią na górę i pobawisz się w swoim pokoju. Dziewczynka wyciągnęła kolorową książkę ze sterty pod ławą.

– Poczytaj mi, mamo, poczytaj „Brzydkie kaczątko”...

– Nie teraz, kochanie. Muszę zrobić coś na górze. Chodź ze mną.

– Ja chcę „Brzydkie kaczątko”!

Maddy westchnęła, spojrzała na zegarek. Miała sporo czasu. Na pewno nie tak szybko wypiszą go ze szpitala.

– No dobrze, już dobrze. Przeczytamy bajkę, ale później pójdziesz z mamusią na górę, dobrze?

Amy z radością przytaknęła i usadowiła się wygodnie, opierając się o mamę. Maddy czytała, pozwalając córce komentować, jak to zwykle robiła. Córeczka gniewała się na złe kaczkę i współczuła kaczątku, które drząc z zimna, nie miało się gdzie skryć.

– No dobrze – rzekła Maddy, zamykając książkę. – Chodźmy na górę i sprawdzimy, czym Amy może się pobawić.

Gdy Maddy odłożyła książkę, Amy wdrapała się jej na kolana.

– Mamo, chcę soczku!

Maddy ujęła się pod boki i popatrzyła na niewinną twarzyczkę córki.

– A co się mówi?

– Proszę.

– No dobrze – westchnęła. – Dostaniesz soczek, ale potem idziemy na górę.

Poszły razem do kuchni, gdzie Amy wybrała sobie kartonik.

– Poczekaj, dam ci słomkę... A teraz chodź szybciej.

Amy pędem rzuciła się do schodów i w okamgnieniu była na górze. Maddy podążyła za córką i gdy już miała wchodzić po schodach, usłyszała pukanie do drzwi.

Serce jej podskoczyło. Któż to mógł być? Z niepewnością podeszła do drzwi. Na progu stała Heather Cameron.

Maddy zaczerwieniła się na widok oskarżycielki Douga stojącej odważnie przed ich domem. Miała na sobie koszulkę, za duże džinsy i niezawiązane zielone tenisówki. W lewej ręce trzymała zniszczony plecak.

– Czy mogę rozmawiać z Dougiem? – poprosiła.

Po chwili szoku Maddy odzyskała siły i przemówiła lodowatym głosem:

– Pana Blake’a nie ma teraz w domu.

– Nie wie pani, kiedy wróci?

– Zawiózł... znajomą do szpitala. Nie wróci prędko.

Heather stała przez chwilę, przygryzając wargi, po czym spojrzała na Maddy i zapytała o szpital.

Maddy zatrzęsła się zdenerwowana.

– Jak śmiesz tu przychodzić, Heather? Nie wstyd ci po tym, co nam zrobiłaś?

Heather zasłoniła się plecakiem jak tarczą.

– Nie zrobiłam nic złego – odparła stanowczo.

– Czego ty chcesz? Czy nie sprawiłaś nam już wystarczająco dużo przykrości? Nie zapomnieliśmy niczego, co mówiłaś...

– Nie przyszedłam, żeby sprawić kłopot. Chcę się tylko dowiedzieć o nim i o Karli – buntowniczo odparła Heather. – Karla mówi wszystkim, że ona i Do... pan Blake są ze sobą. Muszę wiedzieć, czy to prawda.

Chociaż serce Maddy waliło jak młotem, starała się zachować obojętny wyraz twarzy.

– O czym ty mówisz?

– O Karli Needham. Jest naprawdę świetna, zawsze dostaje każdego faceta, którego chce. Mówi, że między nimi są jakieś fluidy.

– Dlaczego zwracasz się do mnie w ten sposób? Nie jestem twoją kumpelką. Mój mąż nie jest jakimś kolegą z klasy. Nie rozumiesz, że mówisz o moim małżeństwie? O moim mężu?

– Cóż, pewnie czuje się pani tak samo jak ja. Proszę mu przekazać, żeby lepiej z nią nie zaczynał. A jeśli będzie próbował, to będzie to bardzo nie fair w stosunku do mnie – oznajmiła. – Zrobię wszystko, żeby tego przypilnować.

Maddy nie wiedziała, czy bardziej szokowała ją ta sugestia, czy sam fakt, że Heather przyszła do nich do domu i wygadywała takie rzeczy. Wyglądało na to, że rozprawa w sądzie niczego tej dziewczyny nie nauczyła.

– Jak pamiętam, miałaś udać się do psychologa po pomoc, Heather. Będę musiała zadzwonić do twoich rodziców i powiedzieć im, że przyszłaś szukać mojego męża.

– Proszę tego nie robić. Ja chciałam tylko wiedzieć. Przepraszam, ja nie chciałam...

– Z tobą naprawdę jest coś nie w porządku – stwierdziła Maddy.

– Proszę mu tylko przekazać, że byłam – rzuciła Heather na pożegnanie.

Odwróciła się i zeskoczyła ze stopnia, jakby grała w klasy.

Maddy patrzyła zaskoczona, jak dziewczyna oddala się alejką, przechodzi przez jezdnię i wsiada do forda escorta zaparkowanego przy następnej przecznicy. Zauważyła też kogoś jeszcze w środku.

Co przyszło do głowy tej dziewczynie, żeby tu przychodzić i sugerować, że Doug interesuje się inną uczennicą? Coś z nią jest nie tak. Może ma jakąś obsesję. Może pomieszało jej się w głowie. Mimo że szalona nastolatka u drzwi nie była czymś zachwycającym, Maddy uspokoiło to przypuszczenie. Zachowanie dziewczyny świadczyło o stanie jej umysłu. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zachowałby się tak.

To przeżycie bardzo Maddy rozstroiło, ale na razie postanowiła o tym nie myśleć. Musiała

zająć się zupełnie inną sprawą.

– Mamusiu! – usłyszała głos córki.

– Już idę, kochanie!

Rozdział dwudziesty

Doug posłusznie zaprowadził Bonnie i śpiącego Seana na piętro, gdzie leżał Terry. Ponętna młoda pielęgniarka siedząca w informacji była zajęta flirtem z internistą. Bonnie poczekała, aż lekarz sobie pójdzie, i podeszła do kontuaru.

– Nazywam się Lewis – rzuciła sucho, odpowiadając na grzeczny uśmiech pielęgniarki. – Przyjechałam odebrać męża. Jest w pokoju 304. Terry Lewis.

– Oczywiście, proszę pani. Właśnie jest u niego lekarz. Proszę tylko podpisać te formularze i wyślemy po niego wózek.

Bonnie przełożyła Seana, książkę i torbę z pieluchami do drugiej ręki. Podpisała skrupulatnie we wszystkich miejscach i podała kartki pielęgniarce. Ta dokładnie je przejrzała i zerknęła wymownie na Bonnie.

– Przykro mi, ale nie wpuszczamy dzieci na ten oddział.

– Przecież przynosiłam go tu wcześniej.

– To dla dobra dzieci. Nie chcemy, żeby złapały jakąś infekcję. Bonnie wyprostowała się z dumą.

– Ojciec mojego dziecka miał wypadek. Nie jest chory.

– Może ten pan mógłby wziąć dziecko? – pielęgniarka wskazała na Douga. – Na dole, przy wyjściu jest poczekalnia.

Doug westchnął rozdrażniony. Wiedział już, że nie popracuje tu, w szpitalu, nad konspektami.

Bonnie niechętnie przekazała dziecko.

– A mogę popatrzeć? – poprosiła pielęgniarka słodko, wychodząc zza kontuaru. – Uwielbiam dzieci.

– Nie – stanowczo zaprotestowała Bonnie. – Zbyt wiele tu zarazków naokoło. Sama pani powiedziała.

Zaskoczona pielęgniarka odwróciła się na pięcie i wróciła na swoje miejsce. Doug poprawił dziecko na ramieniu.

– Proszę mi także dać te tobołki – odezwał się do Bonnie.

– Nie będą potrzebne – zgasiła go, ściskając rzeczy. – Nie będzie mu pan zmieniał pieluchy. Proszę tylko go pilnować. To wszystko. Znajdziemy pana, jak będziemy gotowi.

Doug zacisnął zęby i poszedł w stronę windy. Czekaając na otwarcie drzwi bezwiednie gładził dziecko po plecach i obserwował oddalającą się wolnym krokiem Bonnie.

– Suka – wymamrotał.

Był wściekły, że musi marnować swój cenny czas na dzień przed powrotem do pracy, grając

szofera tych dziwaków. Ale patrząc wcześniej na Maddy wiedział, że kłótnia nic nie pomoże. Miała przecucie, że Bonnie nie jest matką tego dziecka tylko dlatego, że nie była słodziutką i wpatrzona w małego tak jak ona w stosunku do Amy. Nie zdawała sobie sprawy, że wiele matek jest podobnych do Bonnie.

– Żal mi cię, dzieciaku – wyszeptał. – Ale nic na to nie poradzisz. To twoja matka.

Wszedł do windy i nacisnął przycisk na parter. Gdy drzwi się zamykały, wydawało mu się, że widzi znajomą postać pędzącą przez korytarz. To była ta sama płatanina szarych loków. Ile kobiet mogło mieć takie włosy?

– Ellen! – zawołał, ale drzwi się już domykały, a ludzie w windzie popatrzyli na niego podejrzliwie.

Nawet jeśli to była ona, mogła go nawet nie pamiętać z poprzedniego wieczoru. W końcu wszyscy mówili, że coś z nią jest nie w porządku. Przybrał więc obojętny wyraz twarzy.

Nie oglądając się za siebie, Bonnie poszła do pokoju męża. Przed drzwiami sali numer 304 wyjęła z torebki lusterko. W korytarzu było ciemno, ale krytycznie przyjrzała się swej twarzy. Dokładnie umalowała usta i próbowała uporządkować swoje niesforne włosy. Nie było to łatwe. I tak układały się po swojemu. Masz włosy po ojcu, mówiła jej matka z niesmakiem, gdy tylko wkraczała do pokoju i widziała, jak walczy z fryzurą przy pomocy żelu i wałków. Matka miała piękne, miękkie blond włosy. Zawsze, aż do końca wyglądała doskonale.

Bonnie schowała grzebień do torebki, poprawiła okulary i wzięła głęboki oddech. On cię kocha taką, jaką jesteś, przypomniała sobie. Jest twoim oddanym mężem, a ty jesteś dla niego najpiękniejsza.

– Naprawdę – mruknęła pod nosem, dla dodania sobie odwagi. – Najpiękniejsza na świecie.

Otworzyła drzwi pokoju i weszła do środka. Zignorowała mężczyznę leżącego na pierwszym łóżku. Obok ubranego już i siedzącego na brzegu łóżka Terry'ego stała doktor Tipton, pani chirurg, wyglądająca bardzo atrakcyjnie w białym fartuchu. W ubraniu Terry wyglądał na słabszego niż przedtem. Był blady. Bonnie ścisnęło w dołku, na jego widok cała się rozplynęła. Podniósł głowę, gdy weszła. Uśmiechnęła się do niego najładniej, jak tylko potrafiła.

– Cześć, kotku – powitał ją słabo. – Gdzie mój chłopiec? Uśmiech znikł z twarzy Bonnie.

– Pielęgniarka go nie wpuściła. Pan Blake jest z nim na dole.

– Jaka szkoda – zasmucił się Terry. – Opowiadałem właśnie o nim pani doktor.

– Pani Lewis – wtrąciła się lekarka. – Już mówiłam pani mężowi, żeby dbał o siebie i nie przemęczał się. Potrzebuje dużo wypoczynku. Nie wolno mu dźwigać ani prowadzić samochodu przez dwa tygodnie. Jeśli teraz nie będzie ostrożny, to będą poważne i długotrwałe kłopoty. Tak jak wcześniej tłumaczyłam, bez śledziona można sobie doskonale radzić. Ale nie można dopuścić, by popeękały szwy. Chcę pana widzieć za dwa tygodnie.

– To może się nie udać – rzekła Bonnie.

– Cóż, gdziekolwiek będziecie, proszę zgłosić się do lekarza. Mogę panu to załatwić.

– Sama się tym zajmę. Dziękuję pani, ale sama potrafię zadbać o mojego męża.

– No dobrze – westchnęła lekarka i na pożegnanie podała pacjentowi rękę. – Powodzenia, panie Lewis.

– Nie zatrzymuję pani doktor. Musi się pani zająć chorymi. Chcę pani podziękować za wszystko, co pani dla mnie zrobiła.

– Nie ma za co.

Lekarka odwróciła się i wyszła, Bonnie natomiast usiadła na łóżku obok męża. Terry jęknął z bólu.

– Co się stało? – zawołała.

– Zabolało trochę, jak usiadłaś na łóżku.

Bonnie podniosła się natychmiast, na co Terry znów zajęczał.

– Przepraszam, tak mi przykro – mówiła.

– Już dobrze, nic się nie stało – uspokajał ją, chociaż grymas bólu pozostał na jego twarzy.

Na chwilę zapadła cisza i nagle zaczęli mówić jednocześnie:

– Jak...

– Co...

Bonnie była zmartwiona, że mu przerwała: – Najpierw ty.

– Jak się ma dziś nasz chłopiec? – zapytał. – Dobrze spał?

– Wszystko w porządku – zapewniła Bonnie. Znowu zapadło milczenie.

– Co ty chciałaś powiedzieć?

– Myślę, że powinniśmy wyjechać jeszcze dziś.

– Wyjechać?

– Wyprowadzić się od tych ludzi, Blake'ów – wyjaśniła z kwaśną miną. – Mam ich dosyć.

– Przecież oni są bardzo dobrzy – dziwił się Terry.

– Wierz mi, oni wcale nie są dobrzy. Usłyszałam przypadkiem ich rozmowę. Martwili się, że ich podamy do sądu. Nie powiedziałam im, że jesteśmy ubezpieczeni. Niech się martwią. Aha, nasz samochód jest już naprawiony. Możemy ruszać w każdej chwili.

Terry zmarszczył brwi.

– Spróbuję, ale daleko nie mogę pojechać.

– Wystarczy, jak się wyprowadzimy od nich. Znajdziemy jakiś pokój.

Terry westchnął i znowu zapadła cisza.

– Najpierw to stąd chciałbym się wydostać – odezwał się po chwili, rozglądając się po pokoju.

– Pielęgniarka już idzie z wózkiem – rzekła Bonnie. Jak na zamówienie, weszła pielęgniarka.

– Proszę, panie Lewis, spróbujemy pana posadzić.

Terry zaczął niezdarnie podnosić się z łóżka. Bonnie pospieszyła z pomocą, ostrożnie obejmując go ramionami.

– Oprzyj się o mnie – powiedziała.

Pielęgniarka podeszła z drugiej strony, aby pomóc, ale gdy zobaczyła wyraz twarzy Bonnie, cofnęła się natychmiast.

– Sama sobie poradzę.

– Wszystko w porządku – odezwał się Terry, podchodząc powoli do wózka.

Bonnie wypuściła go z objęć z nieukrywanym żalem. Miała uczucie, jakby jej ręce świeciły tam, gdzie obejmowała męża. Pielęgniarka stanęła za wózkiem.

– Ja go będę pchała – powiedziała Bonnie.

– Regulamin szpitalny – zaprotestowała pielęgniarka. – Może pani potrzymać te rzeczy.

Była to mała plastikowa torba ze zdjęciem Seana, Biblią i kilkoma drobiazgami. Bonnie posłusznie wzięła torbę i próbowała wcisnąć się między wózek i ścianę, zmuszona jednak była poczekać i iść za pielęgniarką.

Terry pomachał na pożegnanie sąsiadowi.

– Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

– Trzymaj się, kaznodziejo – z uśmiechem pożegnał go tamten zerkając zza okularów.

– Tak mnie nazwał. Kaznodzieja – pochwalił się z dumą żonie, gdy wyszli na korytarz, gdzie mogła już iść obok niego.

– To miło.

Podeszli do windy, nacisnęła guzik, drzwi się otworzyły i po chwili byli już w windzie. Nikt nie odezwał się ani słowem. Na parterze pielęgniarka zgrabnie wyprowadziła wózek Terry'ego.

– Pójdę po Seana i pana Blake'a – postanowiła Bonnie. – Niech podjedzie po nas.

– Pozwolą państwo, że wrócę na górę – przeprosiła ich pielęgniarka. – Jest nas dziś mało.

Terry uśmiechnął się do niej szeroko.

– Oczywiście. Bóg nade mną czuwa. Mam żonę, która się mną zaopiekuje.

Bonnie popatrzyła na niego czule.

– Oczywiście, kochanie – zapewniła go.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Maddy stała z założonymi rękoma, patrząc na leżące na łóżku ubrania. Przejrzała wszystkie rzeczy oprócz tych, które Bonnie zabrała do szpitala. Czuła się winna. Tłumaczyła sobie jednak, że jeśli miała rację co do Seana, to była usprawiedliwiona, jeśli jednak przeczucie ją myliło, to i tak nikomu to nie zaszkodzi. Nie było jej przyjemnie grzebać w cudzych rzeczach. To, że zaprosiła ich do swojego domu, nie dawało jej prawa do naruszania ich prywatności. Mimo że ich odzież wydawała jej się dziwna, jak dotąd nie znalazła żadnych śladów przestępstwa.

Obie walizki były stare i sfatygowane. Cała garderoba Bonnie składała się ze znoszonych, kiepsko uszytych bluzek, kilku zmechaconych swetrów, dwóch wełnianych spódniczek, spranej bielizny i jednej błyszczącej niebieskiej koszuli nocnej ozdobionej koronką. Widać było, że jest nowa, bo miała jeszcze przyczepioną metkę. Maddy czuła się bardzo źle patrząc na tę skromną garderobę. Z drugiej strony rzeczy Seana były w większości nowe. Nie było w tym nic dziwnego. Rodzina dawała dzieciom ubrania w prezencie, a i nawet najbiedniejsze matki zawsze starały się kupić dziecku coś nowego.

Tylko rzeczy Terry'ego były dziwne. Wszystkie były zupełnie nowe. Białe skarpetki były jeszcze w opakowaniu. Dwie pary dżinsów miały metki, a kołnierzyki trzech nowych koszul w kratę były przypięte szpilkami. Nawet bielizna była zapakowana jeszcze w woreczki. Na pewno potrzebne były nowe rzeczy do nowej pracy, ale tu nie było w ogóle rzeczy używanych. Ciekawe... Przeszukała kieszenie walizki, ale znalazła tylko, zamkniętą na zamek, kosmetyczkę Bonnie, pomadkę i kilka powieści w miękkich okładkach. Nie było tam nic osobistego. Nic, co mogłoby powiedzieć coś o właścicielach.

Maddy westchnęła. Nagle wydawało jej się, że usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Zaskoczona stała chwilę i nasłuchiwała. Z pokoju Amy dobiegała muzyka, do której dziewczynka wybijała rytm na puszce do ciastek. To musiał być ten dźwięk. To tylko Amy, uspokoiła się. Jestem przewrażliwiona, bo boję się, że ktoś mnie przyłapie. Mimo że tak pomyślała, to jednak musiała przyznać, że krótka wizyta Heather przynębiła ją i zaniepokoiła, jak cień kładący się na jej życie.

Dość, postanowiła. Koniec już myślenia o tym. Czas zabrać się za porządki. Nic z tych rzeczy nie powiedziało jej więcej, niż wiedziała. Otworzyła walizki i próbowała ułożyć rzeczy tak, jak były. Skoncentrowana na tym zadaniu, wyczuła czyjaś obecność w pokoju.

Była przerażona. Na chwilę zamarła. Dlaczego wrócili tak wcześniej? Czemu Doug jej nie ostrzegł? I jak miała wytłumaczyć swoje postępowanie? Próbowała sklecić jakieś kłamstwo i opanować się.

– Maddy? – ksiądz Nick patrzył na nią ciekawie. – Pukałem, ale nikt nie otwierał.

– Nick, przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam. Wołałem, ale musiałaś być bardzo zajęta tym, co robisz. A co ty właściwie robisz? – zapytał, przyglądając się walizkom. – Wybierasz się gdzieś?

Maddy zaprzeczyła. – Nie, nie. Cieszę się, że jesteś. Poczekaj tylko sekundę, muszę to skończyć.

Pospiesznie, ale bardzo uważnie położyła wszystko na swoje miejsce do walizki. Gdy skończyła, Nick stał ciągle w drzwiach. Przyglądał się jej.

– Chodźmy na dół. Zrobię herbatę. Zobaczą tylko, co robi Amy.

Zajrzała do pokoju córki i upewniła się, że dziewczynka grzecznie się bawi. Trochę spokojniejsza zeszła razem z księdzem na dół.

Weszli do kuchni, Maddy podeszła do kuchenki i nastawiła czajnik. Gdy zapalała gaz, trzęsły jej się jednak ręce.

– Co się dzieje, wyglądasz na zdenerwowaną. Usiadła ciężko na taborecie przy stole.

– Jestem. Jak ci powiem, dlaczego, pomyślisz, że zwariowałam. Nick zachęcił ją.

– Wspominałam ci o tych ludziach z wypadku. O tym, że są u nas.

– Tak.

– Coś sobie ubzdurałam, że to oni porwali dziecko. No wiesz, dziecko Wallace'ów.

– Zadzwońska na policję?

Maddy westchnęła.

– I co miałam im powiedzieć? Ci ludzie mają małe dziecko i jego matka nie traktuje go jak należy? Że dziecko żywo zareagowało, jak zobaczyło w telewizji Wallace'ów?

– Pokazywali przecież zdjęcie tamtego dziecka w telewizji. Nie rozpoznałaś go?

– To było zdjęcie z polaroidu. Dziecko miało loczki, jak tysiące innych. Nie dało się rozpoznać. Zaprosiłam ich do siebie. Co mam zrobić? Zgłosić ich na policję? Ale ze mnie Samarytanka.

– No tak, rozumiem.

Była mu wdzięczna za zrozumienie. Przez chwilę popatrzyli sobie w oczy i to wiele im powiedziało. Pospiesznie odwrócili wzrok.

– Zresztą i tak mieliśmy już za dużo kontaktu z policją – kontynuowała. – Mówiłam ci o Dougu. Wiesz, że zabrali go na przesłuchanie w sprawie zniknięcia tej nastolatki.

– Tak, i jak poszło?

– Miałaś rację, zachęcając mnie, bym w niego wierzyła. Świadek go nie rozpoznał. Nasz adwokat zagroził, że wniesie sprawę o prześladowanie.

– To znaczy, że wszystko w porządku? – ostrożnie zapytał. Maddy przypomniała sobie wizytę Heather i znowu westchnęła. Wstała i przygotowała herbatę. Nick obserwował ją cały czas.

– Maddy – ponaglił ją.

– Tak, oprócz tego, że szperałam w rzeczach moich gości, myśląc, że to porywacze.

– A właściwie kim są ci ludzie? Mówiłaś, że nie są stąd.

– Nazywają się Lewis. Przyjechali z Maine. To dziwna para. On wygląda na harlejewca, a ona to bibliotekarka-czupiradło. Z drugiej strony on jest bardzo religijny.

Nick był zaskoczony.

– Terry Lewis? – upewnił się.

– Tak. Ma na imię Terry.

– A ona Bonnie? I Sean? – pytał dalej.

– Znasz ich?

– Tak. Znam ich bardzo dobrze. Terry dopiero co wyszedł.

– Wyszedł? Skąd?

– Z więzienia – spokojnie odparł Nick.

– Z więzienia?! – wykrzyknęła.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci o mężczyźnie, który niesłusznie siedział w więzieniu, i jak niedawno prawdziwy zabójca się przyznał? No i Terry został zwolniony.

– Mówiłeś wtedy, że byłeś w więzieniu...

Nick pokiwał głową i uśmiechnął się.

– Żegnałem się z Terryem. Widziałem, jak Bonnie i Sean przyjechali po niego.

– Nie, to niemożliwe. Przecież oni są z Maine. Mają takie tablice rejestracyjne... – Nie wiedziała, co o tym myśleć.

Nick cierpliwie wyjaśniał.

– Bonnie jest z Maine. Na pewno jechali jej samochodem. Terry dostał dożywocie. To był napad rabunkowy na stację benzynową i jakiś klient rozpoznał Terry'ego. Odsiedział pięć lat, kiedy prawdziwy zabójca się przyznał. Złapali go za podobny napad i przyznał się też do tego przestępstwa.

– Nie mogę w to uwierzyć.

Maddy myślała o tym mężczyźnie, którego widziała w szpitalu. Wyglądał na kogoś, kto spędził kilka lat w więzieniu.

– Spotykałem się z nim co tydzień, gdy chodziłem tam z posługą. Przetrwiał wszystko z zadziwiającym hartem ducha. Przebaczył tamtemu. Nie wiem, czyja bym się na to zdobył. To było niezwykle. Tak czy inaczej, wypuścili go przedwczoraj...

– To tłumaczy te nowe rzeczy – powiedziała Maddy.

– Jakie rzeczy?

– W ich walizce. Wszystkie jego rzeczy są nowiuteńkie. Musiała je dla niego kupić.

– I mówił mi, że był umówiony na rozmowę o pracę. Tak, to on.

– O Boże, Nick. Facet, który siedział w więzieniu tyle czasu... Musiał być notowany, skoro od razu go wsadzili. Wszystkie te lata w takim środowisku... A ja pozwoliłam im się tu zatrzymać.

Nick powstrzymał ją ręką.

– Pamiętaj, on nie popełnił przestępstwa, tak samo jak ja czy ty. Miał ciężkie życie, zanim poszedł do więzienia. Nie będę ci mówił, że to jego pierwsza kolizja z prawem, ale myślę, że to doświadczenie zmieniło go. Jestem pewien, że Terry będzie w stanie naprawić swoje życie.

– Niech tylko Doug się o tym dowie – rzekła Maddy.

– Kto jak kto, ale on powinien zrozumieć taką sytuację najlepiej – oburzył się Nick.

Maddy znów spojrzała na niego i iskra przeskoczyła między nimi. Opuściła wzrok i popiła herbatę.

– Więc naprawdę są małżeństwem?

– Ja błogosławiłem ich ślub.

– W więzieniu?

– W więziennej kaplicy. To była bardzo skromna ceremonia.

– Jak się poznali? Są przecież tacy różni.

– To taka miłość korespondencyjna. Wielu więźniów ma takie sympatie. Ta zakończyła się małżeństwem.

– Mam wrażenie, że ona była dosyć samotna.

– Myślę, że masz rację – zgodził się Nick. – Zaczęło się od tego, że wysyłała mu książki, a później samo się potoczyło.

– A Sean?

– On też jest ich.

– Myślałam, że więźniowie nie... To znaczy... no wiesz...

– Nie uprawiają seksu? – pomógł jej.

Maddy kiwnęła głową.

– Wręcz przeciwnie. Właściwie, to oni *musieli* brać ślub. Nie znaczy to, że Terry był zmuszany. Nie. A poza tym nikt inny na świecie nie dbał tak o Bonnie. Ale jedno jest pewne, to ich dziecko. Sam je chrzcilem. Kilka miesięcy temu.

– Och – zdziwiła się Maddy, czując jednocześnie ulgę i rozczarowanie. Nick zauważył jej reakcję.

– Miałeś nadzieję, że odnajdziesz porywaczy?

– Nie – zaprzeczyła. – Oczywiście, że nie. Może... Chyba po prostu współczuję tej matce. Tak bym chciała, żeby odzyskała swoje dziecko całe i zdrowe. Serce pęka na widok tej pary w telewizji.

– To bardzo smutne – zgodził się.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, sącząc herbatę.

– Ogromnie się cieszę, że wpadłeś – odezwała się znowu Maddy. – Naprawdę mi pomogłeś.

– Przechyliła głowę na bok i dodała: – Ale co cię sprowadziło? Nie miałeś dzisiaj wyjeżdżać...?

– Tak – przyznał. – Obawiam się, że tak.

Włożył ręce do kieszeni marynarki. Miał na sobie cywilne ubranie i Maddy pomyślała, że wyglądał mniej surowo w niebieskiej koszuli i czarnej marynarce.

– Proszę – rzekł, wyjmując z kieszeni i kładąc na stole jej cienką srebrną bransoletkę. – Znalazłem ją przyczepioną do mojego granatowego swetra.

– Ale jak...? – Maddy przerwała i zaczerwieniła się, przypominając sobie ich uścisk w jego pokoju. – Nie do wiary, nawet nie zauważyłam. – Wzięła bransoletkę i zapatrzyła się na nią.

– Pomyślałem, że będziesz chciała ją odzyskać.

Znów zapadła cisza. Oboje wiedzieli tym razem, że odwołują moment ostatecznego pożegnania.

– Cóż, muszę jeszcze załadować samochód, zanim wyruszę w drogę – odezwał się, wstając.

Maddy również wstała, wycierając odruchowo ręce w spodnie.

– Dojedziesz na miejsce jeszcze dzisiaj?

– Nie. Mój wyjazd trochę się opóźnił. Zatrzymam się gdzieś na noc. Na miejsce dotrę jutro.

Maddy nie mogła wydusić z siebie ani słowa. Nick uśmiechnął się z przymusem.

– Odprowadzisz mnie do samochodu? – poprosił.

– Oczywiście – wyszeptła Maddy.

Ogarnął ją nagle potężny smutek z powodu jego wyjazdu. Gdy wyszli, cieszyła się, że było zbyt zimno, by dłużej stać na zewnątrz. Spojrzeli na siebie bez uśmiechu.

– Przepraszam – odezwał się Nick.

Nie miał zamiaru jej dotknąć, ale nie chciał widzieć jej oczu, więc przygarnął ją do siebie, a ona mocno przytuliła się do niego. Zapach jej włosów, bliskość ciała sprawiły, że długo trzymał ją w objęciach.

Doug zaparkował akurat obok samochodu Nicka i wysiadł z auta. Za nim wyszła Bonnie. Na rękę trzymała marudzące dziecko. Siedzący obok kierowcy Terry oparł ogromne wytatuowane ramię na oknie i wyjrzał na zewnątrz.

– Ksiądz Nick! – krzyknął.

Twarz Nicka rozjaśniła się na jego widok. Podeszedł do samochodu i delikatnie ujął dłoń mężczyzny.

– Witaj, przyjacielu. Słyszałem, że miałeś wypadek.

– Wpadłem z deszczu pod rynnę – zażartował Terry, pokazując w uśmiechu połamane zęby.

– Pomogę ci – zaoferował ksiądz, otwierając drzwi samochodu i podnosząc potężnego mężczyznę z siedzenia.

– Dziękuję księdzu – rzekł Terry, prostując się. – Obiecuję: więcej żadnych kłopotów.

Nick uśmiechnął się i zwrócił do Bonnie:

– Witaj, Bonnie. Dowiedziałem się, że ty i Sean zatrzymaliście się w tym domu...

– Ksiądz Rylander tutaj! – Bonnie była wyraźnie zaskoczona. – Opiekuj się dobrze mężem!

– Na pewno będę! – szybko odpowiedziała i spuściła wzrok. Nick pochylił się i pocałował dziecko w czoło.

– No i dzieckiem. To świetny chłopak.

– Terry musi już iść – orzekła Bonnie.

Doug patrzył na Maddy pytającym wzrokiem.

– Powiem ci wszystko za chwilę – odpowiedziała szeptem.

– Cóż, ja też muszę już iść – Nick uśmiechnął się do Douga sztucznie i wyciągnął rękę. – Przyszedłem się pożegnać.

Doug uściśnął podaną dłoń. Na jego twarzy pojawił się grymas.

Bonnie posadziła Seana w aucie, potem objęła Terry'ego i poprowadziła go do domu. Nick wsiadł do swojego wozu, nie oglądając się za siebie. Doug objął Maddy ramieniem, a ona walczyła z napływającymi łzami.

Rozdział dwudziesty drugi

Maddy odwróciła się i westchnęła. Doug patrzył na nią podejrzliwie. Wtedy z samochodu rozległ się płacz dziecka.

– Weźmiesz Seana? – zapytała Maddy, wyplątując się z objęć męża. – Ja otworzę drzwi.

Bonnie i jej mąż już się zbliżali do wejścia. Maddy zdała sobie sprawę, że jeszcze nie widziała stojącego Terry’ego. Nie był wysoki – niewiele wyższy niż jego żona.

Gdy byli już na schodach, Maddy pospieszyłaby otworzyć im drzwi. Terry pobladł z wysiłku.

– Wejdźcie, proszę – zachęciła. – Na pewno cieszy się pan z opuszczenia szpitala.

Terry pokiwał głową, ostrożnie wszedł do środka i rozejrzał się.

– Dobrze się czujesz? – zapytała męża Bonnie.

– Tak – odparł, mierząc wzrokiem dom Blake’ów. – Ładny dom – pochwalił szczerze.

– Dziękuję, proszę wejść i usiąść.

– Chcę uściskać mojego chłopca. To pierwsza rzecz, którą chcę zrobić.

– Jest tutaj – Maddy wskazała chłopca, którego Doug wyjął z samochodu i przyniósł do pokoju.

Na myśl o dziecku Terry aż się wyprostował.

– Ani mi się waż go podnosić – zabroniła Bonnie. Wyprzedziła męża i szybko zabrała dziecko z rąk Dougha. Znowu zaczęło płakać.

– Może pan tutaj usiądzie i posadzimy go obok – zaproponowała Maddy.

Terry się zachmurzył, ale przystał na propozycję. Opadł ciężko na kanapę, masując obolały brzuch.

– No dobrze – oznajmił. – Jestem gotowy. Dajcie mi go tutaj.

Maddy ciekawie patrzyła, jak Bonnie podaje dziecko jego ojcu. Ojcu, którego prawie nie znał, a jednak Sean przestał płakać, gdy posadzono go obok Terry’ego. Patrzył do góry na tę smagłą twarz, małą rączka sięgnął i pociągnął Terry’ego za wąsy. Ten zachwycony zaczął bawić się z dzieckiem. Maddy rzuciła okiem na Bonnie, spodziewając się uśmiechu na jej twarzy. Ona jednak, stojąc z założonymi rękami, gniewnie obserwowała tę scenę.

Maddy zbliżyła się do niej niepewnie.

– Posłuchaj Bonnie, myślałam... Terry nie powinien wchodzić po schodach. W pokoju zabaw jest rozkładane łóżko. Możecie tam spać. Nie chciałam przenosić waszych rzeczy, zanim nie porozmawiam z tobą.

– Nie trzeba – odparła Bonnie sucho. – Wyjeżdżamy.

– Dzisiaj? – zdziwiła się czując jednocześnie ulgę. Martwiła się jednak o Terry’ego, który

przeszedł dopiero co operację. Wyglądał na cierpiącego. – Jesteś pewna, że to rozsądne? Czy twój mąż może podróżować?

– Nic nam nie będzie.

– Ale dokąd pójdziecie?

– A co to za różnica?

– Bonnie.. naprawdę się martwię. Obiecałam Ni... księdzu Rylanderowi, że będę się wami opiekować.

– Posłuchaj, wiem, dlaczego nas zaprosiłaś. Martwiłaś się wypadkiem i że możemy was podać do sądu.

– Chyba niesprawiedliwie nas osądzasz – oburzyła się Maddy, zraniona tym oskarżeniem. Choć Bonnie miała częściowo rację.

Bonnie uśmiechnęła się kwaśno na te słowa.

– No dobrze – poddała się Maddy. – Rzeczywiście trochę się tym martwiłam, ale wami też się przejmuję. Każdy ma serce. Ja też...

Tym razem Bonnie ustąpiła. – Nie musisz się martwić, jesteśmy ubezpieczeni. Płacę za Terry'ego, odkąd jesteśmy małżeństwem. Samochód także jest ubezpieczony, więc już o nas nie usłyszycie.

Maddy pomyślała o Dougu, który zniknął w kuchni i na pewno ucieszy się z tej wiadomości. Wiedziała jednak, że pewnie w to nie uwierzy. Będzie myślał, że Lewisowie zmieniają zdanie.

Jednak miała nadzieję, że poprawi to jego samopoczucie.

– O czym tam rozmawiacie? – zapytał Terry.

Sean próbował złapać jego kciuk, który ten podnosił i opuszczał.

– O wyjeździe – odparła Bonnie.

– Właśnie mówiłam, że nie wygląda pan na tyle dobrze, żeby jechać dalej.

Terry westchnął.

– Miewałem lepsze dni – przyznał.

– Napije się pan czegoś? Herbaty?

– Napiłbym się kawy, jeśli można.

– Oczywiście – ochoczo powiedziała Maddy i zwróciła się do Bonnie. – A ty?

Bonnie odmówiła i usiadła obok Seana. Wyglądają wzruszająco, pomyślała Maddy. Wiele przeszli. Rozważała wszystko, co powiedział jej Nick. Terry przeżył koszmar, jakby znajomy... Maddy pomyślała o Dougu. On powinien go zrozumieć. Przecież zupełnie niewinny człowiek został niesprawiedliwie posądzony i osadzony w więzieniu. A Bonnie nie tylko przy nim była, ale jeszcze wyszła za niego. Ona wierzyła w swojego męża. Było to godne podziwu. Jeszcze tylko jeden dzień, pomyślała. Tyle możemy przecież wytrzymać. Należy im się odpoczynek.

Poszła do kuchni i wstawiła wodę. Doug siedział przy kuchennym stole. Spojrzał na nią

wrogo. Czują, że obserwuje ją, jak porusza się po kuchni. Automatycznie nasypała kawy, przygotowała kubki. Wiedziała, że coś kryje się za tym milczeniem i wzrokiem. Udawała, że nie zauważa tego.

– Co on tutaj robił? – usłyszała złowieszczo brzmiące pytanie.

Rozdział dwudziesty trzeci

Maddy wyjrzała na korytarz i zamykając drzwi do kuchni, nakazała Dougowi mówić szeptem.

– Przyszedł oddać mi bransoletkę – wytłumaczyła, pokazując delikatny srebrny łańcuszek na jej nadgarstku.

Doug zmarszczył brwi. Dał jej tę bransoletkę na ich pierwszą rocznicę.

– A skąd on miał twoją bransoletkę?

Maddy przypomniała sobie, w jakich okolicznościach łańcuszek przyczepił się do swetra Nicka. Poczzerwieniała na wspomnienie ich nagłego uścisku i dziwnych emocji.

– Przyczepiła się do czegoś w jego... biurze, gdy tam byłam.

– A po co tam poszłaś?

– Porozmawiać – zirytowała się.

– Czy dlatego ci ludzie są jeszcze tutaj? Dlatego, że on ich zna?

– Nie, są tutaj, bo ten facet godzinę temu wyszedł ze szpitala.

– Prosiłem cię, żebyś się ich pozbyła, ale oczywiście będzie tak, jak chce ksiądz Nick...

– Nie mieszaj go do tego. On nie ma z tym nic wspólnego.

– O, przepraszam. Wygląda na to, że to, czego ja potrzebuję, jest ostatnie na twojej liście...

– Przestań, na litość boską – zdenerwowała się Maddy.

– Tylko mi nie mów, że wymyślam. Widziałem, jak ten ksiądz na ciebie patrzy. Gapi się jak chore szczenię. Myślisz, że to był tylko przyjacielski uścisk?

Poczuła się jednocześnie winna i zniesmaczona tym oskarżeniem. Faktem było, że nic między nimi nie zaszło. Musiała przypomnieć sobie, że nie ma za co przepraszać.

– Jesteś okropny, Doug. Jesteśmy bliskimi przyjaciółmi. On dzisiaj wyjeżdża, więc się zegnaliśmy.

– Może ty tak to widzisz – parsknął.

– Chcesz kawy? – Maddy nie miała zamiaru dyskutować dalej na ten temat.

– A więc teraz ich nawet obsługujesz?

– Nie przesadzaj.

– Jeśli, do cholery, tak się troszczy o tych ludzi, dlaczego sam ich nie wziął do siebie? Bo liczył, że ty to zrobisz? A czemu miałabyś to zrobić? Jakże on ma do ciebie prawo? A może jest coś, czego nie wiem?

Maddy przyglądała mu się przez chwilę.

– Nawet jeśli miałaby to być prawda, co mówisz o Nicku, to jak możesz mieć do mnie tak

mało zaufania? Jak możesz przypuszczać...

– Wiesz, czasami pewne rzeczy się zdarzają.

Maddy patrzyła na niego przez zmrużone powieki. Jego pojęcie moralności było zbyt płynne.

– Nie, nie zdarzają się – rzekła gorzko. – Jeśli na to nie pozwolisz. Jestem twoją żoną. Obiecałam, że będę ci wierna, pamiętasz? Ja nie łamię obietnic.

Spuścił wzrok: – Nie mówmy już o tym.

Gdy tak na niego patrzyła, przypomniała sobie Heather stojącą na progu ich domu. Przez chwilę zastanawiała się, czy on naprawdę uważał, że pewne rzeczy się zdarzały i że nie można temu zapobiec. Czy coś mogło się po prostu zdarzyć między nim a Heather? Nie mogła się powstrzymać i powiedziała:

– Heather Cameron była tutaj.

– Czego, do diabła, tu szukała? – spytał wściekły.

Maddy westchnęła. Nie chciała go dręczyć, to nie było fair. Został uwolniony od tych zarzutów. Przypomniała sobie jej dziwaczne zachowanie i to ją pocieszyło.

– Ona jest naprawdę chora. Mówiła, że jest zazdrosna, bo uważa, że jesteś zainteresowany inną dziewczyną, Karłą.

– Karłą?

– To jakaś uczennica, która się w tobie podkochuje. Była cała roztrzęsiona, jakbyś ją zdradzał. Wyobrażasz sobie? Przyszła do mnie i opowiadała takie rzeczy! To chore... Właściwie to straszne. Miałam już dzwonić na policję. Naprawdę. Na szczęście poszła sobie, nie robiąc sceny.

– Karła... Needham? – nie dowierzał Doug. – Podkochuje się we mnie?

– Nie o to chodzi, Doug – przypomniała zimno.

– Ależ oczywiście – zgodził się szybko. – Ta dziewczyna jest chora. Potrzebuje pomocy...

Maddy była pewna, że mówiąc to, myślami był gdzie indziej.

– No dobrze – zmienił nagle temat. – To co znalazłaś, jak odgrywałaś Sherlocka Holmesa? Warto było?

– Nie traktuj mnie tak protekcyjnie.

– Ależ nie – zaprzeczył. Zbliżył się i położył jej rękę na ramiona. – Przepraszam, naprawdę mi przykro, że Heather przyszła i cię zdenerwowała. Żałuję, że mnie tu nie było. Dałbym jej popalić... Ale tak naprawdę jestem ciekawy, co z naszymi gośćmi. Znalazłaś coś?

Maddy popatrzyła smutno.

– Och, Maddy, przepraszam. Zdenerwowałem się i przesadziłem.

– To prawda, przesadziłeś – rzekła gorzko.

– A więc...?

– Ja nic nie znalazłam. To Nick przyniósł ciekawe informacje.

– Aha – najwyraźniej chciał zrobić jakąś złośliwą uwagę, ale się powstrzymał.

– Wygląda na to, że Lewis został przedwczoraj zwolniony z więzienia.

– I ty mi to tak spokojnie mówisz?! Dopiero teraz?! – Doug aż podskoczył. – Na co czekałaś?

– To nie tak. On siedział za zbrodnię, której nie popełnił. Prawdziwy morderca się przyznał i dlatego wypuścili Terry’ego.

– Morderca?! Świetnie! Siedział za zabójstwo?

– On tego nie zrobił – wyszeptała, nakazując mu gestem to samo.

– Przecież oni siedzą w naszym pokoju! – denerwował się Doug.

– No i mogą zostać na jeszcze jedną noc.

– Na noc?! Myślisz, że pozwolę, by groźny przestępca był pod jednym dachem z moją rodziną?

– Przestań krzyczeć – skarciła go. – Już ci powiedziałam. Nie zrobił tego. Wypuścili go, bo jest niewinny. Nick mi o tym opowiedział. Przez tych ostatnich kilka lat odwiedzał go w więzieniu. Mówił, że Terry znosił to zdumiewająco dzielnie.

– O, pewnie! – denerwował się Doug. – Jeden hipokryta popiera drugiego. Chyba nie wierzysz w to, Maddy, pomyśl sama.

– Co to ma znaczyć? Nick nie jest hipokrytą.

– Jest jeszcze gorszy. Udaje świętego, rzuca cytatami z Biblii i pożąda mojej żony. I taki ktoś chce nas przekonywać, że można ufać temu skazańcowi?! O nie! Powiem ci coś. Ten były skazaniec nie zostanie w naszym domu ani chwili dłużej. Rozumiesz?

– Jak śmiesz tak do mnie mówić! To nie tylko twój dom. Drzwi do kuchni otworzyły się z hukiem. W wejściu stała Bonnie.

– Terry pyta, co z kawą...

Maddy i Dough wymienili groźne spojrzenia, po czym Doug wyszedł z kuchni.

– Zaraz będzie gotowa – powiedziała Maddy, drżącą ręką podnosząc czajnik.

– Dlaczego on krzyczał? – dopytywała się Bonnie.

– Właśnie mu powiedziałam, że Terry był w więzieniu. Książd Nick opowiedział mi o wszystkim. Doug był lekko zaskoczony.

– Czy książd Rylander powiedział ci, że Terry tego nie zrobił?

– Tak.

– No to nic nikomu do tego, gdzie on był. To nie była jego wina.

– Wiem – przyznała Maddy. – Właśnie starałam się to wytłumaczyć mojemu mężowi.

– Nie chcemy tu zostać. Nie mogę się doczekać, kiedy stąd wyjedziemy. Ciebie też już mam dosyć i tego twojego idealnego życia. Chcemy spokoju. Musimy znaleźć jakieś dobre miejsce i żyć w końcu jak rodzina. Im mniej ludzi będzie wiedziało o przeszłości, tym lepiej.

Maddy westchnęła, myśląc o tym, jak mało idealne było teraz jej życie.

– Rozumiem.

– Ludzie nie chcą dać szansy komuś, kto był w więzieniu, bez względu na to, czy był winny, czy nie. – Myślę, że jesteś bardzo dzielna. Twój mąż jest naprawdę szczęściarzem, że ma taką żonę.

Bonnie popatrzyła niepewnie.

– Naprawdę tak uważasz? – zapytała podejrzliwie.

– Oczywiście. I wierzę, że wszystko wam się uda. Nick powiedział mi, jak się poznaliście i jak pisaliście listy, i że wysyłałaś mu książki.

– Zanim się poznaliśmy, korespondowaliśmy przez dwa lata – przyznała. – Wcześniej nie miałam żadnego chłopaka.

– To nawet romantyczne.

– Kiedy przysłał mi zdjęcie i zobaczyłam, jaki jest przystojny, to nie chciałam mu wysłać swojego. Pisałam mu, że nie mam. Myślałam, że mu się nie spodoba, jak mnie zobaczy. A on powiedział, że jestem ukojeniem dla jego oczu...

Bonnie uśmiechnęła się na to wspomnienie. Z głębi domu dobiegł głos Terry'ego:

– Kochanie, Sean płacze.

To wezwanie wyrwało Bonnie z rozmarzenia, zmarszczyła czoło i wyglądała jak Kopciuszek po północy.

– Dzieci – zauważyła z westchnieniem Maddy. – One nie sprzyjają romantyzmowi.

– Muszę iść – wymamrotała Bonnie i wycofała się szybko.

Rozdział dwudziesty czwarty

Właśnie to przyszło z biura koronera – powiedziała Delilah Jones, młoda ładna czarnoskóra kadetka prosto z akademii.

– Zaniose to do szefa – zaoferował oficer Len Wickes.

Był bardzo ciekawy, co zawiera raport. On i jeszcze jeden policjant prawie nie byli w komendzie od czasu znalezienia ciała Rebeki Starnes. Chodzili od drzwi do drzwi, szukając osób, które były w parku w dniu uprowadzenia dziewczyny i chłopca. Rozmawiali chyba z każdym skaterem, każdą matką, jaką mogli znaleźć w parku, i nawet z każdym mężczyzną o azjatyckim nazwisku w mieście. W wolnych chwilach przeszukiwali las liść po liściu, kamień po kamieniu, szukając śladów zaginionego dziecka. Bez rezultatów. To, że ciągle nie odnaleźli Justina, Len poczytywał jako osobistą porażkę. Z drugiej strony wcale nie chcieli go znaleźć. Dopóki go nie było, istniała nadzieja, że dziecko żyje.

Len poszedł do biura Camerona i zapukał do drzwi.

– Wejść! – usłyszał.

Len otworzył drzwi i zobaczył szefa studiującego jakieś zdjęcia.

– Raport koronera.

Frank Cameron podskoczył na krześle.

– Dawaj go, Wickes!

Len podał raport i zamarł w oczekiwaniu. Miał cichą nadzieję, że dowie się, co zawiera raport. Frank rozerwał kopertę i przejrzał formularz pomijając znane mu już informacje.

– No, no, no. I co my tu mamy?? Nie na tle seksualnym... Ktoś najwyraźniej chciał, żebyśmy tak myśleli...

Len chrząknąłby zwrócić na siebie uwagę przełożonego.

– Sir?

Frank spojrzał ostro na niego. Zawsze zaskakiwała go służbowa postawa Lena.

– Tak, Wickes?

– Może zabójca próbował, ale nie mógł?

Frank pokiwał głową w zamyśleniu.

– Wiem, że takie rzeczy się zdarzają. Czasami zabijają ofiarę, żeby nikt nie dowiedział się o ich poniżeniu.

– To tylko taka sugestia, sir – dodał Len zadowolony, że szef podchwycił jego pomysł.

– Zawołaj Pete’a! I Rocky Belmonta – zarządził.

Len wyprężył się i niemal zaszutował, po czym szybko obszedł pokoje komendy, informując detektywa Miliarda i oficera Belmonta, że szef chce się z nimi widzieć. Pete i Rocky wymienili

spojrzenia i udali się za Lenem do biura komendanta Camerona.

Gdy weszli, Frank podniósł raport i pomachał nim. Nie kazał im nawet siadać.

– Panowie – zaczął – jest raport koronera. Brak dowodów na zabójstwo na tle seksualnym.

Pete i Rocky byli zaskoczeni.

– A jednak, jak zauważył oficer Wickes – dodał Cameron – nie oznacza to, że nie była to nieudana próba.

Na te słowa Len rozpromienił się.

– Wiemy, że ci zboczeńcy są najgroźniejsi, gdy im się nie uda. Ta ofiara, jak było widać, została uśmiercona bez użycia wielkiej przemocy. Żadnych okaleczeń. Nie była pchnięta nożem ze czterdzieści razy, jak to bywa. Chociaż musimy rozważyć wszelkie możliwości, nie możemy nie brać pod uwagę faktów. A te, które mamy, nie wskazują na zabójstwo na tle seksualnym. Jeśli nie seks, to musiało chodzić o dziecko. Jak dotąd nie zażądano okupu. To znaczy, że ktoś chciał dziecko dla siebie. Kto może chcieć dzieci dla siebie?

– Kobiety – odparł Pete. Frank Cameron pokiwał głową.

– Być może więc szukamy kobiety?

Len Wickes podniósł palec, by zwrócić na siebie uwagę. Frank Cameron udzielił mu głosu.

– Nie można, sir, nie brać pod uwagę czarnego rynku. Jest bardzo duże zapotrzebowanie na małe, białe dzieci, sir. W dzisiejszych czasach, żeby zarobić na dziecku, nie trzeba wcale żądać okupu. Wystarczy znaleźć chętnego kupca.

– On ma rację – zgodził się Rocky Belmont.

Frank Cameron pozostał sceptyczny. Ten młody oficer żył dla swojej pracy. Był jeszcze nieopierzony i brakowało mu doświadczenia, ale nie można mu było zarzucić braku zapału. Frank pamiętał, że też taki był. Każda sprawa była dla niego ekscytującym wyzwaniem. Może któregoś dnia Len przejmie jego funkcję. Frank nie czuł się zagrożony. Właściwie, w tej sytuacji, nawet by się z tego ucieszył.

– Należy i to wziąć pod uwagę – przytaknął. – To mógł być ktoś zupełnie obcy. A może nawet grupa w maskach, z samochodem gotowym do ucieczki i adwokatem bez skrupułów oraz z oczekującymi bogatymi klientami. Bądźmy szczerzy, by zdobyć takie informacje, musimy podłączyć się do agencji ogólnokrajowych, przeszukać akta FBI. Czy natknęliście się do tej pory na jakieś związki?

Pete pokręcił głową.

– Jesteśmy podłączeni do komputerów wszystkich możliwych agencji, ale jak dotąd nasze informacje były zbyt ogólne. Nie mogliśmy podać im żadnych szczegółów dotyczących zbrodni. Ten raport na pewno pomoże. Teraz możemy zawęzić poszukiwania i szukać podobnych przypadków – zamordowana opiekunka, uprowadzone dziecko. Teraz nasze poszukiwania zawężą się.

– To dobrze – ucieszył się Frank. Nie znał się na komputerach, ale miał szacunek dla ich możliwości. Czuł się jednak pewniejszy w tradycyjnym sposobie pracy policji. – Wróćmy na nasz teren. Zastanówmy się nad tym pomysłem z kobietą. Jaka kobieta mogłaby porwać dziecko? Może to być taka, która nie może zajść w ciążę albo umarło jej dziecko i nie zachowuje się całkiem normalnie. Może próbowała już adopcji, ale bezskutecznie... Pete, zajmij się biurami adopcyjnymi. Rocky, sprawdź zgony dzieci w okolicy w ostatnim czasie.

– Już się orientowałem w tej sprawie – odparł Pete.

– Dobrze. Nie muszę wam chyba mówić, panowie, że mamy tu do czynienia z bardzo delikatną sprawą. Musimy zdobyć te informacje, ale nie wolno nam przy tym nikogo skrzywdzić. Detektywi pokiwali głowami.

– A co ja mam robić? – zapytał Len zaniepokojony brakiem zainteresowania szefa.

W tym momencie weszła Delilah Jones.

– Szefie, czas na krótkie spotkanie z prasą – przypomniała.

Frank głośno westchnął.

– Cholera, nienawidzę tego. Nie mam im nic do powiedzenia, a muszę udawać, że w sprawie nastąpił postęp.

– Sir? – nie ustępował Len.

– Zajmij się telefonami, Wickes. Aż do odwołania. Pete, Rocky, za mną.

Len był porażony tym zadaniem. – Telefonami? Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież toczyło się śledztwo w sprawie morderstwa i porwania!

– Słyszałeś, co powiedziałem – sapnął Frank, przechodząc koło niego i niemal przewracając Delilah Jones, gdy mijał ją w drzwiach.

Ona sama spojrzała na Lena i wzruszyła ramionami na odchodnym.

Len był bezradny. Każdy glina w mieście zbierał informacje, a on miał tkwić przy telefonie. I jakby na dobitkę zadzwonił akurat telefon na biurku Pete'a Miliarda. Len podszedł i podniósł słuchawkę.

– Biurko detektywa Miliarda.

– Dzień dobry – usłyszał słodki głos. – Mówi Caitlin Markus z agencji adopcyjnej „Tęcza”. Mam informacje, o które prosił detektyw Miliard. Chciałabym przesłać je bezpośrednio do jego komputera.

– Bardzo proszę – Len włączył komputer detektywa.

Gdy czekał na informacje o parach czekających na adopcję, podniósł wydruk leżący na blacie biurka. Była to lista zgonów dzieci w Taylorsville z ostatnich dwudziestu pięciu lat wraz z ich datami urodzin. Gdy przeglądał tę listę, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Poszukał zgonów w listopadzie w dniu porwania. Można było spróbować. Na liście były dwie takie daty. Sprawdził je z wykazem z agencji adopcyjnej. Jedno z nich było na liście, ale adopcja się już

odbyła. Inna para cały czas oczekiwała. Zanotował nazwiska. A co z innymi agencjami, pomyślał. To mogło być bardzo czasochłonne zajęcie. Ale musi zebrać wszystkie listy...

Na biurku Rocco Belmonta zadzwonił telefon. Rozejrzał się po pokoju i zobaczył Delilah Jones.

– Możesz odebrać? – poprosił. – Muszę coś tutaj sprawdzić.

Delilah spojrzała sceptycznie. Nie miała zamiaru robić tu za popychadło. Doszła do swej pozycji w ten sam sposób jak oni, przeszła przez takie samo szkolenie. Rozumiała jednak, że Len próbował odgrywać ważnego, by zachować twarz po tym, jak przydzielono go do telefonów. Zrobiło jej się go żal. Tak się starał. Wyglądał jak mały dzieciak, który tak bardzo chciał, żeby duże chłopaki pozwoliły mu się ze sobą bawić. Podeszła więc do telefonu i odebrała go.

Len wrócił do wydruku. Nagłe jego wzrok padł na daty urodzin. Postanowił sprawdzić również to. Dokładność nie mogła przecież tu zaszkodzić. Przysiadł nad klawiaturą i nerwowo oblizał wargi. A może to on odnajdzie informacje, które spowodują przełom w śledztwie. Laurie byłaby z niego taka dumna. Myśl o podziwie żony trochę go rozkojarzyła. Stłumił więc w sobie te myśli i pogрузzył się w poszukiwaniach.

Rozdział dwudziesty piąty

Doug nie przyszedł na kolację. Maddy tłumaczyła go nadmiarem pracy, jaką miał do wykonania przed powrotem do szkoły. Lewisowie byli tym zupełnie niezainteresowani, zaabsorbowani sobą, ciesząc się, że nareszcie są razem. Doug nie pojawił się również u Amy przed snem. Położyła więc córkę, obiecując, że tata pocałuje ją na dobranoc, jak skończy swoją pracę. W końcu nie wytrzymała. Matka Maddy wyznała kiedyś, że nigdy z ojcem nie poszli spać zagniewani. Maddy zawsze podziwiała małżeństwo rodziców i próbowała tę zasadę przenieść do własnego. Nie zawsze się to jednak udawało.

Nie znosiła długotrwałych kłótni. Szkodziły małżeństwu i Amy. Dzieci doskonale wiedziały, kiedy ich rodzice się kłóca. Wyczuwały konflikt w powietrzu. Lepiej więc było oczyścić atmosferę i mieć to już za sobą. Maddy odłożyła ściereczkę na stół i z ciężkim sercem poszła na górę. Dlaczego to zawsze ja muszę pierwsza wyciągać rękę na zgodę, pomyślała.

Westchnęła, ale zaraz wytłumaczyła sobie, że Dougowi było trudniej. Wychował się w domu bez miłości. Ojciec był pod pantoflem chłodnej żony, a syn był zawsze w środku ich kłótni. Doug szukał u ojca wsparcia, ale go nie otrzymywał. Był zbyt uległy, by bronić syna. Maddy poznała Douga krótko po śmierci jego ojca. Prawie w ogóle nie utrzymywali kontaktu z Frances Blake. Miała własne życie, o czym wspominała w dość rzadkich rozmowach telefonicznych. Maddy myślała o tym, wchodząc po schodach na górę po to, by porozmawiać z nim bez zbytnej urazy. Czuła jednak zmęczenie, zbliżające się do jego pokoju. W każdym związku były jakieś wzory. W ich to ona zawsze pierwsza przeproszała. Byłoby miło, gdyby chociaż raz on wyciągnął rękę na zgodę, ale w każdym małżeństwie, przypominała sobie, były rzeczy, które należało polubić.

Maddy zapukała. Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, sama otworzyła drzwi. W pokoju było ciemno, tylko mała lampka oświetlała biurko. Doug siedział przy nim i trzymał w ręku fotografię. Twarz miał zmarszczoną, a na policzkach łzy.

Na jego widok gniew Maddy wyparował.

– Kochanie, co się dzieje?

Podeszła do biurka i zobaczyła, że fotografia przedstawiała Douga w stroju drużyny Philadelphia Phillies z czasów, nim kontuzja kolana wyeliminowała go z gry. Kiedy się poznali, przeżywał gorzkie rozczarowanie. Czasami wydawało jej się, że do tej pory nie pogodził się z losem. Przyglądała się zdjęciu przez chwilę. W tym stroju wyglądał jak młody bóg. Na twarzy miał zwycięski, rozradowany uśmiech.

Doug odwrócił zdjęcie i tak położył je na biurko, ukradkowo ocierając łzy.

– Czego chcesz?

Maddy łagodnie położyła rękę na jego ramieniu, ale się wykręcił.

– Martwiłam się, że nie zszedłeś na kolację. Dlaczego jesteś zły?

– Przepraszam. To wszystko razem... boję się jutrzejszego powrotu do szkoły.

Maddy przystawiła sobie krzesło i usiadła obok Douga.

– Nie musisz udawać przede mną zadowolonego. Wiem, że jest ci ciężko.

Wpatrywał się w nią przez kilka chwil z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Jesteś taka lojalna – powiedział w końcu. Jego słowa brzmiały prawie jak krytyka, chociaż była pewna, że chciał być miły.

– Jestem twoją żoną, partnerką. Oczywiście, że jestem lojalna. Wiem, że po tym wszystkim będzie ci ciężko wrócić do szkoły, wejść do klasy. Musisz pamiętać, że sąd uznał cię za niewinnego, to Heather jest winna... – Przypomniała sobie wizytę dziewczyny w ich domu. – Mam nadzieję, że nie będzie cię jutro napastować w szkole.

– Zajmę się nią – oznajmił ponuro.

– Myślę, że powinieneś raczej trzymać się od niej z daleka.

– Dam sobie radę – rzekł przez zaciśnięte zęby. – Nie potrzebuję twojej pomocy.

Maddy zabolęła ta reakcja.

– To nie tylko to – powiedział bez przekonania, próbując się tłumaczyć.

– A co? – zdenerwowała się. – Czy chodzi o Lewisów?

– Wszystko mi jedno. Mogą tu zostać. Jedna noc niczego nie zmieni.

– Więc o co chodzi? – domagała się odpowiedzi. Położyła dłonie na jego rękach. Wprawdzie ich nie odsunął, ale w żaden sposób nie odwzajemnił jej gestu. Ręce miał zimne jak lód. – Czy dlatego, że miałam ci za złe to ubezpieczenie?

– Nie, Maddy, nie – odparł zmęczonym głosem.

– Wiem, przez jaki koszmar przechodziłeś ostatnio, i może nie zawsze wystarczająco cię wspierałam...

Doug wyrwał rękę i podniósł znowu fotografię.

– Ty byłaś idealna. Wszystko robiłaś dobrze. Nie chodzi o ciebie. – Przyglądał się zdjęciu tęsknym wzrokiem. – Patrzę na tego chłopaka i zastanawiam się, co się z nim stało. Co stało się z tym, który miał u stóp cały świat, i wszystko było takie łatwe? Szczęśliwy i zadowolony – podziwiany przez wszystkich. Dziewczyny za nim szalały, a mężczyźni prosili o autograf. Dlaczego to wszystko musiało pójść z dymem? Dlaczego musiałem wszystko stracić?

Maddy wstała z krzesła niepewnie, na chwiejnych nogach i odeszła od biurka. Od tej obelgi rzuconej ich małżeństwu i wspólnemu życiu zakręciło jej się w głowie. Próbowwała wmówić sobie, że wcale nie miał tego na myśli. Ale to bolało. Zabolęło bardzo, a on nawet tego nie zauważył.

– Przykro mi, że nie dałyśmy ci szczęścia – odezwała się gorzko.

– To nie chodzi o to, że nie dałyście mi szczęścia – powiedział obojętnie, ciągle wpatrując się

w fotografii tępym wzrokiem. – Ale popatrz tylko na tego chłopaka na zdjęciu. Miał wszystko, czego można zapragnąć. Niczego nie da się z tym porównać.

Maddy zrobiło się niedobrze.

– Wielkie dzięki.

Doug spojrział zaskoczony i skrzywił twarz.

– Och, Maddy, nie bierz tego sobie tak do serca.

– Nie brać sobie do serca? – nie dowierzała. – A jak mam to rozumieć? Razem z Amy robimy wszystko, żeby cię uszczęśliwić. Najwyraźniej w twoich oczach nie ma to zbytnej wartości.

– Jeśli przyszłaś tutaj, żeby się kłócić, to na mnie nie licz. Nie mam takiej potrzeby.

– Pewnie, jesteś zbyt zajęty myśleniem o sobie – prychnęła. – Jak ja już mam dosyć twojego uzalania się nad sobą...

Odwrócił się nagle i złapał ją za nadgarstki, w oczach miał wściekłość. Była tak zaskoczona jego reakcją, że zabrakło jej tchu. Nigdy jeszcze nie podniósł na nią ręki. Patrzyła mu prosto w oczy, starając się nie rozplakać z bólu, jaki jej sprawiał.

– Puść mnie – zażądała stanowczo, chociaż w głębi duszy nie miała za grosz poczucia pewności.

Przez chwilę nie wiedziała, czy puści ją, czy zgniecie jej kości. W końcu wypuścił jej ręce ze swoich z odrazą.

– Wiedziałem, że nie zrozumiesz. Nigdy nie rozumiałaś – powiedział i ukrył twarz w dłoniach.

Maddy poczuła nagle ogromne zmęczenie. Pragnęła zamknąć oczy i spać tak wiele dni. Chciała odciąć się od niego, jego słów i tego, co one oznaczały.

Pocierając nadgarstki, wyszła chwiejnym krokiem z pokoju. W korytarzu oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Mylił się co do niej. Rozumiała, i to coraz bardziej.

Rozdział dwudziesty szósty

Paulina usłyszała głośne pukanie do drzwi, otworzyła więc i ze zdziwieniem ujrzała policjanta.

– Słucham?

Len Wickes stał w wejściu wdychając rześkie powietrze jesiennego ranka. Czapkę miał nasuniętą na brwi. Spędził noc na swym prywatnym dochodzeniu. Zrobił więcej, niż do niego należało. Jego żona, Laurie, dostarczała mu świeżą kawę, a on studiował wydruki i przeprowadzał rozmowy telefoniczne.

– Czy mogę rozmawiać z państwem Henson?

– Pana Hensona nie ma. Jest w pracy.

Len właśnie na to liczył. Słyszał o Charlesie Hensonie. Każdy policjant słyszał o tym budzącym grozę adwokacie. Nie chciał się z nim widzieć.

– A pani Henson? – zapytał grzecznie.

– Proszę wejść.

Paulina otworzyła szerzej drzwi i Len wkroczył do foyer tego wspaniałego domu. Zdjął czapkę i trzymał ją w ręku.

– Proszę tu zaczekać – wskazała na salon. – Sprawdź, czy jest w domu. Pan w jakiej sprawie? – spytała jeszcze odchodząc.

– To tylko rutynowe przesłuchanie – Len starał się, by zabrzmiało to zwyczajnie.

Paulina nie miała zwyczaju dyskutować z policją. Z jej doświadczenia wynikało, że policji można było ufać i że jest po to, by ochraniać ludzi. Chociaż Ellen była w gorszym stanie niż zazwyczaj, istniały pewne granice tej ochrony, których Paulina nie miała zamiaru przekraczać. Konflikt z policją byłby takim właśnie przekroczeniem. Spojrzała na przybysza z niepokojem i ruszyła na górę.

Len wszedł do salonu i rozejrzał się. Znajdował się w zupełnie obcym dla siebie świecie. Zastanawiał się, ile mógł kosztować taki dom. Prawdopodobnie więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek w życiu widział. Len nie był chciwym człowiekiem, raczej ciekawym niż zazdrosnym. Ponadto, patrząc na portret olejny kobiety i jej zmarłego synka, wiszący – nad kominkiem, pomyślał, że za pieniądze naprawdę nie można było kupić szczęścia. Żadna suma nie mogła zwrócić im dziecka. Według danych kilku agencji Hensonom nie udało się dokonać adopcji. Len pomyślał przez chwilę o Laurie i ich nadziejach na przyszłość. Chcieli mieć dwoje lub troje dzieci i był przekonany, że będą mogli je mieć, gdy tylko będą gotowi. Tak, pewnych rzeczy nie można było kupić.

Odwrócił się, słysząc delikatne chrząknięcie Ellen Henson. Była delikatną kobietą pod

pięćdziesiątkę, jak ocenił. Miała niezwykle włosy: długie, kręcone – niesforna siwo-blond gęstwina. Patrzyła na niego z niepokojem.

– W czym mogę pomóc?

– No cóż, pani Henson – odezwał się, zastanawiając się, czy ta osoba byłaby zdolna do przemocy spowodowanej chęcią posiadania dziecka. Nie wyglądała na szaloną, może na trochę nerwową, ale przecież nie szaloną. Nigdy nie można jednak było osądzać po wyglądzie. Zebrał listy z wszystkich agencji, jak również dane o narodzinach i zgonach z wielu lat, zabrał do domu i tak długo nad nimi siedział, aż znalazł powiązania, o jakie mu chodziło. Sprawdził już trzy osoby ze swojej listy. Był przekonany, że z pozostałymi wszystko było w porządku. Robił wszystko potajemnie, chociaż wiedział, że powinien powiedzieć o tym kolegom. Miał jednak nadzieję, że w tym przypadku jest szansa, by zyskać uznanie, na jakie zasługiwał. – Jak pani wiadomo, prowadzimy dochodzenie w sprawie zniknięcia małego Justina Wallace’a...

– Tak. Czytałam o tym w gazecie. Zechce pan usiąść?

Len usiadł na brzegu wskazanego krzesła. Miał nadzieję, że uda mu się wypytać, najdelikatniej jak tylko możliwe.

– Idziemy każdym tropem, rozmawiamy ze wszystkimi, którzy z różnych powodów pragną za wszelką cenę zaadoptować dziecko...

– Nie rozumiem.

– Pani Henson, jestem przekonany, że to tylko zbieg okoliczności, ale zauważyliśmy, że dzień urodzin pani świętej pamięci syna zbiega się z dniem uprowadzenia Justina Wallace’a. Wiemy też, że bezskutecznie starali się państwo o adopcję...

Oczy Ellen zapłonęły gniewem, ale on kontynuował niezrażony.

– Sprawdziłem dokładniej i dowiedziałem się, że spędziła pani jakiś czas na oddziale psychiatrycznym szpitala Shady Groves. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, na jaką chorobę pani cierpiała?

– Miałam depresję spowodowaną śmiercią mojego jedyne dziecka – odparła Ellen. – Czy to wydaje się panu dziwne?

– Nie, proszę pani, niekoniecznie – odparł. – A czy mogłaby pani opowiedzieć mi, co robiła w dniu zaginięcia Justina Wallace’a?

Ellen siedziała bez ruchu. Len pomyślał, że być może trafił w dziesiątkę. Z triumfem obserwował jej wykrzywioną twarz. Ta kobieta coś ukrywała. Czuł to. Jeśli nie odpowie w ciągu najbliższej minuty, przeszuka dom. Mając męża prawnika, pewnie wiedziała o nakazach, ale czasami ludzie tracili głowę. Kiedy tak siedziała, taka krucha, wydawało się, że zaraz się rozsypie na milion kawałków. Czuł, że zbliża się punkt przełomowy...

– Pani Henson – przynaglił ją.

W końcu wzięła głęboki oddech.

– Młody człowieku – zaczęła. – Zdaję sobie sprawę, że wykonuje pan swoje obowiązki, i ból, który pan mi zadaje, jest niczym w porównaniu z tym, co odczuwają rodzice tego dziecka. – Przerwała na chwilę, starając się zachować spokój. – Ci biedni młodzi ludzie, którzy tak cierpią, zastanawiając się... – Zamknęła na chwilę oczy. – Nie mogę o tym myśleć. Nie mogę nawet o tym myśleć...

Powiedziała to raczej do siebie, co zabrzmiało jak ostrzeżenie.

– Pani Henson, proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Wpatrywała się w niego, jakby miała dużo do powiedzenia, tylko nie mogła z siebie tego wydusić.

– Byłam tutaj przez cały dzień – rzekła w końcu. – W ogóle nie wychodziłam z domu. Gospośia może to potwierdzić. Jeśli będzie pan miał jeszcze jakieś pytania, proszę zwrócić się do mojego męża. – Podniosła się i dodała: – A teraz proszę opuścić mój dom.

– Chciałbym się rozejrzeć, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu – próbował.

– Owszem, mam. Bez nakazu nie zrobi pan w tym domu ani kroku dalej. Ani kroku. A teraz proszę już iść, bo zacznę krzyczeć.

Jej zachowanie wydało mu się podejrzane. Nie sądziłby były jakiegokolwiek problemy z załatwieniem nakazu rewizji.

– Dobrze, ale sądzę, że jeszcze tu wrócę.

Ellen podeszła do drzwi i zamknęła je za nim bez słowa. Kiedy Paulina zeszła po chwili ze schodów, ujrzała ją stojącą sztywno, zapatrzoną w drzwi.

– Co się stało? – spytała z troską. – Czego on chciał?

– Chciał się dowiedzieć, czy to ja porwałam dziecko Wallace'ów. To zaginione.

– Wielkie nieba! – Paulina krzyknęła, chwytając się za serce. – Czy on oszalał? O, mój Boże! Dlaczego przyszedł tutaj?

– Dziecko zaginęło w dniu urodzin Kena.

– No to co?

– Wiedzą również, że nie udało nam się zaadoptować dziecka.

– Wielu ludziom się nie udaje – zagorzale protestowała Paulina.

– Sprawdził mnie. Dowiedział się, że po śmierci Kena spędziłam trochę czasu w szpitalu psychiatrycznym – odwróciła się i uśmiechnęła do Pauliny, ale w oczach miała łzy. – Myśli, że jestem szalona. Może ma rację...

– Proszę tak nie mówić – ostro zareagowała gospośia. Zadzwoił telefon.

– Ja odbiorę – powiedziała Ellen.

Podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę. Paulina nie słyszała, co mówiła, ale widziała, jak zapadła się w sobie na dźwięk głosu w telefonie.

Paulina podeszła do drzwi wejściowych. Zobaczyła odjeżdżający wóz policyjny. Pokiwała

głową, myśląc o tym, jak Charles Henson każe policji za to zapłacić.

Ellen zakończyła rozmowę. Przez chwilę stała nieruchomo. Potem ostrożnie odsunęła się od telefonu, jakby podłoga była ze szkła.

– Idę na dwór... do domku zabaw – rzekła.

– Dlaczego? Nic tam nie ma. Ellen nie odpowiedziała.

– Proszę poczekać – błagała Paulina. – Proszę coś zjeść.

Ellen szła, jakby nic nie słyszała. Paulina przemierzyła za nią cały dom, aż do drzwi wychodzących na ogród.

– Proszę założyć kurtkę! – zawołała.

Ellen również nie zareagowała. Przeszła przez trawnik i otworzyła kłódkę w drzwiach do domku. Paulina zawahała się przez chwilę, patrząc na znikającą w domku kobietę, po czym odwróciła się i pospieszyła do telefonu.

Rozdział dwudziesty siódmy

Nick obudził się w ciemnym pokoju motelu, przewrócił się na drugi bok i spojrzął na zegarek. Zdziwiło go, że jest tak późno. Nigdy nie spał tak długo. Wolność, pomyślał tęsknie, i ponownie rozboląła go głowa. Popatrzył na okno zasłonięte ciężkimi kotarami i dostrzegł błysk światła. Pocierając ręką twarz wstał, podszedł do okna i zobaczył po raz pierwszy w dziennym świetle miejsce, gdzie się zatrzymał. Rozsunął zasłony i patrzył. Parking motelu był prawie pusty. O tej porze roku w środku tygodnia nie było wielu turystów. Za kilka tygodni wypadało Święto Dziękczynienia, więcej ludzi ruszy się z domów, ale w tej chwili miejsce wyglądało na opuszczone. Można było tylko zobaczyć blade niebo i zielone świerki, tworzące na wzgórzach postrzępiony horyzont. Była to osada oddalona od Taylorsville o kilka godzin jazdy.

Wczoraj daleko nie dojechał. Po pożegnaniu z Maddy ruszył do domu z zamiarem załadowania rzeczy do samochodu. Wyjazd nie był jednak taki prosty, jak się wydawało. Ludzie przychodzili go pożegnać, Jim Warren, jego następca, miał do niego mnóstwo pytań. Oprócz tego Nick znajdował w parafii rzeczy, których zapomniał spakować lub rozdysponować. Trwało to wiecznie. Była już piąta, gdy wyjeżdżał. Jechał do zmierzchu, aż głód dał znać o sobie i coraz częstsze ziewanie kazało zatrzymać się. W końcu nie spieszyło mu się. Nikt na niego nie czekał. Miał pojawić się w klasztorze dopiero pod koniec tygodnia. Nikt nigdzie na niego nie czekał...

Opuścił zasłonę i postanowił wziąć prysznic. Przechodząc obok telefonu zastanawiał się, czy przypadkiem nie zadzwoni, gdy on będzie w łazience, jak to zwykle bywało. Ale przypomniał sobie, że przecież nikt nie wie, gdzie on jest. Nikt nie mógł tu zadzwonić. Próbował przekonywać się, że to wspaniale – że to była wolność i anonimowość, której szukał.

Gdy puścił wodę, wszedł do wanny i przesunął zasłonę. Złapał się ponownie na nadsluchiwanie. Przyzwyczyił się do wymagań swojej pracy.

Ludzie zawsze szukali u niego nadziei, cudu, czegoś, czego nie był w stanie im dać. Namydlał się powoli, czując strumień wody obmywający jego ciało. Doceniał ciszę motelu, uwolnienie od żądań innych. Nie odczuwał w tym jednak przyjemności. Zaczął marzyć, wyobrazić sobie, że nie jest sam, że jest w tym ciemnym anonimowym miejscu z dala od wszystkich i od wszystkiego z jedną osobą...

Myśli te były nie do zniesienia. Dzięki przyzwyczajeniu udało mu się zepchnąć te myśli. Wiedział, że już dłużej nie musiał udawać, że jej nie kocha. Mógł to wykrzyzczyć całemu światu w tym opuszczonym motelu. Była teraz częścią jego przeszłości. Nigdy nie dowie się, ile cierpienia sprawiała mu swoim spojrzeniem, uśmiechem czy niedokończoną rozmową. Przypomniał sobie wczorajszy obraz w jej kuchni, gdy robiła dla niego herbatę, jakby należeli do siebie. Odtwarzał sobie ten obraz w głowie jak z taśmy wideo. Poruszała się po kuchni, myśląc

o innych rzeczach, nieświadoma jego jako mężczyzny. Był tylko księdzem Nickiem, który udzielał odpowiedzi, uspokajał zagubiony umysł. I wtedy wróciły do niego jej pożegnalne słowa, nie „do widzenia”, a „przepraszam”. Dlaczego tak powiedziała? Za co przepraszała? Czy żałowała, jak on, że spotkali się o całe życie za późno? Nie, powiedział sobie i skarcił się za te chłopięce marzenia. Budujesz zamki na piasku na podstawie jednego słowa kobiety, która nawet nie myśli o tobie.

Nie wierzył jednak sobie. Nie był zupełnym nowicjuszem w stosunkach z kobietami. Zanim został księdzem, miał kilka nieudanych związków. Potrafił rozróżnić obojętność. Z tego też powodu postanowił opuścić Taylorsville. Gdyby zostali ze sobą dłużej, pewnie dowiedziałby się, co o nim myślała. Obawiał się, że wcześniej czy później naciskałby, szukając jej odpowiedzi, powiedziałby coś, czego nie powinien. Była przecież mężatką, a on księdzem. I jakichkolwiek grzechów dopuściłby się w myślach czy sercu, nie miał zamiaru prowokować jej do popełnienia cudzołóstwa. Miał wady, ale nie podda się pokusie i nie zdradzi swojego powołania.

Wyszedł spod prysznic, wytarł się ręcznikiem i ubrał. Zauważył żółtą składaną kartkę na telewizorze informującą o gratisowym śniadaniu kontynentalnym. Zdecydował, że będzie najlepiej się spakować i zatrzymać na kawie przed wyruszeniem w dalszą drogę. Zapakował torbę podręczną i zaniósł do samochodu. Gdy otworzył bagażnik i poprzesuwał swoje rzeczy, zauważył, że nie ma wśród nich jego teczki.

– Jak mogłem zapomnieć? – powiedział do siebie. Był taki zajęty i tyle ludzi się wkoło kręciło, że prawdopodobnie nie zauważył jej. Wieczorem był już zbyt zmęczony, żeby zwrócić uwagę. Stał przez chwilę, machając kluczykami, po czym zamknął bagażnik i wrócił do pokoju.

Usiadł na brzegu łóżka i wykręcił numer do biura parafialnego. Po długiej chwili usłyszał znajomy głos: – Biuro parani...

– Marge? – odezwał się Nick, poznając głos gospodyni.

– Ksiądz Nick?

– Tak, to ja.

– Dzwoni ksiądz z Kanady?

– Jeszcze nie, ale jestem już niedaleko. Czy jest Jim? Chyba zostawiłem w biurze moją teczkę.

– Nie, nie ma go – zasmuciła się Marge i ponuro dodała: – Dzisiaj ma pogrzeb tej zamordowanej dziewczyny.

– Rebeki Starnes? Nie wiedziałem, że to katolicy.

– Nie chodziła tutaj do kościoła, ale była ochrzczona. Chodziła też do Perpetual Sorrows. Jej ojciec jest katolikiem i nalegał na pogrzeb w kościele katolickim. Monsignore Hathaway nie chciał się zgodzić, bo rodzice są rozwiedzeni, więc wezwano księdza Warrena. Szczerze mówiąc matka jest tak pogrążona w rozpacz, że jej wszystko jedno. To takie smutne.

– Tak. – Nick poczuł się winny, że nie było go tam, by pocieszyć rodzinę, mimo że ich nie znał... Kazał sobie jednak o tym zapomnieć, to była już przeszłość. – Czy znaleźli dziecko?

– To biedne stworzonko jest już wśród aniołków, proszę księdza. Wspomni ksiądz moje słowa.

– Może masz rację, Marge.

– No to chce ksiądz, żeby ksiądz Warren zadzwonił?

– Nie, jestem w drodze. Jeśli ją znajdzie, to proszę, żeby przesłał mi ją do klasztoru, dobrze? Zostawiłem adres...

– Powiem mu – przerwała.

– Zadzwońię z Kanady.

– Tęsknimy za księdzem – szczerze wyznała gospodyni.

– Dziękuję, Marge. Ja też za wami tęsknię.

Odłożył słuchawkę, ale siedział dalej na łóżku, myśląc o Rebecce Starnes. Co przydarzyło jej się w parku tego dnia? Pomyślał o Douglasie Blake'u. Radził Maddy, by była lojalna i wierzyła mężowi. Czy miał rację? A może powiedział jej tak, by było mu łatwiej odejść? Czy poradził jej zaufać człowiekowi złemu, zdolnemu do zbrodni?

Podskoczył, słysząc pukanie. W drzwiach stała kobieta w białym fartuchu i dżinsach.

– Czy można posprzątać pokój? – zapytała. Nick wstał.

– Tak, chyba tak.

Rozejrzał się jeszcze po pokoju, sprawdzając, czy wszystko zabrał, i ruszył do samochodu. W tym czasie pokojówka popychała wózek z bielizną pościelową do jego pokoju. Zawahał się na moment przy drzwiach do auta. Nie było już powrotów, powiedział sobie, zasiadając za kierownicą. Dał jej taką radę, jakiej potrzebowała. Była z Douglasem Blakiem, bo tego chciała. Dobrze zrobiłeś. A teraz zapomnij o niej i zacznij swoje nowe życie.

Rozdział dwudziesty ósmy

Doug zmasał tablicę i westchnął. Żeby tak wszystkie błędy życiowe można było równie łatwo zetrzeć miękką szmatką. Stał i patrzył na zieloną tablicę. Widział dokładnie ślady po kredzie. Biała mgiełka na zielonym tle.

Było gorzej, niż się spodziewał. Widział to w oczach wszystkich. Wprawdzie uśmiechali się i gratulowali, ale pozostawały wątpliwości. Uczestniczył w zebraniu i poprowadził trzy lekcje. Nikt nic mu nie powiedział. Nic, co mogło być choć trochę negatywne. A jednak atmosfera była ciężka. Pod warstwą strachu była inna. Wiele innych warstw, poprawił się. Wszystkie związane były ze śmiercią Rebeki Starnes. Na razie był bezpieczny, ale jeśli już wiedzieli...

Doug odłożył gąbkę, otrzepał ręce i podszedł do swojego biurka. Włożył papiery do teczki i westchnął głośno. Pakując się, zastanawiał się, po co właściwie zabiera te papiery do domu. I tak nie będzie mógł się skoncentrować. Założył jeszcze ciemnozieloną marynarkę, wziął teczkę i wyszedł z klasy. Uczniowie na korytarzach hałasowali, zamykając i otwierając swoje szafki, nawołując się. Oni nie myślą o tobie, powtarzał sobie. Mają swoje sprawy. Postanowił iść na parking na skróty, bocznym wyjściem przez trawnik. Im mniej ludzi spotykał, tym lepiej.

Poczuł ulgę owiany świeżym powietrzem. Zatrzymał się przy kamiennym murze wyznaczającym granice szkoły i przyglądał się dziewczęcej drużynie hokeja na trawie ćwiczącej nieopodal. Wyglądały niebiańsko. Takie beztroskie z rozwianymi włosami i długimi nogami. Był to naprawdę błogi widok. Od samego patrzenia poczuł głód. Bezwiednie sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął paczkę serowych krakersów. Włożył jednego do ust i żuł. Krakers był czerstwy i pozbawiony smaku.

– Panie Blake – usłyszał za sobą miękki głos.

Przelknął szybko i wepchnął paczuszkę z powrotem do kieszeni. Odwrócił się i zobaczył Karłę Needham. Miała na sobie dużą niebieskoszarą kurtkę. Lśniące ciemnobrązowe włosy tworzyły chmurkę wokół jej ramion. Uśmiechała się do niego smutnymi oczyma. Jej usta były idealne.

– Witaj, Karla – pozdrowił ją łagodnie.

Miała najlepszą figurę w całej szkole, chociaż pod tą obszerną kurtką trudno to było zauważyć. Zmierzył ją szybko w poszukiwaniu kształtów, podczas gdy ona podeszła do niego i oparła się o mur. Książki trzymała przy piersi i wpatrywała się w boisko. Ich łokcie oparte o mur prawie się stykały. Serce mimo woli zaczęło mu bić szybciej. Nie mógł przestać myśleć o tym, co powiedziała Heather, kiedy przyszła do ich domu i oskarżyła go o romans z Karłą. Mówiła, że Karla ma na niego chęć.

– Cieszę się, że pan wrócił – odezwała się.

Uśmiechnął się do siebie. Zawsze podejrzewał, że go lubi. Pojaśniała, gdy się do niej odwrócił. To było to spojrzenie, którym zawsze kokietowały: przechylały wtedy główkę lekko na bok. Widział to spojrzenie już nie raz. Były młode, ale wiedziały, czego chcą. Ludzie zachowywali się, jakby te dziewczyny były naiwne, a przecież ich hormony były ciągle w stanie gotowości. Chodziły całymi dniami, ocierając się o chłopców, błędząc wzrokiem w okolicach rozporka, jakby w oczekiwaniu na reakcję.

– Dziękuję, ja też się cieszę.

Odwróciła się i leniwie oparła o ścianę, patrząc prosto na niego. Powiedziała:

– To, co się panu przydarzyło, nie było sprawiedliwe. Jej ciemne oczy błyszczały, jakby miała się rozplakać.

– Już w porządku – zamruczał. – Zdarza się.

– Ale naprawdę – przekonywała, przesuwając po piasku stopę ubraną w śnieżnobiałą tenisówkę. Potrząsnęła głową, włosy opadły jej na wąskie ramiona. – Wszyscy wiedzieli, że Heather Cameron kocha się w panu. W zeszłym roku trochę jej dokuczaliśmy z tego powodu.

– To chora dziewczyna – łagodnie wyjaśnił. – Ma wiele problemów i... obawiam się, że chciała je wyładować na mnie.

Karla patrzyła na niego spod długich zawiniętych rzes, od których nie mógł oderwać wzroku.

– Cieszę się, że to nie była prawda – rzekła.

– Nie – roześmiał się. – To tylko jej fantazja...

– Nie mogłabym znieść myśli, że pan z nią był – wyznała.

Doug przymknął oczy i poczuł znajome, ale niebezpieczne pożądanie. Jesteś szalony? Jak możesz w ogóle o tym myśleć? Jesteś na terenie szkoły. Twoi wrogowie tylko czekają na twój błąd. Nawet o tym nie myśl, powtarzał sobie.

Ale myślał o tym i czuł, jak krew szybciej krąży mu w żyłach, i poczuł, że znowu żyje, nowy bohater zdobywca. To chyba bogowie postawili na jego drodze ten piękny dar, więc nie mógł go odrzucić bez względu na okoliczności.

– Chcesz się ze mną przejść? – zapytał zmienionym głosem.

Kiwnęła głową, zbyt przejęta, by móc się odezwać.

Położył rękę na jej szczupłych plecach i mógłby przysiąc, że czuł jej skórę przez kurtkę. Poprowadził ją, łagodnie dotykając palącymi dłońmi. Rozejrzał się, nim przeszli przez ulicę, sprawdzając, czy nikt znajomy ich nie widzi, ale nic nie zauważył. Przycisnął ją mocniej, jakby chciał przyspieszyć. Właściwie to nie mógł się doczekać, kiedy będą sami. Wtedy nie będzie się spieszył. Młode dziewczyny potrzebowały dużo czasu i pewnej finezji.

Poprowadził ją wzdłuż cichej uliczki ze starymi domkami w stronę parku znajdującego się naprzeciwko banku, o tej porze już zamkniętego. Dziewczyna zawahała się przy wejściu do parku. Spojrzał jej głęboko w oczy, co ją uspokoiło, i razem przekroczyli bramę. Wiosną i latem

ten zakątek był bardzo popularny wśród turystów. Jesienią, na przecinających się alejkach z gazowymi lampami, gęstwiną krzaków i drzew, było cicho. Dziewczyny uwielbiały to romantyczne miejsce. Kiedyś spacerował tu z Heather. Z innymi dziewczętami także tutaj przychodził. To było dobre miejsce na pierwszy raz.

– Jaki śliczny zakątek – zachwyciła się Karla.

Wszystkie mówią to samo, pomyślał. Są takie same, na początku bojaźliwe i podekscytowane, drżące w oczekiwaniu, zdolne tylko do błażej uwagi dotyczącej pogody albo miejsca.

– Podoba ci się?

Spacerowali po alejkach przypominających tunel dzięki czubkom drzew stykającym się nad dróżką. Pod jednym z drzew stała cementowa ławeczka. Wskazał to miejsce, a ona bez słowa podeszła i usiadła. Przysiadł koło niej tak, że kolanem dotykał jej gołej nogi. Spuściła oczy onieśmielona. Ręce skrzyżowała na książkach trzymanyh na kolanach. Dłonie miała drobne i delikatne. Nie mógł oderwać od nich wzroku.

– Jestem trochę zdenerwowana – przyznała, nerwowo się uśmiechając.

– Dlaczego?

Kiedy wzruszyła głowę, delikatnie dotknął jej ręki, jakby pocierał błyszczący drogocenny kamień.

Podniosła wzrok rozmarzona.

– Zawsze marzyłam, że może... może spojrzysz pan na mnie... trochę inaczej.

– Myślę, że jesteś piękną dziewczyną – powiedział miękko.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Pragnął jej tak bardzo, że cały unosił się w zachwycie. Sama się mu oddawała. Wiedział, że powinien przestać. Rozsądek nakazywał mu wstać i odejść, ale tak było zawsze. Ta lekkomyślność, niebezpieczeństwo, na jakie się narażał, było niezwykle ekscytujące. W takich chwilach tracił głowę. Poddawał się swoim zmysłom. Nie chodziło tylko o jej widok czy zapach. Działy również na niego ostre powietrze, szeleszczące liście, piękno wokół niego, które w codziennym życiu wydawało się zbędne. Był jak nowo narodzony. Przez chwilę znów był młody i zwycięski. Był niewinny i wszystko dopiero otwierało się przed nim. Nieskończona przyjemność i bez troska.

Jednak gdy przymknął oczy, ujrzał twarz Maddy żądającą wyjaśnień i zobowiązań. Niekończący się potok wymagań. Wyrzucił jej obraz z myśli i otworzył oczy, by patrzeć na Karle i jej młodą twarz. Czuł się, jakby odbył podróż w czasie do dni swojej świetności. Jego duch wzniósł się ponad niepowodzenia dnia codziennego. Rozkoszował się odczuciami zmysłów. Gdyby był ze sobą szczery, przyznałby, że młodość wcale nie była idyllą. Romanse w szkole

średniej kończyły się rozczarowaniem. Pierwsze lata dorosłości przyniosły ból i samotność. Złoty wiek, którego zawsze pragnął, nigdy nie był jego udziałem. Dziecięcym marzeniem była czysta rozkosz w miłości kobiety, która żyłaby tylko dla niego. Nigdy jej nie zaznał. Nigdy. Nie ustawał za to w poszukiwaniach. Celem jego życia było zdobywać ją i poznawać.

Doug, czując na sobie cień zachodzącego słońca, wsunął dłoń pod ciepłą wełnianą kurtkę, ujmując krągłość miękkiej piersi Karli. Jednocześnie pochylił się nad nią z uwielbieniem, szukając uległości jej miękkich ust.

W ciemnym wnętrzu samochodu zaparkowanego przy ulicy przechodzącej przez park, Richie Talbot trzymał nieruchomo kamerę wideo swojego ojca opartą o opuszczone okno.

– Połknął haczyk – odezwał się. – Dobra robota, Heather.

– Mówił, że to nasze wyjątkowe miejsce – tępo odparła siedząca obok dziewczyna. Wierzyła we wszystkie jego kłamstwa, gdy mówił, jaka jest śliczna i wyjątkowa. Doniosła na niego dlatego, że powiedział na początku tego roku szkolnego, że wszystko skończone. A teraz próbował tego samego z Karłą, tak jak podejrzewał Richie. Łzy napłynęły jej do oczy, gdy zdała sobie sprawę z tego, że nic nigdy dla niego nie znaczyła.

– Teraz go mamy – uśmiechnął się zadowolony Richie.

Wiedział, że jego głos się nagra, ale nic go to nie obchodziło. Zdjęcia były warte o wiele więcej.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Paulina stała przy dębowym stole w kuchni, wyrabiając ciasto na posypanej mąką stolnicy. Gniotła palcami lepka masę, próbując przekształcić ją w coś gładkiego i satynowego, jak ją nauczono i jak robiła wiele razy. Przenosząc ciężar ciała do dłoni, miała wrażenie, że maleje także ciężar w jej sercu.

Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich Charles Henson. Twarz miał białą jak mąka na palcach Pauliny.

– Przyjechałem najszybciej, jak mogłem – powiedział. – Czy ona ciągle tam jest?

Paulina potwierdziła i wyjrzała przez okno.

– Zaraz po twoim telefonie zadzwoniłem do szefa policji. Powiedziałem im dokładnie, co myślę na temat ich sposobu prowadzenia śledztwa. Obiecałem, że pożałują tego. Jak mogli w ogóle pomyśleć...? Tę dziewczynę zamordowano.

– Tak, słyszałam o tym.

– Przecież Ellen nie mogłaby nikogo skrzywdzić. To oburzające! Milczeli przez chwilę.

– Jak to przyjęła? – zapytał w końcu.

– Była zdenerwowana. Chwilę później odebrała tylko telefon i zaraz po nim tam poszła.

– Rozmawiałem z psychiatrą, tym samym, u którego była przed laty. Lubiała go wtedy. Jest bardzo dobrym specjalistą – żarliwie tłumaczył Charles. – Opowiedziałem mu, co się dzieje. Jest zdania, że może jej pomóc.

– Nie pójdzie do lekarza – zawyrokowała gospoia.

– Będzie musiała, Paulino. Nie wiem, co robić. Paulina zanurzyła dłonie w ciasto.

– To już sprawa między wami.

– Uważasz, że jestem winny? Chcę jej pomóc, przecież wiesz.

– Wiem, to niczyja wina.

Charles podszedł do okna i popatrzył na dom zabaw.

– Chyba pójde i spróbuję z nią porozmawiać.

Paulina nie spojrzała na niego. Nie chciała widzieć wyrazu jego twarzy.

Wyszedł na zewnątrz przez kuchenne drzwi. Na ołowianych nogach przeszedł przez ogródek. Przypomniał sobie dzień, kiedy stolarze zrobili już ten domek, po raz ostatni maznęli drzwi farbą i odeszli. Kenny szalał z zachwytu, widząc tę nową kryjówkę. To miejsce tylko dla mężczyzn, tłumaczył synkowi, idąc ręką w rękę tą samą alejką między rzędami kwiatów. Kenny orzekł, że to taka chatka Puchatka. Charles przyznał mu rację.

Chociaż dzień był szary, niemal czuł w swojej dłoni jego ciepłą rączkę, słońce grzejące w plecy. Miał trzydzieści pięć lat, gdy Ken się urodził. Nigdy go nie zaniedbywał. Ani przez

chwile krótkiego życia synka Charles nie był na tyle zajęty, by nie mógł delektować się radością przebywania z dzieckiem. Uwielbiał być ojcem. To było pocieszeniem przez te lata. Próbował myśleć o tym okresie jak o darze, który w pełni docenili.

Gdy doszedł do domku, nie wydawało już mu się to tak oczywiste. Zapukał.

– Kto tam?

Głos Ellen brzmiał normalnie, prawie radośnie, a mimo to był przerażony. Co to miało znaczyć? Czy to szaleńczy początek kolejnego załamania? Nie chciałby znowu musiała iść do szpitala. Nie był pewny, czy tym razem by wróciła. Wspominał jej pobyt w szpitalu jako najgorszy okres w swoim życiu. Gdy ją odwiedzał, wpatrywała się tylko w niego, nie rozpoznając. W domu nikt na niego nie czekał.

– To ja, kochanie – odezwał się głosem pełnym miłości.

– Wejdz.

Otworzył drzwi i pochylił się, by wejść do domku. Przez chwilę nie mógł przyzwyczać się do panującej tu ciemności. Siedziała na podłodze, na kołdrze, z kolanami pod brodą. Wskazała mu miejsce obok siebie.

– Chodź, usiądź tu ze mną.

– Może wrócimy do domu, kochanie? – poprosił. – Tutaj jest chłodno.

– Nie. Nie pomyślałam nawet o tym. Tu jest dobrze. Usiądź koło mnie, proszę.

Wyglądała bardzo młodo w blasku świecy. Miała złote loki i błyszczącą twarz. Wyglądała na dziwnie spokojną. Bardziej go to przerażało, niż gdyby szalała.

– Wiem, że masz na sobie dobry garnitur – rzekła.

– Nie szkodzi – zapewnił ją. Usiadł po turecku, nie zważając na kant wełnianych spodni. – Zależy mi tylko na tobie. Paulina powiedziała mi o tym policjancie.

Ellen pokiwała smutno głową.

– Próbują odnaleźć to dziecko.

– Tak mi przykro, że ciebie napastowali, kochanie, i że nie było mnie tu, by ich wyrzucić.

– Nic nie szkodzi – upewniła go, ujmując jego dłoń. – Nie mam im tego za złe.

– Chodźmy do domu – łagodnie perswadował. – Napijemy się na rozgrzewkę cherry.

Uśmiechnęła się do niego, przeczesując palcami jego idealnie uczesane siwe włosy. – Jesteś ciągle taki przystojny. Spojrzał na nią zaskoczony.

– To ty jesteś tutaj piękną.

– Nie jesteśmy już młodzi.

– Nie.

– Charles, muszę ci coś powiedzieć. Ukrywałam to przed tobą. Podejrzywałam to od jakiegoś czasu, ale dopiero wczoraj byłam w szpitalu i lekarz...

Oblał go zimny pot. Dlatego zachowywała się dziwnie. Mówiła mu, że czegoś się obawia.

Jak mogłem być taki tępy? Ona jest chora. Nie umyślowo, tylko fizycznie. Oczywiście, teraz wszystko nabierało znaczenia. To rak, pomyślał. W jej rodzinie to było dziedziczne.

– O nie – jęknął.

– Nie – zaprzeczyła, czytając w jego myślach. – Nie jestem chora. Jestem... w ciąży.

Szybko powróciło podejrzenie choroby psychicznej. Wpatrywał się w nią, starając się, by jego twarz nie zdradzała myśli.

– Wiem, pomyślałam to samo. Kiedy po raz pierwszy zauważyłam objawy, pomyślałam, że to jakaś okropna choroba. Albo że sobie wyobrażam. Wiesz, wyobrażenia czasami robi mi psikusy. To tak, jakby los okrutnie sobie zażartował. Wiesz, taki ostatni gwóźdź do trumny.

– Ale jesteś przecież...

– Stara – dokończyła uśmiechnięta. – Możesz to śmiało powiedzieć. Pomyślałam to samo.

– Przecież przez te wszystkie lata nie mogliśmy...

– Tak – chwyciła go mocno za rękę. – Ale to prawda. Rozumiesz, co ja do ciebie mówię? Mimo wszystko będziemy mieli dziecko.

– O mój Boże! – Z trudem zmienił pozycję, by być bliżej żony. Dobrze, że tu siedzieli w tym domku, bo sam czuł się przerażony jak dziecko. Znów maleństwo w ich domu. – O Boże! Ellen!

A ona śmiała się głośno i szczęśliwie.

– Ale w twoim wieku to przecież niebezpieczne. Może być tyle komplikacji... – Nie chciał sobie nawet wyobrażać, i tak był wystarczająco przerażony.

Znowu chwyciła jego rękę.

– Wiem, co czujesz. Czulałam to samo przez ostatnich kilka tygodni. Ale już o tym nie myślę. Nagle wszystko minęło. Lekarz zadzwonił dziś rano, zaraz po wyjściu policjanta. Powiedział, że wszystko wygląda dobrze. Muszę tylko brać hormony. Wyobrażasz sobie? Tylko hormony. No i oczywiście witaminy. To zdumiewające, nieprawdaz? Od rana siedzę tu i wspominam. Pamiętam wszystko. Wszystko już też zaplanowałam. Wiesz, Charles? Nie boję się już. Jestem spokojna. Jestem pewna. To nasz cud, kochany.

– Ellen, a co, jeśli... nie możemy być pewni.

– A czego mamy się bać? – powiedziała rozsądnie. – Wszystko pokaże czas. Musimy poczekać, żeby się przekonać, co Bóg dla nas przygotował. Będę miała zrobione wszystkie badania, jakie przechodzą kobiety w moim wieku, żeby sprawdzić, czy z dzieckiem wszystko w porządku. Niedługo będziemy mogli je zobaczyć na ekranie. Mają taki aparat, sonograf. Lekarz mówił, że może nam powiedzieć, czy to chłopiec, czy dziewczynka. Powiedziałam, że nie chcę wiedzieć. Co ty na to? – zapytała go delikatnie. – Powiedziałam, że nie ma to dla nas żadnego znaczenia.

Charles siedział zdumiony, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Gdyby powiedziała mu, że umrze, nie czułby się dziwniej. Przyniósł się do niej. Objęła go. Wszystkie niepokoje, obawy

i nadzieje wstrząsały nim jak w gorączce. Przychodziły jedne za drugimi, przetaczając się przez niego jak burza. Przez cały ten czas obejmowała go, kołysząc i uspokajając czule oraz obiecując, że wszystko będzie dobrze.

Rozdział trzydziesty

Len Wickes ubrany jeszcze w mundur zapiął skórzaną kurtkę i wszedł na kręcone ścieżki Binney Park. Park tonął w głębokiej zieleni. Ciszę mącił tylko okazjonalny krzyk ptaków albo głuchy odgłos kroków biegaczy, którzy go mijali. Len nie patrzył na nich. Czuł, że na jego widok kręciliby smutno głowami. Wydawało mu się, że cały świat już wie o jego upokorzeniu.

Wrócił do komisariatu, by zakomunikować swe podejrzenia dotyczące Ellen Henson. Tymczasem zastał Camerona szalejącego z wściekłości. Dzwonił nie tylko Charles Henson, lecz także inne osoby, które Len zdążył odwiedzić. Wszyscy oni złożyli skargę. Zamiast nagrody za ten wielki wysiłek, Len otrzymał upokarzającą naganę i został zawieszony w czynnościach na tydzień.

Co powie Laurie? Była jeszcze w pracy w salonie kosmetycznym, ale jak wróci do domu i zastanie go tam... Len wolał o tym nie myśleć. Była taka zaaferowana tego dnia, gdy przyniósł do domu wydruki, by nad nimi pracować. Podziwiała go za to, że był policjantem, i to takim, który robił więcej, niż do niego należało. Z bólem myślał o tym, co powie, jak się dowie prawdy. Zawsze była z niego taka dumna.

Ciągle nie mógł zrozumieć, dlaczego to, co zrobił, było złe. Nigdy nie otrzymał nagany. Owszem, ludzie docinali mu, że jest takim niby skautem, ale nie brał im tego za złe. Wstąpił do policji, bo chciał pomagać ludziom. Jeśli wydarzyło się coś takiego, jak śmierć Rebeki Starnes czy zniknięcie Justina Wallace'a, cierpiał bardziej niż inni. Traktował to bardzo osobiście i niczego więcej nie pragnął, jak tylko rozwiązać tę sprawę.

Teraz spacerował po parku, nie wiedząc, dokąd pójść. Widział dziką kaczkę leniwie posuwającą się po spokojnej tafli stawu, siedzącą na ławce matkę obserwującą, jak jej synek bawi się łódką nad brzegiem stawu. Len uśmiechnął się do kobiety, która odwzajemniła uśmiech. Przystanął na chwilę i popatrzył na chłopca. Mam nadzieję, że kiedyś będę miał synka, pomyślał. On i Laurie na pewno będą dobrymi rodzicami. Myśl o żonie przypomniła mu o jego sytuacji i zasmucił się. Tak bardzo nie chciał jej rozczarować.

Dzieciak nie mógł poradzić sobie z łódką, która wciąż przechylała się na bok. Len ukucnął więc przy nim i pokazał, jak należy ustawić zabawkę, po czym wstał, uklonił się kobiecie i odszedł. Postanowił iść do baru na rogu i napić się kawy. Nie chciało mu się iść do domu. Był glina, cóż miałby robić w domu?

Ruszył na przełaj przez trawnik, tak głęboko pogrążony w myślach, że prawie wpadł na kogoś stojącego na jednej nodze, z ramionami uniesionymi w górę w kształcie litery L.

– Przepraszam – wymamrotał, przesuwając się, by obejść osobnika, który właśnie zmienił pozycję na mniej niebezpieczną. Len spojrział na niego zdumiony, jakby był zjawą. Policja

przeszukiwała ten park wiele razy i dotarła do każdej osoby pochodzenia azjatyckiego w miasteczku. Każdy, z kim rozmawiano, wiedział o porwaniu, o śmierci Rebeki Starnes, a niektórzy nawet interesowali się tai chi, nikt jednak nigdy nie wykonywał żadnych ćwiczeń w Binney Park, a już na pewno nie w dzień uprowadzenia. To on! Myśl ta poraziła Lena. To on, nie dowierzał, jest tutaj! Ostrożnie podszedł do mężczyzny.

– Przepraszam – zagadnął, starając się, by głos nie zdradził jego emocji. – Czy mógłbym zamienić z panem kilka słów?

Na twarzy tamtego pojawił się grymas niezadowolenia i podejrzliwie spojrzął na policjanta. Wyprostował się, pozostawiając lekko zgięte ramiona.

– Słucham – powiedział głębokim głosem.

– Leonard Wickes z komendy policji w Taylorsville – przedstawił się Len, pomijając milczeniem fakt, że obecnie był zawieszony. – Chciałbym zadać panu kilka pytań dotyczących śmierci Rebeki Starnes i uprowadzenia Justina Wallace’a.

– Nic nie wiem na ten temat – zaprotestował mężczyzna.

– Czy ćwiczy pan tai chi?

– Tak.

– Czy często wykonuje pan ćwiczenia w tym parku?

Mężczyzna pokiwał głową i dodał: – Kiedy jestem w mieście. Dużo podróżuję służbowo.

– Cóż, panie...

– Ishikawa – podał niechętnie.

– Panie Ishikawa... czy to chińskie nazwisko?

– Japońskie. Moi rodzice pochodzą z Japonii. Ja jestem Amerykaninem – tłumaczył uszczypliwie, odrobinę zniecierpliwiony.

– Aha – zrozumiał Len i zadał kolejne pytanie: – Czy mieszka pan w Taylorsville?

– Tak. Mieszkam w tamtym bloku. – Wskazał na stojące niedaleko budynki.

– Musiał więc pan słyszeć o tym, co stało się tu we wtorek.

– Przykro mi, ale nie orientuję się za bardzo, co ostatnio dzieje się w mieście. Wyjeżdżałem.

A co się wydarzyło?

Wyjeżdżał, uradował się Len. To wszystko tłumaczyło. Nic dziwnego, że do tej pory nikt z nim nie rozmawiał, skoro go nie było. Len nie posiadał się z radości na myśl o tym, że odnalazł brakującego świadka. Nie mógł doczekać się, kiedy zadowolony szef przywróci go z powrotem do służby. Będzie musiał!

– A więc wyjeżdżał pan w interesach – dopytywał się uprzejmie.

– Nie, właściwie byłem na ostatnim meczu finałów mistrzostw Ameryki w baseballu.

Len otworzył usta ze zdziwienia. Nagle wszystko inne przestało się liczyć.

– Miał pan bilet? Był pan na tym meczu? – nie dowierzał.

Pan Ishikawa pokiwał głową, nieco zmieszany podziwem tego obcego mężczyzny.

– Jestem wielkim fanem baseballu – dodał usprawiedliwiająco.

– No nie! Naprawdę?!

Donna i Johnny Wallace siedzieli drętwo przy biurku Franka Camerona i tylko ich spojrzenia zdradzały gniew. Frank, który spał równie mało jak ci zrozpaczeni rodzice, próbował uspokajać ich mówiąc, że robi wszystko, co tylko jest możliwe, w tej sprawie.

Johnny Wallace aż podskoczył w trakcie monotonnej przemowy Franka i zaczął krzyczeć:

– Nie chcemy żadnych wyjaśnień! Chcemy odzyskać nasze dziecko!

– Rozumiem, my też tego chcemy. Ale dopóki porywacze się nie odezwą, nie możemy zrobić nic więcej, niż zrobiliśmy do tej pory. Sprawdzamy wszystkich podejrzanych. Każdy trop. A tak właściwie, co wy oboje tu robicie? A jeśli porywacz zadzwoni z żądaniem okupu, a was nie ma w domu?

– Nie mogliśmy już znieść tego czekania – przepraszała Donna.

– Nie mów tak, jakby to była nasza wina – skarcił ją mąż.

– To nie jest także moja wina – nie wytrzymał policjant.

– On ma rację – odwróciła się do Johnny’ego. – Chociaż jedno z nas powinno być w domu.

Wstała i struzka łez popłynęła jej z oczu. – Proszę do nas zadzwonić – rzekła do Franka.

– Jak tylko będziemy coś wiedzieć – powiedział, łagodnie kładąc rękę na jej ramieniu.

Niezależnie od tego, co sobie myśleli, bardzo im współczuł.

Na biurku zadzwonił telefon. Frank spojrzał na niego z rezerwą. Dwojąc się i trojąc, by jak najszybciej rozwiązać sprawę Justina, musiał odbierać telefony od zdenerwowanych osób i tłumaczyć się z postępowania Lena Wickesa. Frank tylko czekał, kiedy zadzwoni znowu Charles Henson. Wściekł się, gdy usłyszał, że Len samowolnie zabrał się do analizowania danych i użył ostrej taktyki w stosunku do ludzi, dla których te sprawy były bardzo bolesne. Jakkolwiek potrzebował teraz każdego człowieka, nie mógł puścić płazem takiego zachowania. Len opuszczał komisariat zdruzgotany.

Frank podniósł w końcu ostrożnie słuchawkę, jakby to był odbezpieczony granat, i ostro podał swój stopień i nazwisko. Ulżyło mu, gdy usłyszał głos Pete’a Miliarda. Detektyw nadzorował prace ekipy przeszukującej jezioro w lesie, gdzie zniknął Justin. Jak dotąd nie znaleziono ciała. Frank nie wiedział, czy taką informację należało przekazać rodzicom, czy może lepiej nie. Dopóki nie było ciała, istniała jeszcze jakaś nadzieja...

– Kiedy skończycie?

Pete nie mógł udzielić konkretnej odpowiedzi, obiecał natomiast odezwać się, gdy będzie coś wiadomo.

W tym momencie Delilah Jones wetknęła głowę do biura i z przebiegłą miną oznajmiła:

– Przyszedł Len.

Frank podniósł się z krzesła.

– Mówiłem temu ignorantowi...

– Ale spodoba się to panu – przerwała, zachęcając, by wyszedł. Promyk nadziei zabłysnął w jego duszy. Delilah nie odważyłaby się mówić mu o Lenie, gdyby nie było to coś naprawdę ważnego. Frank przybrał swoją najgroźniejszą minę i wyszedł.

Len Wickes stał przy biurku Rocco Belmonta. Przestraszył się trochę groźnego szefa, ale nie poddawał się. Obok niego na krześle siedział przystojny azjata w dresie. Frank przyglądał się Lenowi wyczekująco.

– Co jest?

– Chciałbym, szefie, aby pan poznał pana Ishikawę. Znalazłem go w Binney Park, jak ćwiczył tai chi.

– Jesteś zawieszony – przypomniał mu Frank, a następnie zwrócił się do pana Ishikawy, który grzecznie wstał z krzesła, by się przywitać.

– Pan Ishikawa był w parku w dniu zniknięcia Rebeki i Justina – pospieszył z wyjaśnieniem Len. – Widział ich.

Frank przeniósł spojrzenie na świadka.

– To prawda? – zapytał.

– Tak, widziałem ich.

– Szukałem pana. Nie czyta pan gazet?

– Nie było go – usprawiedliwiał Len.

– Widział pan, jak z kimś rozmawiała? – dopytywał się Frank. Pan Ishikawa przytaknął: – Z mężczyzną.

– Czy może go pan opisać?

Len i Delilah wymienili znaczące spojrzenia. Len wziął głęboki oddech, a Delilah uśmiechnęła się szeroko na myśl, co będzie dalej.

– Właściwie znam go – powiedział pan Ishikawa.

Frank patrzył na niego z niedowierzaniem.

– Cóż, nie znam go osobiście, ale wiem, kim jest. Grał przez dwa sezony w drużynie drugoligowej i jeden pełny sezon w pierwszoligowej: Philadelphia Phillis. Nazywa się Doug Blake.

Krew odpłynęła z twarzy Franka i ciężko oparł się na biurku.

– Jest pan tego pewien? – spytał cicho.

– Absolutnie – potwierdził miłośnik baseballu.

– Skurczybyk – zaklął pod nosem.

– A nam mówił, że w ogóle tam nie był – wtrącił dumnie Len.

Frank wyprostował się i pokiwał głową.

– Dziękuję, że pan przyszedł, panie Ishikawa. Proszę zostawić nam swoje namiary.

Ten niepewnie popatrzył na Lena zdziwiony, że to wszystko, czego od niego oczekiwano. Len potwierdził, gdy tymczasem Frank był już w drodze do swojego pokoju, wydając rozkazy na prawo i lewo.

– Jones, połącz mnie z Pete’em Miliardem. Natychmiast. Wickes, wracasz do pracy. Ale tym razem nie nie spieprz. Chodź ze mną. Musimy wpaść do pana Douglasa Blake’a! – Przy wymawianiu tego nazwiska z jego głosu sęczył się jad.

– Tato! Tato! – usłyszał nagle głos Heather gdzieś z korytarza. Cameron, zakładając kurtkę, stanął w drzwiach i zobaczył córkę w towarzystwie dwójki nastolatków.

– Nie teraz, Heather. Muszę załatwić coś bardzo ważnego.

Heather cofnęła się zraniona brakiem jakiegokolwiek słowa powitania, ale Richie Talbot nie miał żadnych zahamowań i pospieszył z wyjaśnieniami:

– Na pewno się to panu spodoba.

Frank zmarszczył brwi, widząc kasetę wideo w rękach chłopca.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie.

Richie Talbot wymachiwał kasetą, jakby Frank miał zamiar mu ją zabrać.

– To specjalne wydanie.

– Nie mam czasu na zabawy, chłopcze – ostrzegł Frank.

– To pan Douglas Blake. Złapany na gorącym uczynku. Frank spojrział chciwie na plastikowe pudełko.

– Co masz na myśli?

– Macie tu magnetowid? – Richie uśmiechał się triumfująco. – Sądzę, że bardzo to pana zainteresuje.

Frank Cameron potarł brodę, spojrzął na stłoczonych w drzwiach Delilah i Lena i odezwał się:

– Myślę, że znajdziemy na to czas.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Maddy weszła do domu tylnym wejściem. Nie mogła dziś pracować. Siedziała od rana w pracowni, daremnie wpatrując się w szablony i próbując się skoncentrować. Wczoraj wieczorem położyli się o różnych porach, nie zamieniając ze sobą ani słowa. Dziś rano Dough wydawał się skruszony i przed wyjściem do szkoły prosiłby życzyła mu powodzenia. Starła się powiedzieć coś miłego, ale nie mogła zapomnieć wczorajszego uścisku i złości w jego oczach, gdy ją zaatakował.

– Pani Blake?

Maddy podskoczyła, słysząc za sobą głos. To był Terry Lewis. Bonnie poszła do sklepu po pieluchy i jedzenie dla dziecka. Po drodze miała sprawdzić pobliskie motele. Maddy popatrzyła zaniepokojona na Terry'ego. Ten człowiek był do niedawna w więzieniu. Mimo woli nie była spokojna, zostając z nim sam na sam.

– Słucham?

– Sean zasnął na kanapie – rzekł. – Sam nie mogę go podnieść. Czy mogłaby pani przenieść go do łóżeczka?

Maddy odetchnęła z ulgą, słysząc taką zwyczajną prośbę.

– Oczywiście, z przyjemnością.

Weszła do salonu. Za nią wolno posuwał się Terry. Sean spał twardo na kanapie z otwartą buźką, oddychając głośno. Długie rzęsy opadały na policzki. A miękkie loczki były wilgotne od potu. Nawet się nie poruszył, gdy go podniosła.

– Trochę odpocznię, skoro śpi – odezwał się Terry.

Maddy, głaszcząc dziecko po plecach, zaczęła wolno wchodzić po schodach.

– To dobry pomysł – powiedziała.

Zaniosła chłopca do pokoju gościnnego i położyła go w łóżeczku. W pomieszczeniu panował idealny porządek. Wszystkie rzeczy były już spakowane. Bonnie musiała to zrobić przed wyjściem. Sean ściągnął rąbek kołdry i dalej spał spokojnie.

Maddy zamknęła cicho drzwi i usłyszała, jak Terry woła ją niecierpliwym szeptem.

– Co się stało?

– Przyjechała policja. Ciekawe dlaczego? Maddy zeszła ze schodów z wściekłością na twarzy.

– Nie wiem – powiedziała, chociaż dręczył ją niepokój.

– Nie chcę już mieć więcej do czynienia z policją – denerwował się.

– Chodzi prawdopodobnie o ten wypadek – próbowała uspokoić siebie i jego.

– Lepiej pójde tam – wskazał na mały pokoik z telewizorem.

Maddy było zupełnie wszystko jedno, dokąd on sobie pójdzie. Całą uwagę skoncentrowała na pukaniu do drzwi i biało-czarnym samochodzie policyjnym przed domem. Uspokoiła się, na ile to było możliwe, i otworzyła. W drzwiach stał Cameron z detektywem w pogniecionym garniturze i jednym mundurowym.

– To znowu pan? – powitała go zimno.

– Tak, znowu – odparł, pakując się do środka.

– Chwileczkę, nie zaprosiłam pana – zaprotestowała.

– Gdzie jest pani mąż? – zapytał, jakby nie słysząc jej uwagi.

– Nie wiem. Może został w szkole. Myślę jednak – ciągnęła – że zadzwonię do mojego prawnika. Nie może nas pan tak nachodzić.

Brzmiało to groźnie, ale w sercu czuła wielki niepokój. Gdzie podziewał się Doug, zastanawiała się. Dlaczego nie wrócił po pracy do domu?

– Niech pani rzeczywiście zadzwoni do adwokata, bo będzie bardzo potrzebny – poradził jej z ponurą satysfakcją.

– Co to wszystko ma znaczyć? – domagała się wyjaśnień.

– Na początek chodzi o zabójstwo Rebeki Starnes. Mamy świadka, który twierdzi, że widział pani męża pogrążonego w rozmowie z dziewczyną, krótko przed jej śmiercią. Wie pani, wtedy gdy mówił, że tego dnia nie był nawet w pobliżu parku.

Serce Maddy waliło ze zdenerwowania. A może to był kolejny błąd?

– Cóż z tego? Może pana świadek się myli? Podobnie jak poprzedni...

Cameron popatrzył na nią przez zmrużone oczy.

– Proszę posłuchać, pani Blake. Jeszcze pani tego nie wie, ale niedługo się panie dowie. Uwierzyła pani we wszystkie jego kłamstwa o mojej córce. Nie winię pani za to. Ale niech się pani szykuje na rewelacje. To dopiero początek złych wieści.

Prawie nie mógł ukryć swej radości, co było przerażające. Detektyw przyglądał się badawczo mieszkaniu, jakby miał zamiar je wynająć. Ten w mundurze patrzył na nią z mieszaniną pogardy i litości.

Maddy zaczęła panikować.

– Mojego męża nie ma w domu – rzekła przez zaciśnięte zęby. – A teraz proszę już iść.

W tej chwili zadzwonił telefon.

– Może to pani mąż – sucho zasugerował Frank. Maddy podeszła do aparatu i podniosła słuchawkę.

– Słucham?

– Cześć, Maddy. Wracam do domu. Pomyślałem, że po drodze wezmę jakiś film z wypożyczalni. Chciałabyś coś konkretnego?

Maddy zadrżała, słysząc jego głos. Był taki ciepły i łagodny, gotowy do zgody.

– Cześć, Ruth – odezwała się. – Mam przyjechać po Amy?

– O co chodzi? – Doug był zaniepokojony. – Czy jest tam policja?

Skąd on może wiedzieć? Pytanie to przemknęło Maddy przez głowę. Czemu spodziewał się policji? Co się stało?

– Tak – odparła.

– Chryste!

– Gdzie jesteś?

Zapadło milczenie.

– Przyjadę natychmiast, tylko powiedz, gdzie jesteście – odezwała się znowu.

Myślał ciągle.

– Nie, Ruth, nalegam – ciągnęła tę udawaną rozmowę.

– Dobrze, w forcie. Przy strażnicy – odezwał się w końcu.

Fort Wynadot. Był to zabytek historyczny przyciągający latem wielu turystów. Znajdowały się tam obrazy wielu bitew między Indianami a kolonistami. Ale o tej porze roku ziało tam pustką.

– Dobrze, u świętej Anny. Za piętnaście minut?

Rozłączył się. A niech cię, pomyślała. Chcę dowiedzieć się kilku rzeczy, zanim policja cię zgarnie, a Charles Henson powie ci, co masz mówić. Odwiesiła słuchawkę i wróciła do przedpokoju.

– Muszę jechać odebrać córkę – oznajmiła.

– Kto tutaj pali? – zainteresował się nagle Frank.

– Mamy gości.

– Pete – Cameron nakazał ruchem głowy sprawdzenie pokoju.

Pete Miliard przeszedł przez przedpokój i otworzył drzwi do pokoju telewizyjnego. Na kanapie siedział zgarbiony Terry Lewis, nerwowo paląc papierosa bez filtra. Pete zmarszczył brwi, bo nie spodobał mu się ten mężczyzna o wyglądzie rzezimieszka.

– O co chodzi? – zapytał Terry odrobinę zdenerwowany i przez chwilę ich spojrzenia spotkały się.

Pete nie odpowiedział, tylko podejrzliwie przyjrzał się Terry'emu i wrócił do przedpokoju.

– To nie on – oświadczył.

– Muszę już iść. Córka na mnie czeka.

– Dobrze, niech pani idzie – zgodził się w końcu Frank, rozkładając ręce, jakby robił jej przejście. – Nie będziemy pani zatrzymywać.

Wkładając kurtkę, pomyślała, że pierwszą rzeczą, jaką musi zrobić, to rzeczywiście zadzwonić do Ruth Crandail i umówić się, że odbierze Amy trochę później. Nie mogła dopuścić do tego, żeby Ruth przyjechała i zastała tu policję.

Próbowała ułożyć jakiś plan. Za rogiem przy sklepie była budka telefoniczna. Tam mogła się zatrzymać po drodze do fortu. Zastanawiała się, czy Doug będzie na nią czekał, i co się stanie, jeśli policja odkryje jej kłamstwo. Chyba jej za to nie aresztują? Co właściwie wiedzieli? Jaka była prawda?

Frank przyglądał jej się podejrzliwie.

– Czy mogę skorzystać z telefonu? – zapytał, gdy sprawdzała, czy ma w torebce portfel i klucze.

– Bardzo proszę – powiedziała niepotrzebnie, bo on sam wybierał już numer.

Cały czas przyglądał się jej, gdy czekała na ich wyjście, bawiąc się kluczami.

– Żal mi pani – odezwał się, gdy skończył krótką rozmowę. – Dobrze pani radzę, niech się pani nim nie przejmuje. Zaoszczędzi pani sobie i dziecku przykrości ze strony tego prostaka.

Maddy zawołała do Terry'ego, że wychodzi po Amy i wróci niedługo. Miała nadzieję, że jej głos brzmiał naturalnie.

Nie czekając nawet na odpowiedź, wyszła na zewnątrz. W tym momencie przed dom, z rykiem syreny, zajeżdżał jeszcze jeden wóz policyjny.

Świetnie, pomyślała Maddy. Zaraz wszyscy sąsiedzi się dowiedzą. Zresztą i tak chyba już wiedzieli. Wsiadła do auta, powtarzając sobie w myślach plan. Najpierw budka telefoniczna. Numer telefonu do Ruth miała w notesie w torebce. Potem do fortu. Spojrzała na zegarek. Na pewno będzie tam za piętnaście minut. Będzie musiał jej wszystko powiedzieć. Zmusi go do tego.

Rozdział trzydziesty drugi

Fort Wynadot, a raczej jego pozostałości, usytuowany był na szczycie wzgórza w samym środku parku krajobrazowego, na obrzeżach Taylorsville. Z murów obronnych roztaczał się widok na rzekę Hudson. Były tam małe, stare, niesprawne już działa, na których dzieciaki uwielbiały siadać i bawić się w wojnę.

Latem dla turystów zainteresowanych historią organizowano wycieczki, podczas których studenci w strojach z epoki oprowadzali po całym terenie. Przy ładnej pogodzie okolice fortu były idealnym miejscem na pikniki. Dziś jednak, w ponure jesienne popołudnie, park był pusty. Maddy jechała wolno krętymi drogami przez las, aż przybyła na parking u stóp wzgórza, gdzie postawiła samochód obok auta męża. Wysiadła i rozejrzała się. Nigdzie nie było go widać. Mówił, że będzie przy forcie. Skoro jej nie wołał, zaczęła wolno wspinać się pod górę.

Gdy dotarła na miejsce, znowu się rozejrzała. Z tej wysokości rzeka wyglądała jak strumyczek wijący się błyszczącą nicią przez brązowo-szarą dolinę. Obeszła fort, zastanawiając się, gdzie on może być. Była coraz bardziej zła, że bawił się z nią w ciuciubabkę.

– Doug! – zawołała ostro.

Odpowiedział dopiero po trzecim razie. Zobaczyła go na jednym z rogów fortu, opartego o jedno z tych urządzeń, przez które można było obserwować okolicę za kilka centów.

– Zejdź tutaj – zażądała.

– Ty przyjdź do mnie. Stąd jest taki piękny widok. Schody są niedaleko ciebie.

– Nie jestem w nastroju, żeby podziwiać ładne widoki – odparła lodowato.

Spojrzał raz jeszcze na roztaczający się krajobraz i ze zrezygnowaną miną zniknął na chwilę z pola widzenia. Po minucie pojawił się w bramie fortu. Czekala na niego z założonymi rękami.

Podszedł i musnął ją w policzek na powitanie, po czym zaproponował, żeby usiedli na ławce.

Maddy nie zgodziła się.

– A więc to tak ma wyglądać? – westchnął. – Dobrze.

– Dobrze? Dobrze? – denerwowała się. – Musiałam oszukać szefa policji, żeby tu przyjechać.

– Czego chcieli?

– Porozmawiać z tobą.

– Naprawdę? O czym?

– Już ty dobrze wiesz o czym. Nie udawaj.

– Nie wiem, naprawdę.

– O Rebecce Starnes. Mają świadka, który widział, jak z nią rozmawiałeś na krótko przed śmiercią.

Doug prychnął. – Wtedy też tak mówili, pamiętasz? Lepiej zadzwonię do Hensona. To śmieszne.

– Jeśli to takie śmieszne, czemu się tu ukryłeś? – pytała Maddy.

– To ty udawałaś przez telefon, że jestem Ruth Crandall. Nie wiem, do czego zmierzasz. Nie zrozum mnie źle. To bardzo ładnie, że próbujesz mnie bronić, tak jak żona powinna.

Próbował poklepać ją po ramieniu, ale się odsunęła.

– Nie pochlebiaj sobie. Nie miałam zamiaru cię chronić. Jestem tutaj, bo nie chcę się dowiedzieć ostatnia, co się naprawdę wydarzyło.

– Jak to? Przecież wiesz, co się wydarzyło. Ten policjant chce się na mnie zemścić tylko dlatego, że jego córka kłamała.

– Czy ona na pewno kłamała, Doug?

Spojrzał na nią z wyrzutem.

– Zastanawiałem się, kiedy się ode mnie odwrócisz. Bóg mi świadkiem, nie jest łatwo z tobą żyć, święta Magdaleno.

Poczuła nagle, jak los jej małżeństwa zawisł na włosku. Chciała nawet odejść i nie ciągnąć tego dalej. Ich związek był zadziwiającym splotem wydarzeń. Była połączona z Dougiem tysiącem słów, wspomnień. Jeśli zaprzestałaby tego przesłuchania i dalej w niego wierzyła, może te więzy by przetrwały i nie pękły. Zdesperowany głos mówił jej, by broniła tego małżeństwa i nie zapalała ognia, w którym spłonęłoby jej dotychczasowe życie. Mieli dziecko, dom, własne życie. Jeśli przestałaby zadawać pytania, to może...

Nagle inne myśli wypełniły jej głowę. Jak długo mogła żyć w niewiedzy? Nie można było udawać, że się komuś wierzy. Ostatnio dostrzegła w nim pokłady zła, o których wcześniej nie wiedziała, i to ją przerażało. Miała pewne podejrzenia, a właściwie więcej niż tylko podejrzenia. Były to poważne wątpliwości. Jego sarkazm tylko pogarszał sprawę. Jeszcze bardziej chciała znać prawdę.

– Wiesz, co jest twoim problemem? – usłyszała. – Jesteś sfrustrowana, bo twój kochaś, ten ksiądz, wyjechał. Nie powinienem był się wtrącać. Powinienem pozwolić wam dalej romansować. Byłaś dużo miłsza, gdy był przy tobie.

Patrzyła na niego, zastanawiając się, jak to możliwe, że uważała go kiedyś za przystojnego. W nikłym świetle wyglądał nieciekawie.

– Obrażanie mnie nic ci nie pomoże – rzekła zimno. – Chcę znać prawdę.

Doug wpatrywał się w nią.

– Wcale mnie to nie dziwi. Od dawna już wiem, że mi nie wierzysz. Nie mogłaś się doczekać, kiedy mi to powiesz. No, śmiało!

Czy to prawda? – myślała. Czy on miał rację? Próbowała mu wierzyć, bo bardzo tego chciała. A jednak obraz męża w ramionach tej ponurej uczennicy wiele razy stawał jej przed

oczywiście. Miała do wyboru: albo mu wierzyć, albo przyznać, że ich związek się rozpada. Pokiwała głową.

– Mylisz się. Chciałam ci wierzyć bardziej, niż ci się wydaje.

– Chcieć i wierzyć to dwie różne rzeczy...

Stał z założonymi rękami, patrząc na drzewa na stoku wzgórza. Serce waliło jej po części ze strachu, po części ze złości. Wiedziała, że pewnych słów nie da się cofnąć i nigdy już nic nie będzie takie samo.

Myślała o Amy i zastanawiała się, co powinna zrobić dla ich córki. To w końcu był jej ojciec. Miała prawo być dumna z niego. Nie chciała myśleć, że to Maddy go odrzuciła... Te myśli nie miały sensu. W końcu to ona musiałaby z tym żyć.

– Wierzyłam ci, Doug, ale obawiam się, że to był błąd.

Spojrzał na nią odrobinę zaskoczony, że jego taktyka zawiodła. Nigdy nie była dla niego surowa. Uważał ją za łagodną i potulną. Nigdy nie ożeniłby się z nią, gdyby wiedział, że potrafi być twarda jak gład. Miał dosyć dominujących kobiet. Wystarczy, że matka taka była. Ze smutkiem stwierdził, że w ciągu tych razem spędzonych lat Maddy ujawniła wspólne wszystkim kobietom cechy. Z nimi zawsze było tak samo. Na początku były słodkie i za wszelką cenę starały się zadowolić mężczyznę. Z czasem robiły się chłodne i nieustępliwe. Nic nie cieszyło ich bardziej, niż wynudzanie kary.

Stojąc tak i patrząc na zbuntowaną żonę, Doug poczuł ogromną ulgę.

Nic go już nie obchodziło. To, czy mu wierzyła, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Co się dzieje, Doug? – zdenerwowała się.

– Czy wszyscy myślą tak jak ty? To znaczy, czy skoro własna żona tak myśli, cały świat uważa tak jak ona?

Maddy westchnęła i pokiwała głową.

– Nie wiem, o co ci teraz chodzi, Doug.

Bez odpowiedzi zaczął schodzić po zboczu.

– Poczekaj – zawołała za nim. – Nie możesz tak po prostu sobie odejść.

Pospieszyła za nim, potykając się po drodze. Gdy dotarła do samochodu, odwrócił się twarzą do niej.

– Wszyscy będą mówić to samo... – powiedział.

– Douglas Blake – usłyszeli.

Oboje odwrócili się jednocześnie. Był to Cameron z obstawą trzech policjantów.

Maddy i Doug spojrzeli na siebie.

– Nie sądziła chyba pani, że damy się nabrać na tę sprawę z dzieckiem – rzekł Cameron. – Nie żyję na tym świecie od dziś.

Rozdział trzydziesty trzeci

Maddy patrzyła z niedowierzaniem, jak szef policji ciągnął Douga za ramię w stronę samochodu policyjnego.

– I co ty zrobiłaś? Rzuciałaś za siebie okruchy? Dzięki. Aż zapłonęła, oburzona z powodu tego oskarżenia.

– Nie powiedziałam im nic. Doug...

– Próbowaliśmy nas przechytryć, stosując fortel z opiekunką do dziecka – wtrącił Frank. – Nie sądzi chyba pani, że jesteśmy tak głupi.

– Dobra robota, Maddy – nie dawał jej spokoju Doug.

Frank Cameron, ciągle trzymający Douga za ramię, zdenerwował się i potrząsnął nim ostro.

– Zamknij się, dupku – nakazał.

– Spokojnie, Frank – interweniował Pete, rozglądając się wokoło, czy nikt ich nie obserwował.

– Masz niezły tupet, oskarżając żonę. Chciała cię obronić, ty gnoju!

Pete dalej uspokajał szefa.

– Maddy, zadzwoń po Charlesa Hensona – nakazał jej mąż. – Powiedz mu, że gliny mnie napastują.

– Napastują! – Frank nie posiadał się z oburzenia.

Przyciągnął Douga tak, że nozdrza ich się stykały.

– O, świetnie – cieszył się aresztowany. – Zostaw mi granatowe ślady palców na ramionach.

To tylko udowodni moje racje.

Frank na te słowa ścisnął go jeszcze mocniej.

– Nie igraj ze mną, bo się doigrasz – ostrzegł go.

– Znamy tu brutalność policji. Mieszkańcy nie patrzą na to łaskawym okiem. I nie chcą być popychani przez policję...

– Frank, on ma rację – wtrącił się Pete. – Nie dajmy mu powodów do wywinięcia się z tego.

– Czy mój mąż nie ma prawa do obecności adwokata? – zapytała Maddy, z przyzwyczajenia stając w obronie męża.

– Ile ona o tobie wie, ta dobra żona zawsze gotowa cię ochraniać? – pytał Frank.

– Tu nie ma o czym wiedzieć. Twoja córka kłamie – rzucił Doug.

– A Karla Needham? Czy wie o Karli Needham? Czy wie, że próbowałaś pieprzyć dziś po południu kolejną uczennicę?

Doug zbladł.

– Kto to jest Karla Needham? – Maddy domagała się odpowiedzi. – Doug?

– Nikt, on wymyśla.

Szeroki uśmiech pojawił się na twarzy Camerona.

– Niestety! Nie wiedziałeś, że nie byliście sami?

– O czym on mówi, Doug? – Maddy była coraz bardziej zdenerwowana.

Doug tylko potrząsnął głową.

– Zadzwoń do Charlesa Hensona. On załatwi te szumowiny.

– Chce pani wiedzieć? – Frank zwrócił się do Maddy. – Z przyjemnością pani powiem.

Pete ujął Franka delikatnie za ramię.

– Daj spokój, Frank. Wiesz, że to nie jest zgodne z procedurą. Frank ze złością strzepnął rękę kolegi.

– To nie jest sprawa służbowa, tylko osobista. Maddy przestraszyła się jego wzroku pełnego bólu.

– Sprawiał, że moja córka została uznana za kłamcę i nie zrównoważoną psychicznie. Nie byłem może najlepszym ojcem, przyznaję, ale i tak mnie to boli. Cierpię razem z nią, ale w żaden sposób nie mogę jej pomóc. A pani, pani chciała mu wierzyć. Widziałem, jak próbowała pani nie wierzyć w ani jedno słowo Heather.

– Sędzia też jej nie uwierzył – przypomniała mu.

– To sęp, który poluje na swoje ofiary. Myślę, że polował też na Rebekę. Ona się jednak nie dała. To musiało go rozwścieczyć i dlatego ją zabił. Sądzę, że będziemy to mogli udowodnić.

Maddy zakryła uszy dłońmi.

– On ma jednak rację – odpowiedziała po chwili. – Pan go nęka. To tylko przypuszczenia...

– No cóż, Karla Needham to nie przypuszczenie.

– Kto to jest? – dopytywała się Maddy. Frank popatrzył na nią ze współczuciem.

– Karla Needham i Heather znają się od przedszkola. Ona i jej przyjaciel Richie Talbot uwierzyli Heather. Wiedzieli, że ona nie kłamie. Postanowili to udowodnić.

– Nie słuchaj go, Maddy – wtrącił Doug.

Ona wpatrywała się w policjanta w oczekiwaniu na dalsze rewelacje.

– Jak mogli to udowodnić? Przecież to słowa pańskiej córki przeciwko Dougowi.

– Już nie – Frank potrząsnął głową. – Teraz mamy taśmę wideo. Dziś po południu pani mąż rozglądał się za kimś nowym, kto pomógłby mu zapomnieć o problemach. No i pojawiła się Karla...

– Kłamiesz! – krzyknął Doug.

Frank odwrócił się do niego.

– Przynieśli nam tę taśmę. Richie jest naprawdę dobrym kamerzystą. Wyglądasz jak zawodowy gwiazdor filmowy, wsadzając jej łapy pod spódnicę i bluzkę.

Doug zmrużył oczy.

– Nie możesz użyć tego w sądzie. To była pułapka. Maddy, dzwoń do Charlesa i powiedz mu, że trzymają mnie bez legalnie zdobytych dowodów.

Maddy cofnęła się.

– Przyznajesz się – raczej stwierdziła, niż zapytała.

– Mogę jej użyć – Cameron wrócił do sprawy kasety. – Jest to dopuszczalne w sądzie, bo nie zrobiła tego policja.

– Kłamiesz – krzyczał Doug. – Nie macie prawa mnie aresztować.

– Nie jesteśmy tu z powodu taśmy. Widzisz, mamy świadka, który widział, jak rozmawiałeś z Rebeką krótko przed jej śmiercią. To wielbiciel baseballu. Pamiętał cię z czasów, gdy grałeś w pierwszej lidze.

Twarz Douga była teraz maską zupełnie pozbawioną wyrazu, co jeszcze bardziej rozzłościło Franka, tak że popchnął go z większą siłą.

– Gdzie jest dziecko, ty dupku? Co się stało z dzieckiem?

– Dziecko? To niemożliwe – protestowała Maddy.

Frank popchnął Douga tak mocno, że ten upadł na maskę samochodu.

– Co zrobiłeś z dzieckiem? Jego matka nie może już dłużej tego znieść – mówił przez zaciśnięte zęby.

Maddy wpatrywała się w męża.

– Nie stój tak – krzyczał na nią. – Dzwoń do Hensona.

– Doug, ty nie... nie – słowa nie mogły jej przejść przez gardło. – Czy wiesz, gdzie jest dziecko?

– Ty suko! Dzwoń do mojego adwokata!

Frank uniósł pięść, ale na szczęście Pete Miliard uniemożliwił szefowi pobicie aresztowanego.

– Nie rób tego – przekonywał. – Już i tak powiedziałeś za dużo. Nie dawaj mu więcej argumentów do ręki.

Maddy odwróciła się od nich i skuliła. Frank nakazał Pete'owi zapakować Douga do samochodu, a sam podszedł do niej. Stał chwilę, czekając, aż na niego spojrzy.

– Nie puszczę go, dopóki nie dowiem się, co stało się z Justinem Wallace'em.

– Ja go już nie chcę – powiedziała beznamiętnie.

– Nic chcę kłamać, mówiąc, że jest mi przykro.

– Tak – wymamrotała. – Rozumiem.

– Pani ma córkę, to może pani i mnie zrozumie.

– On nie skrzywdziłby dziecka – wyszeptowała.

– Nie zna go pani wcale. Nie wie pani, do czego byłby zdolny.

– O tej taśmie to prawda? – upewniła się.

– Może pani ją obejrzyć, jeśli tylko wyrazi pani taką chęć. Według psychologa Heather, faceci tacy jak pani mąż mają taką wewnętrzną potrzebę. Właściwie chcą być złapani. Podnieca ich niebezpieczeństwo. Zaczynać z Karłą w pierwszy dzień w szkole... to było głupie. To tak, jakby starałby się zostać przyłapanym. Może po to, by być ukaranym?

Maddy ledwie rozumiała, co do niej mówił.

– Cieszę się, że to ja będę go mógł ukarać. Czy chce pani, żeby ktoś odwiózł panią do domu? Wygląda pani na roztrzęsioną.

– Nie, dziękuję, poradzę sobie.

Maddy podeszła do samochodu i otworzyła drzwi.

– Byłoby lepiej, gdyby ktoś z nas jednak panią odwiózł – nalegał.

– Dam sobie radę sama – rzekła. – Teraz będę musiała.

Frank wzdrygnął się, zdając sobie sprawę ze znaczenia jej słów. Poszedł do wozu policyjnego, gdzie czekali na niego pozostali, wsiadł i za chwilę parking opustoszał.

Tymczasem Maddy upadła na kolana, nie czując nawet, jak żwir wbijał jej się w kolana. Nie była w stanie się poruszyć. Patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Mamusi! – Amy przybiegła prosto w ramiona Maddy. Miała na sobie kostium na Halloween, niebieską sukienkę założoną na swoje ubranie. Maddy podniosła ją i przytuliła się do miękkiej główki dziecka.

– Witaj, kochanie – starała się, by głos jej nie drżał. – Czas do domu. – Spojrzała na Ruth Crandall, nakrywającą stół do kolacji, i zwróciła się do niej: – Przepraszam, że tak późno. Czy była grzeczna?

– Jak aniołek – odpowiedziała Ruth. – Miałam dzisiaj trójkę. Sara Harrison też była. Świetnie się bawiły.

Maddy popatrzyła smutno na śliczną twarzyczkę swojego dziecka. Życie Amy takie, jakie znała, właśnie się skończyło. Przyszłość jej ojca była nieznana, ale Maddy wiedziała, że to koniec ich rodziny. Problemów ich małżeństwa nie można już było rozwiązać. Nigdy nie chciałam, żeby to cię spotkało, pomyślała. Chciałam, żebyś miała szczęśliwe życie i kochających rodziców. Czuję, jakbym zniszczyła ci życie.

– Co się stało, mamusi? – zapytała dziewczynka, nieomylnie odgadując samopoczucie matki. Dzieci miały niewiarygodny instynkt.

– Nic takiego. A teraz idź do pokoju Ginny, zdejmij jej kostium i odłóż go na swoje miejsce.

Amy posłusznie pobiegłaby wykonać polecenie mamy. Ruth przerwała na chwilę swoje zajęcie i zapytała:

– Czy coś się stało, Maddy? Wyglądasz okropnie.

Maddy potrząsnęła głową. Nie była w stanie udawać wesołości. Ruth nie była jej bliską przyjaciółką, ale to, że spędziły wiele godzin, opiekując się dziećmi, sprawiło, że ufały sobie. Maddy wstydziła się tego, co się wydarzyło. Mimo że Ruth nie wyglądała na taką osobę, bała się trochę, że zabroni córce bawić się z Amy. Poza tym i tak wkrótce się dowie. Całe miasto będzie wiedzieć.

– Obawiam się, że tak – zaczęła. – Doug...

– Co znowu zrobił?

Maddy była zaskoczona naganą w głosie koleżanki.

– Ma nowe kłopoty?

– Poważne kłopoty – odparła.

Obie popatrzyły na siebie. Ruth westchnęła i zabrała się ponownie do nakrywania stołu.

– Przykro mi, Maddy.

– Nie wyglądasz na zdziwioną – zauważyła Maddy.

– Nie wiem, w co się wpakował, ale ta sprawa z córką szefa policji...

– Został uwolniony z zarzutów – zaprotestowała. Ruth popatrzyła na nią ze współczuciem.

– Cóż, oficjalnie tak.

– Co masz na myśli? Czy ja tu czegoś nie rozumiem?

– Mam w domu nastolatki, a one mówią.

– Czy to znaczy, że rozmawiały o Dougu? Ruth była w niezręcznej sytuacji.

– Żona zawsze dowiaduje się ostatnia.

– Nie – Maddy kiwała z niedowierzaniem głową. Nagle spojrzała na koleżankę. – Przecież nigdy nic mi nie mówiłaś. Nie miałaś nic przeciwko temu, żeby Amy bawiła się z Ginny. Przyjechałaś nawet wtedy do szpitala...

– Uwielbiam Amy. To nie jej wina. Twoja także nie. Maddy usiadła zdumiona tą rozmową.

– Jak mogłam być taka ślepa?

– Zawsze mamy nadzieję, że wszystko będzie dobrze – pocieszyła ją koleżanka.

– Nic już nie będzie dobrze.

Ruth podeszła bliżej i położyła jej rękę na ramieniu.

– Uspokój się. Będzie dobrze. Masz śliczną córkę, jesteś bardzo utalentowana i dasz sobie radę. Na pewno.

– Tak mi wstyd – otworzyła się Maddy. – Czuję, że wszyscy oprócz mnie wiedzieli, co się dzieje.

– Spokojnie! Przecież sąd go uniewinnił. Wierzyłaś w niego. Nie ma się czego wstydzić. Postąpiłaś słusznie.

– A tymczasem dzieciaki w szkole wiedziały lepiej ode mnie.

– Nie myśl o tym. Zabierz Amy do domu i spróbuj odpocząć. Wyłącz telefon i nikogo nie wpuszczaj. Rano zobaczysz wszystko w innym świetle.

Maddy starała się połączyć tę radę z faktem, że Bonnie i Terry są jeszcze w domu. A może już sobie pojechali? O Boże, mam nadzieję, że ich nie ma. Chcę być sama.

Amy wróciła do kuchni razem z Donnym, najstarszym synem Ruth. Maddy nie mogła mu spojrzeć w oczy. Chodził do szkoły i na pewno doskonale orientował się w całej sprawie. Czy patrzył na nią z politowaniem, myśląc o tym, jak jej mąż próbował uwodzić koleżanki ze szkoły?

– Chodź, Amy, idziemy. – Podniosła dziewczynkę i szybko podeszła do drzwi.

Ruth otworzyła je.

– Pamiętaj – powiedziała na pożegnanie. – Amy jest zawsze mile tu widziana. Zawsze. Tak samo i ty.

Maddy nie mogła odpowiedzieć, bo bała się, że wybuchnie płaczem. Trzymała małą mocno, idąc do samochodu.

Zajeżdżając przed dom, zauważyła z pewną ulgą, że nie ma samochodu Lewisów. Na pewno

odjechali. Niemożliwe, żeby Bonnie robiła przez cały czas zakupy. Pewnie się spakowali i wyjechali. Jakby chciała, żeby to była prawda. Nie zniosłaby długich podziękowań i pożegnań. Chciała mieć dom tylko dla siebie, by mogła rozpaczać nad swoim położeniem. Otworzyła drzwi auta i wypuściła córkę.

– Czy tatuś jest w domu?

Na to pytanie serce Maddy zadrżało. Co miała odpowiedzieć – że policja podejrzewa jej tatusia o morderstwo? Maddy nie mogła w to uwierzyć, mimo że, jak się okazało, tak mało go знаła. Może miał rację, że to zemsta Camerona. Może ta taśma z nim i Karłą nie jest wystarczającym dowodem. A może ten świadek był w błędzie? Może, może, może. Musiała poczekać na odpowiedzi. Już dosyć tej lojalności. Nie miała już powodu, by być lojalną. Człowiek, którego poślubiła, nie istniał. Niezależnie czy zabił Rebekeę, czy nie, to małżeństwo było już martwe.

Nie chodziło tylko o kłamstwa i zdradę – raczej o dziewczyny. To, co zrobił, to więcej niż niewierność, to nikczemność. Przecież to były uczennice. Pewnego dnia Amy miała być nią – podatną na zaloty mężczyzn. Dziewczyny w tym wieku miały prawo ufać swym nauczycielom. Zamiast być wzorem, jej mąż okazał się okrutnikiem.

Maddy znowu pomyślała o swoim ojcu. Pamiętała reakcję ludzi, gdy dowiadywali się, że jest jego córką. Byli uczniowie, zarówno kobiety, jak mężczyźni, opowiadali o pozytywnym wpływie jej ojca na ich życie. Mówili, jakie to szczęście być jego córką. Maddy spojrzała na Amy i zrobiło jej się smutno. Jej tego nikt nie powie. Być córką Douglasa Blake'a będzie raczej źródłem hańby. Maddy poczuła, jak wzrasta w niej nienawiść. Nie chciała jednak, by Amy to dostrzegła. Przed nią musiała udawać, że wszystko jest w porządku.

– Taty nie ma – odpowiedziała córce. – Chodźmy do środka.

Dziecko zadowolilo się mglistą odpowiedzią i ruszyło w stronę domu.

Maddy westchnęła, zamykając za sobą drzwi. Cieszyła się, że ma gdzie się zamknąć przed światem. Od razu podeszła do telefonu i odłączyła go zgodnie z radą Ruth. Zadzwoiła do Charlesa Hensona po drodze do Ruth i to było wszystko, co zamierzała w tej sprawie zrobić. Przez telefon Charles wydawał się trochę nerwowy, ale obiecał stawić się na komisariacie.

Maddy zastanawiała się, czy Charles Henson wiedział o tym, że Doug był winny, gdy tak zrećcznie bronił go przed sądem. Wydawał się na to zbyt honorowy, ale powszechnie uważano adwokatów za rekiny i może oprócz patrycjuszowskiego wyglądu nic go nie różniło od innych. Maddy oddaliła tę myśl. Nie było już istotne, kto wierzył jej mężowi, a kto nie. Ona straciła zaufanie i tylko to się liczyło.

Zdjęła buty i usiadłaby przejrzeć pocztę. Amy dołączyła do niej i natychmiast zaczęła bawić się zabawkami, jakie znalazła w salonie. W domu było cicho. Dzięki Bogu, że sobie pojechali, pomyślała znowu.

– Chcę mojego misia – zażyczyła sobie dziewczynka. Maddy westchnęła i rozejrzała się po pokoju. Tu go nie było.

– Sean zostawił go pewnie na górze. Zobaczymy później.

Miała nadzieję, że Bonnie nie pozwoliła wziąć dziecku zabawki Amy. Dziewczynka byłaby niepokieszona. Bonnie była zbyt dokładna. Na pewno zostawiła wszystko tak, jak zastała.

– Idę sprawdzić – zdecydowała Amy.

– Dobrze – Maddy powiedziała bezwiednie. – Sprawdź.

Amy podreptała do schodów, podczas gdy Maddy zdenerwowana patrzyła na charakterystyczne koperty zawierające rachunki. Nie spłacili jeszcze długów zaciągniętych w czasie, gdy Doug był zawieszony. Teraz to było prawie niemożliwe. Po raz pierwszy poczuła strach. Nie pozwól sobie o tym myśleć, nakazała sobie. Jak będziesz o tym myśleć, to oszalejesz. Musisz rozwiązywać problemy po kolei, tak jak będą się pojawiać. Nic innego nie pozostaje. Odłożyła rachunki i zabrała się za katalog z ubraniami dziecięcymi, lecz i to szybko odłożyła. Nie będzie jej stać na nowe ubrania. Patrzenie na pięknie ubrane dzieci sprawiło, że znów rozczuliła się nad swoją córką i nad sobą.

– Mamo, chodź – usłyszała przeraźliwy krzyk dziewczynki z piętra domu.

Zeskoczyła z kanapy i pobiegła na górę.

– Mamo, szybko – krzychało dziecko.

Maddy nie traciła czasu na pytania. Z głosu dziecka wywnioskowała, że sprawa jest poważna. Wbiegła po schodach i z nieprawdopodobną siłą pochwyciła w ramiona dziewczynkę.

– Co się stało, kochanie? Nic ci nie jest?

– Tata Seana – wołała dziewczynka.

Tata Seana? Co to mogło znaczyć? Czyżby jeszcze tu byli? Nie było przecież samochodu. Pobiegła do pokoju gościnnego i stanęła w drzwiach. Sean siedział na podłodze w samej koszulce, bawiąc się grzechotką. Obok niego wyciągnięty na podłodze leżał Terry Lewis trzymając się za brzuch. Twarz miał szarą, oczy na wpół przymknięte, wywrócone do góry. Obok niego na podłodze leżała mokra pielucha.

Maddy postawiła Amy na podłogę i uklękła przy mężczyźnie. Podniosła mu głowę i rękę.

– Co się stało? Gdzie Bonnie? Co pan tu robi?

Rozglądała się gorączkowo, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Nie było widać krwi, ale wyglądał na śmiertelnie chorego.

– Jeszcze nie wróciła – z trudnością powiedział. – Sean płakał... – Jego głos przechodził w szept.

– O Boże – Maddy zdała sobie sprawę z tego, co się stało. – Więc przyszedł pan na górę. Czy podnosił go pan? Z łóżeczka?

Terry lekko pokiwał głową.

– Tak mi przykro. Jak wychodziłam, zupełnie zapomniałam... Przecież w takim pośpiechu opuszczała dom, próbując uciec przed policją, by jako pierwsza dopaść Douga.

– Tak mi przykro.

Położyła mu pod głowę poduszkę i oznajmiła:

– Idę zadzwonić po pogotowie. Jest pan w ciężkim stanie.

Mężczyzna na podłodze nie zaprotestował. Wstając, Maddy usłyszała za sobą krzyk. Odwróciła się i zobaczyła Bonnie stojącą w drzwiach. Z przerażeniem patrzyła na leżącego męża.

– Och! Terry, co się stało?

– To moja wina – odezwała się Maddy. – Myślałam, że niedługo wrócisz.

Bonnie nie usłyszała ani słowa.

– Och, kochanie! – Upadła na kolana i przeczłogała się do męża. Uniosła jego głowę i przytuliła do piersi. – Co się stało, moje kochanie?

Maddy pochyliła się i położyła uspokajającą dłoń na ramieniu Seana.

– Najwyraźniej Terry usłyszał, jak Sean płacze, przyszedł na górę i wyjął go z łóżeczka. Dzwonię po karetkę. To nie wygląda dobrze.

Terry popatrzył w cierpiące oczy żony.

– Ciągle wołał tata – wyszeptał, a na jego szarej twarzy malował się uśmiech.

– Ach, ty głupcze. Zrobiłeś to dla tego bachora? On nawet nie jest nasz. I zobacz, co się stało...

Maddy wpatrywała się w pochyloną nad mężem kobietę. Spojrzała na Seana siedzącego przy nogach łóżeczka. Nie wierzyła własnym uszom. Ale głos wewnętrzny mówił jej, że to prawda.

W tym momencie Bonnie wyprostowała się i zamarła. Terry patrzył na nią nieprzytomnie. Gdy Bonnie odwróciła się, na jej twarzy malował się nieludzki chłód.

Maddy próbowała udawać, że nic nie słyszała, ale Bonnie nie dała się oszukać. Natychmiast zrozumiała swój błąd i obydwie kobiety doskonale wiedziały, co to znaczy.

– Mój syn – żałośnie wyszeptał Terry.

Maddy i Bonnie nieporuszone patrzyły sobie prosto w oczy.

Rozdział trzydziesty piąty

Nick, jadąc, słuchał radia. Właśnie zapowiedzieli duet z drugiego aktu „Manon”. Ten fragment był jego ulubionym, a zapowiedzianą wersję w wykonaniu Plácido Domingo i Montserrat Caballe uważał za najbardziej zdumiewające wykonanie. Nadzwyczaj poruszały go oskarżenia rozgniewanego Des Grieux kierowane do próżnej i pustej Manon, która ponad jego miłość wolała bogactwo. Z jej strony natomiast płynęły rozpaczliwe błagania o jeszcze jedną szansę. Te ekscytujące i pełne pasji wyznania wywierały na nim ogromne wrażenie. Teraz nawet chciał wyłączyć radio, by uniknąć wzruszeń. Ale to była tylko fantazja, pomyślał gorzko. W rzeczywistości ludzie nie porzucali dobrobytu dla miłości. Ludzie uczyli się żyć zgodnie ze swoimi wyborami, rzadko przyznając się do błędów. Jego ręka zawisła nad wyłącznikiem radia, ale po chwili wahania położył ją z powrotem na kierownicę, nie mogąc oprzeć się urokowi tej muzyki. Był skłonny nawet odczuwać ból.

Niezwykłe głosy wypełniły wspaniałym brzmieniem wnętrze auta, przepływając przez Nicka i zabierając ze sobą chwilowy cynizm. Od kiedy stał się taki gorzki? – pomyślał, gdy ostatnie słowa kochanków zawisły w powietrzu. Widział wiele par dotkniętych przez brak wierności i zdradę, które przychodziły do niego, skarżąc się na swoje puste życie. Choć był też niejednokrotnie świadkiem wielkiego oddania. Widział pary, które trwały przy sobie w chorobie, nieszczęściu i rozpacz. Doskonale wiedział, że istniała prawdziwa, wieczna miłość – wieczny płomień niezniszczalny przez smutki życia. To tylko moja miłość pozostała nieodwzajemniona, pomyślał. Według niej nie należy osądzać całego świata. Był jednak zadowolony, że wysłuchał duetu. To, że jego miłość nie miała być nigdy spełniona, nie oznaczało, że ma się pozbyć uczuć.

Jechał dalej w zapadającym zmierzchu, a czując znużenie, rozglądał się za miejscem na postój. Dni o tej porze roku były krótkie, a on nie był przyzwyczajony do tak długiej jazdy. Gdy pomyślał o odpoczynku, przy drodze zauważył drogowszkaz informujący, że tylko dziesięć mil dzieliło go od Gravesport. Nazwa miejscowości wydała mu się znajoma, ale potrzebował trochę czasu, zanim przypomniał sobie, że tu właśnie Bonnie Lewis pracowała jako bibliotekarka. Pomyślał o Bonnie i Terry. Historia ich miłości była niezwykła, ale mieli przed sobą przyszłość. Nie było bardziej oddanej osoby niż Bonnie. Jeździła do niego, wytrwale stojąc u jego boku, mimo że jej wybór zapewne spotkał się z powszechną krytyką. Trzeba przyznać, że był to dość dziwny sposób zawarcia znajomości, ale poznali się, odnaleźli i teraz stanowili rodzinę.

Wypadek w dniu uwolnienia Terry’ego z więzienia był naprawdę nieszczęśliwym przypadkiem. Jedynym pocieszeniem było to, że trafili na Maddy. Mimo to byli chyba bardzo samotni. Bonnie była zbyt dumna, by przyznać, że potrzebują pomocy. Zastanawiał się, czy

gdyby ktoś wiedział o ich kłopotach, to zechciałby im pomóc. Zatrzymam się tam, postanowił. Zorientuję się, czy jest ktoś, kto zna Bonnie i zechciałby podać im pomocną dłoń.

Po kilku minutach skręcił na drogę do Gravensport, zadowolony, że zjechał już z autostrady. Dotarł do centrum i krążył po ulicach. W końcu trafił na znak z napisem „HOTEL” zawieszony na starym budynku na końcu ulicy. Zaparkował przed wejściem i wszedł do środka.

Korytarz był słabo oświetlony i pozbawiony jakichkolwiek dekoracji, nie licząc tapet w śmiały wzór wozów strażackich i starych samochodów na ziemisto-żółtym tle. Przy oknie dwa krzesła, stojące przy okrągłym niskim stoliku z czasopismami, uzupełniały wystrój. Nick podszedł do recepcji i rozejrzał się. W hotelu nie było nikogo. Jedynym potwierdzeniem, że to rzeczywiście jest hotel, była szafka z kluczami do pokoi gościnnych.

– Halo! – zawołał Nick. – Jest tu ktoś?

Na spotkanie wyszła mu starsza kobieta z nieuczesaną strzechą siwych włosów, patrząca podejrzliwie na potencjalnego klienta.

– Czy mógłbym dostać pokój?

Kobieta kiwnięciem głowy przytaknęła i podała mu książkę gości i długopis. Nick podpisał się w pierwszej wolnej linii, gdy w tym czasie kobieta wyjęła klucz i podała mu. Nick słyszał, że mieszkańcy stanu Maine byli dość oszczędni w słowach, ale nie sądził, że aż tak.

Odwróciła książkę, dokładnie przeczytała jego dane i w końcu odezwała się:

– Na jak długo chce się pan zatrzymać?

– Tylko na jedną noc.

– Dwadzieścia pięć dolarów, płatne z góry.

Nick przeliczył pieniądze i podał jej.

– Czy mogłaby pani polecić mi jakąś dobrą restaurację?

– Na rogu ulicy można dobrze zjeść.

– Dziękuję.

– Pokój numer jeden.

Ciekaw jestem, czy są jeszcze jacyś goście oprócz mnie, zastanawiał się wchodząc po schodach. Czy pokój numer dwa był kiedykolwiek zajęty? Otworzył drzwi przygotowany na najgorsze. Pokój był jednak czysty i wygodny, mimo że lobby było tak zaniedbane. Stało tu podwójne, zapadające się łóżko nakryte zieloną kapą. Nad nim wisiał widoczek przedstawiający morze, drugi, podobny znajdował się na ścianie naprzeciw. Mała łazienka wyposażona była w stare, nietypowe baterie. Ten pokój naprawdę go zadowolił. Włączył lampkę nocną i postanowił pójść coś zjeść.

Gdy wychodził, właścicielki znów nie było. Wyszedł na cichą ulicę i rozejrzał się dookoła. Ujrzał restauracyjkę na rogu, więc poszedł w tym kierunku. Naprzeciwko była biblioteka i jak głosiła tabliczka, o tej porze otwarta. Zawahał się, ale ostatecznie przeszedł przez ulicę i wszedł

do środka.

Jak na takie miasto biblioteka była dość spora i Nick próbował wyobrazić sobie pracującą tutaj Bonnie. Przejrzał kilka regałów bardziej zainteresowany samym miejscem niż książkami. Kilka nastolatek siedziało przy stole, chichocząc co chwila. Oprócz nich nie było nikogo więcej. Za biurkiem siedziała żylasta, starsza kobieta, która wyglądała, jakby się miała zaraz rozsypać. Od czasu do czasu patrzyła karcąco na roześmiane dziewczyny, które na chwilę się uspokajałyby powrócić do chichotów.

Nick podszedł do biurka i uśmiechnął się. Ze strony bibliotekarki usłyszał tylko oschłe: – Słucham?

– Dobry wieczór – zaczął. – Jestem w mieście tylko przejazdem. Mam znajomą, która pracowała tu do niedawna, Bonnie Lewis. Jej panięńskie nazwisko brzmiało...

– Nolan – odpowiedziała.

Nie wyglądała ani na zaskoczoną, ani na zainteresowaną. Nie zapytała nawet o Bonnie. Nie była to najwyraźniej osoba, która chciałaby pomóc.

– Tak, Nolan. Zastanawiałem się, czy może mieszka tu ktoś z jej rodziny.

Kobieta rozważała to pytanie.

– Od Bonnie? Nie, teraz już nikt. Do śmierci matki mieszkali razem, ale to było kilka lat temu.

– Och – zmartwił się. – A może jest ktoś jeszcze?

Kobieta spojrzała na rozbrykane dziewczyny.

– Dziewczęta, jesteście w bibliotece – upomniała je.

– Przepraszamy, panno Carr – odezwała się jedna i wsadziła nos w książkę.

Kobieta pokręciła głową i odwróciła się do Nicka.

– Wynajmowała pokój na Mapie Street. Czy mam sprawdzić adres?

– Jeśli byłaby pani tak uprzejma.

– Oczywiście – odparła takim tonem, jakby mówiła, że sprawdzanie adresów to jej zawód. Dokładnie przejrzała skoroszyt na biurku. Nic dziwnego, że Bonnie stąd odeszła. Ani jednego pytania o nią czy o dziecko. To musiał być wielki skandal, kiedy dziewczyna wyszła za skazańca i urodziła jego dziecko. W takim miejscu jak to nie było tolerancji typowej dla wielkich miast.

Panna Carr podała mu kartkę z wypisanym nienagannym pismem adresem.

– Proszę – rzekła sucho i patrząc na zegarek, oznajmiła dziewczętom: – Jeszcze piętnaście minut.

– Dziękuję pani – rzucił Nick, trzymając w górze kartkę.

– Nie ma za co.

Panna Carr wróciła do swej pracy. Nick czekał jeszcze chwilę, sądząc, że może coś doda, ale nic takiego się nie stało. Najwyraźniej załatwiła sprawę i nie mogło być mowy o jakiegokolwiek

rozmowie.

Odetchnął zadowolony, gdy wyszedł na ulicę. W świetle latarni oświetlających wejście do biblioteki odczytał adres: *Bonnie Nolan*, (*Nolan* zostało skreślone i nad tym napisano *Lewis*) *Mapie Street 12*.

Nick westchnął. Wątpił, czy po tym, co zastał w bibliotece, w domu będzie miał więcej szczęścia. To nie była rodzina, tylko właściciele domu, w którym wynajmowała pokój. Jeśli sądzić po pannie Carr, nikt za Bonnie nie tęsknił. Postanowił najpierw zjeść, nim pójdzie odszukać dom. Schował kartę do kieszeni i przeszedł na drugą stronę ulicy do restauracji.

Rozdział trzydziesty szósty

Doug przyglądał włosy i postępując za Charlesem Hensonem, wyszedł z windy i przeszedł szybko przez korytarz sądu w Taylorsville. Zrównał się ze swoim adwokatem dopiero na chodniku. Na drodze do sądu znajdowały się lampy rzucające blade światło w ten jesienny wieczór.

– Charles – odezwał się, wyciągając rękę. – Wiele dla mnie zrobiłeś...

Wracali właśnie ze spotkania z prokuratorem okręgowym, który namawiał ich do przyznania się do mniejszego przestępstwa niż morderstwo Rebeki Starnes, ale Charles odrzucił tę propozycję twierdząc, iż nie mieli wystarczających dowodów, by postawić Douga w stan oskarżenia, nie mówiąc już o tym, by wygrać sprawę.

– Może pójdziemy gdzieś na drinka? – zaproponował Doug.

Charles Henson odwrócił się, zaciskając obie dłonie na rączce teczki.

– Wracam do domu, do żony – odmówił. – To dla nas bardzo ważny wieczór. Właściwie to nie miałem zamiaru nigdzie wychodzić, ale biorąc pod uwagę sytuację...

Doug nie dopytywał się, co to za okazja. Był zbyt pochłonięty swoimi problemami.

– Cóż, może kiedy indziej.

Charles spojrzał na niego chłodno.

– To dopiero początek walki. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę, Doug? Wygrałeś tę rundę, ale do końca jeszcze daleko.

– Nie szkodzi, wierzę w ciebie.

– Doug, masz prawo do najlepszego obrońcy, ale na mnie już nie licz.

– Chwileczkę – nie dowierzał własnym uszom. – Czy to znaczy, że porzucasz moją sprawę? Boisz się, że ci nie zapłacę? Jeśli o to chodzi...

Charles pokręcił głową. – Mogę polecić ci wielu prawników...

– Nie chcę innych – zdenerwował się Doug. – Chcę ciebie.

– To niemożliwe. Już podjąłem decyzję. Ta sprawa będzie wymagała wiele czasu i poświęcenia. Oni nie dadzą za wygraną. Cameron nie spocznie, dopóki ty nie będziesz siedział za kratkami. Potrzeba nie tylko całego czasu dobrego adwokata, ale i niezwyklej przebiegłości, a w tej chwili mam bardzo absorbujące sprawy osobiste. Nie mogę się w to zaangażować. Mam zamiar wycofać się powoli z prowadzenia praktyki, tak wymagająca sprawa nie wchodzi więc w grę.

– Ale przecież jestem niewinny – upierał się Doug. – Nie zabiłem tej Starnes. A już na pewno nie wiem nic o tym zaginionym dziecku. To absurd. Nie mogą mi udowodnić morderstwa, bo go nie popełniłem. Musisz mnie bronić. Potrzebuję cię.

Charles przyjrzał mu się z nieukrywaną pogardą.

– Naprawdę jesteś niewinny, Doug?

– Oczywiście, że tak. Co masz na myśli?

– Po obejrzeniu tej taśmy na wideo myślę, że to niedorzeczne utrzymywać, że jesteś niewinny.

– Miałeś się skoncentrować tylko na morderstwie...

Charles spojrzął na zegar na kopule sądu i rzekł:

– Niby jak, skoro są w twoim życiu rzeczy, które nie mają wiele wspólnego z prawem? Ja wolę zostać po tej stronie barykady.

– Jak śmiesz być taki święty? Jesteś wynajęty do obrony, a nie do sądenia! – krzyczał Doug.

– Masz rację. Nie mam zamiaru cię sądzić. Możesz to traktować jako odmowę dalszej współpracy. Bez powodu, niepodlegającą dyskusji. Dobranoc.

Nie czekając na odpowiedź, Charles odwrócił się i ruszył w stronę parkingu. Doug obserwował go, niezdolny się poruszyć. Ze wszystkich sił starał przekonać adwokata, by z nim został, i nie udało się.

Gdy odzyskał władzę w nogach, poszedł do swojego samochodu, wsiadł i włączył silnik. Wcisnął bieg i wyjechał z parkingu. Zawahał się na moment, bo nie wiedział, dokąd ma pojechać.

Próbował wyobrazić sobie powrót do domu, do Maddy, ale na wspomnienie jej twarzy z tego popołudnia aż się skulił. Już na pewno zmieniła zamki w drzwiach. Amy byłaby zadowolona z jego powrotu, ale nie zniósłby próśb o poświęcenie jej całej uwagi. Dzieciaki potrafiły człowieka wykończyć. Wiedział, że Maddy chciała mieć więcej dzieci. Nie mógł tego zrozumieć. O nie, pomyślał, nie zniósłby teraz tego.

Pojechał więc w przeciwnym kierunku. Zastanawiał się, czy ma jakichś znajomych, do których mógłby pójść, ale nikt nie przychodził mu do głowy. Nie wiedział nawet, kiedy zrobił się taki samotny. Pomyślał o barze, bo miał ochotę na kilka drinków, ale nie chciał wplątać się w bezmyślną rozmowę z kimś obcym.

Gdyby miał pewność, że nie spotka znajomego i rozmowa dotyczyłaby wyłącznie futbolu lub hokeja, pewnie by się zdecydował. A jeśli jakaś kobieta przysiadzie się do niego? Kobiety zawsze chciały rozmawiać o sprawach osobistych. Co by jej powiedział, gdyby chciała coś wiedzieć o jego życiu? Czy miał powiedzieć, że był człowiekiem, który niegdyś zaznał sławy i bogactwa, a teraz był zadłużony po uszy, bo wydał wszystkie pieniądze na adwokata? A może to, że miał właśnie stracić pracę przez jakieś głupie zasady dotyczące nauczycieli i uczniów oraz że był posądzony o morderstwo? Taak, bar nie był dobrym pomysłem. Ale napić się chciał. Podjechał zatem do sklepu monopolowego.

W jasno oświetlonym pomieszczeniu nie było tłoku. Doug zastanawiał się przez chwilę,

zanim wybrał butelkę wódki. Sprzedawca zapakował ją w papierową torebkę i Doug zaniósł ją do samochodu, nie wiedząc co robić dalej. Ogarnęła go rozpacz, gdy tak patrzył na torebkę położoną na siedzeniu. To była jego jedyna towarzyszką. Gdzie można było się napić w spokoju, zastanawiał się. Pomyślał o Binney Park, ale nie chciałby to miejsce przypominało mu o jego położeniu. To, że siedzieli na ławce i spędzili ze sobą trochę czasu, nie było przecież zbrodnią. Porozmawiali, zjedli paczkę krakersów, a potem ona wstała, zabrała dziecko i odeszła. To prawda, że położył rękę na oparciu ławki i dotknął jej ramienia. Ale to było wszystko, tylko ją dotknął. Czy to jego wina, że ktoś ją zamordował? Gdyby się tak nie denerwowała, kiedy ją dotknął, to może jeszcze by żyła. Ale ona podskoczyła na ławce, jakby się paliło, i zostawiła go zażenowanego. A on potrzebował tylko rozmowy i odrobiny ludzkiego ciepła...

Doug włączył silnik. Binney Park nie wchodził w rachubę. Może fort? Mógł tam pojechać. Nocą miałyby to miejsce tylko dla siebie. Czasami dzieciaki jechały tam pobaraszkować, ale nie przeszkadzałyby mu. Nie był to zbyt dobry pomysł, ale tylko tyle udało mu się wymyślić.

Włączył radio i ruszył w drogę. Postanowił nie pić, dopóki nie dojedzie na miejsce, ale nie mógł wytrzymać. Zazwyczaj nie pił dużo, ale dziś był jak w transie. Zawahał się, myśląc znowu o powrocie do domu i do Maddy. Chciał ją przeciągnąć na swoją stronę, pogodzić się. Ale na samą myśl aż się zaśmiał. Nawet jeśli przebaczyłaby mu jedną rzecz, za nią były następne. Do diabła, nie miał zamiaru przed nią klękać.

W pewien sposób to była też jej wina. Nie chodzi o ubezpieczenie. Tutaj to on zawinił. Starał się trochę przeczekać, zaoszczędzić małą sumę. To mogło się zdarzyć każdemu. Ale to, że wierzyła, że jest mordercą, gorzej świadczyło o niej niż o nim. Kobieta powinna wierzyć mężowi. Zainteresował się dziewczynami tylko dlatego, że ona przestała go pociągać. To następowało stopniowo, od momentu, gdy urodziła dziecko. Zrobiła się taka... matka. Była taka stara, poważna i pełna pytań o przyszłość. On potrzebował kobiety, która pomogłaby mu o tym zapomnieć, a nie kogoś, kto chciałby go zamknąć w klatce i tam trzymać. Myślała tylko o domu i o dzieciach. Jeśli seks nie miał przynosić zapomnienia, to po co w ogóle był?

Nigdy go nie rozumiała. Nigdy. Nie potrafił sobie przypomnieć, dlaczego kiedyś małżeństwo wydawało mu się takim świetnym pomysłem. Może czuł presję społeczną. Presja, presja, presja. Miał już tego serdecznie dosyć. Sięgnął po butelkę w papierowej torebce, odkręcił i pociągnął łyk, rozglądając się wokoło, czy nikt go nie widzi.

Alkohol podziałał na niego jak środek uspokajający i natychmiast poczuł, jak ciężar spada mu z serca. Nigdy nie smakował mu alkohol, ale nie mógł zaprzeczyć, że przynosi ulgę.

– Teraz lepiej – westchnął. – Dużo lepiej.

Odjechał w stronę fortu.

Rozdział trzydziesty siódmy

Jakie to dziwne, myślała Maddy, jak długa może być taka chwila, kiedy człowiek, jak komputer, rozważa wszystkie możliwości, oceniając szanse na przetrwanie. Poziom adrenaliny rósł w niej jak u kogoś porwanego przez lawinę lub wciągniętego w wir. Musiała dokonać właściwego wyboru i to natychmiast. Wszystko to działo się w jednej chwili, która wydawała się wiecznością.

Najlepiej będzie, postanowiła, jeśli udam, że nic nie słyszałam albo się przesłyszałam. Musi w to uwierzyć.

Maddy starała się zmusić ciało, by nadażało za myślami, nie za uczuciami. Próbowwała zachować normalny wyraz twarzy, spokojny głos i opanować drżące ręce. Jej wzrok miał wyrażać współczucie.

– Dzwonię po karetkę. On potrzebuje natychmiastowej pomocy – odezwała się.

Bonnie zerwała się na równe nogi i mocno chwyciła Maddy za ramię.

– O nie, nie zadzwonisz! Nigdzie nie będziesz dzwonić!

– Puść mamę! – krzyknęła Amy.

– Zamknij się – nakazała jej Bonnie.

– Mamusiu, dlaczego ona cię trzyma? Dziewczynka była zaniepokojona.

– Wszystko w porządku, kochanie – uspokajała ją Maddy.

Serce waliło jej ze strachu. Nie wolno było jej tego pokazać ani dla dobra Amy, ani jej, ani dziecka.

– Puść mnie. Przestraszyłaś Amy – odezwała się.

– No to co – buntowniczo zareagowała. – Wszyscy będziecie robić to, co wam powiem.

Maddy spojrzała na Seana siedzącego na podłodze, żałośnie płaczącego.

– Bonnie, nie rozumiem, dlaczego to robisz...

– Tylko nie udawaj głupiej. Wiem, że słyszałaś, co powiedziałam.

– Co powiedziałaś? – krzyknęła Maddy. – O czym ty mówisz?

– Zaczynasz mnie denerwować – ostrzegła Bonnie, ale było widać, że się waha, próbując ocenić sytuację.

Bardzo chciała uwierzyć w to, że jej sekret był bezpieczny. Sean płakał coraz mocniej na podłodze i Maddy znów na niego spojrzała. Bonnie nie spuszczała z niej oka.

– Może zajmiesz się nim – odezwała się Maddy.

– Przestań mi mówić, jak mam się opiekować moim dzieckiem!

Ta reakcja wzbudziła w Maddy płomyk nadziei. Jej pomysł zadziałał. Bonnie poddała się tej manipulacji.

– Przepraszam. Ciągłe to robię. Mam taki brzydki zwyczaj, że zawsze się wtrącam.

Nagle usłyszały słaby głos z podłogi:

– Bonnie, dlaczego tak powiedziałaś? Dlaczego powiedziałaś, że to nie nasze dziecko?

Obie spojrzały w stronę mężczyzny, który z trudem podniósł się i siedział oparty o komodę. Cała nadzieja, jaką Maddy miała, przepadła. Bonnie nie była aktorką. Nie umiała udawać. Nie bawiła się w subtelności i prawdopodobnie tak właśnie postąpiła z Rebeką, by zabrać dziecko. Wzdrygnęła się na wspomnienie tej niewinnej dziewczyny opiekującej się dzieckiem, by zarobić na drobne wydatki, która prawdopodobnie ani przez chwilę nie myślała, że może się to skończyć dla niej tragicznie.

A teraz Terry. Dlaczego zadawał te pytania? Czy nie brał w tym udziału? Widać jednak było, że wierzył, iż dziecko było jego. Nagle Maddy przypomniała sobie słowa księdza Nicka, które rozwiały jej podejrzenia. Przecież chrzczył Seana. Nick nigdy by nie skłamał.

Nie mógł więc to być Justin Wallace. Znowu powróciła nadzieja, chociaż umysł Maddy pracował nad innymi możliwościami. Może Bonnie zaadoptowała dziecko i nie powiedziała o tym mężowi.

Nie było to zbrodnią. Może będą się o to kłócić, ale nie trzeba było z tego powodu popełniać głupstw.

– Bonnie? – Terry domagał się wyjaśnień. – Dlaczego powiedziałaś, że to nie nasze dziecko? Sean jest przecież naszym synem.

Bonnie tylko patrzyła na męża szeroko otwartymi oczyma.

– Nie to miałam na myśli.

Nagle Terry zaczął się podnosić.

– Czy spałaś z kimś innym?

Przestraszona, zaprzeczyła.

– Nie, nie, nigdy. Tylko z tobą.

Puściła Maddy i podbiegła do niego.

– Uwierz mi, kochanie, nigdy bym cię nie zdradziła. Nigdy.

– Dlaczego w takim razie tak powiedziałaś?

– Przejęczyłam się. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam.

Maddy rozcierała ramię w miejscu, gdzie czuła jeszcze uścisk Bonnie.

Była pewna, że kłamała. Żadna matka nie wyrzekłaby się dziecka w ten sposób. To nie było przejęczenie, ale Terry nie wiedział o czymś. – Nie kłam – groził i Maddy dostrzegła groźny błysk w oku osoby, która przetrwała lata w więzieniu. – Słyszałem, co powiedziałaś.

– Bonnie – przemówiła Maddy jak najłagodniej. – Czy ty zaadoptowałaś to dziecko?

Kobieta wykręciła się i popatrzyła na nią z niechęcią.

– Trzymaj się od tego z daleka – krzyknęła, na co Sean rozplakał się jeszcze bardziej.

Maddy musiała stłumić w sobie chęć przytulenia go.

– Pobraliśmy się dlatego, że byłaś w ciąży... – Terry nie dawał za wygraną.

– Nie tylko dlatego – zaprotestowała Bonnie.

– Niech pan zachowa siły – wtrąciła się Maddy, by przerwać jego ciekawość. – Musimy pana zawieźć do szpitala i to natychmiast. Możecie porozmawiać sobie o tym kiedy indziej.

Terry dalej patrzył na żonę.

– Powiedziałaś mi, że jesteś w ciąży. Pomyślałem wtedy, że wolą Boga jest, bym poślubił kobietę, która nosi mojego syna.

– Nie mów tak. Kochaliśmy się – błagała ze łzami w oczach.

– Jesteś dziecinna – zbeształ ją. – Znałaś moje uczucia. Napisałem do ciebie wiele listów. Pisałem ci o moim nowym zadaniu – wypełnianiu woli Bożej.

– Ale podpisywałeś je „kochający” – płakała.

– A teraz ty mówisz mi, że to nie jest mój syn? – wyszeptał w bólu.

Maddy wyczuła, że on już wie, że Bonnie kłamała, ale nie obchodziło jej, co ukrywała. Jedyne czego pragnęła, to pozbyć się tych ludzi i to natychmiast.

– Bonnie – spróbowała jeszcze raz. – Czy to nie może poczekać? Terry naprawdę potrzebuje pomocy.

Bonnie chyba jej nawet nie usłyszała. Złapała męża za rękę i potrząsając nim, mówiła:

– Powiedziałeś, że mnie kochasz. Mówiłeś, że zawsze będziemy razem i to dlatego, że mnie kochałeś. Tylko mnie. Wiem, że tak było.

Terry słuchał z zamkniętymi oczyma.

– Jeśli on nie jest moim synem, to ty nie jesteś moją żoną – wymamrotał i osunął się na podłogę.

– To niesprawiedliwe – płakała Bonnie.

Maddy zrobiło jej się żal, widząc ją taką nieszczęśliwą. Ta samotna kobieta mocno wierzyła w swoją bajkę o Kopciuszku. To ją trzymało przy życiu, a teraz prawda wyszła na jaw.

Amy złapała matkę za nogę i zapytała:

– Dlaczego ona płacze?

– Jest bardzo smutna, kochanie. Idź do swojego pokoju.

– A dlaczego Sean płacze? – dopytywała się dziewczynka.

– Muszą wyjechać, a on nie chce – nie wiedziała, co wymyślić.

– Ale nie może zabrać mojego misia – zaznaczyła Amy.

– Nie, na pewno nie zabierze.

– Zabierze, jest w tej torbie, widziałam – upierała się.

– Amy, przestań!

– Nie dam mu – dziecko tupnęło nóżką i oznajmiło: – Idę po niego, jest tam. Zabieram go.

Torba, z którą Bonnie nie rozstawała się ani na moment, leżała teraz przy wejściu do pokoju. Z niej wystawała brązowa noga misia. Zanim Maddy zorientowała się, co Amy zamierza zrobić, ta przemaszerowała przez pokój i zaczęła szarpać, próbując uwolnić maskotkę.

– Amy, przestań! – krzyczała Maddy, ale dziecko nie puszczało. Gdy już wyciągnęła zabawkę, coś czerwonego przyciągnęło wzrok Maddy.

Słyszała o tym w telewizji ze sto razy. Gdy tylko pokazywali zdjęcie zaginionego dziecka, zawsze mówili, że miał na sobie robiony na drutach czerwony sweterek z dalmatyńczykiem. Gdy Amy krzyknęła tryumfalnie, ściskając zdobycz, jej mama nie mogła oderwać wzroku od leżącego na ziemi czerwonego sweterka, z którego patrzył na nią wesołym wzrokiem dalmatyńczyk.

Bonnie widząc twarz Maddy poszła w ślad za jej wzrokiem i zobaczyła przewróconą torbę i czerwony sweterek. Westchnęła tęsknie i zwracając się do Maddy, powiedziała:

– Powinam była go wyrzucić, ale był prawie nowy.

Maddy grała dalej:

– Ta wasza kłótnia to nie moja sprawa. Zabieram stąd moją córkę. Jak już skończycie, to macie wyjechać. Nic mnie nie obchodzi, dokąd pójdziecie. Chcę tylko, żebyście zostawili nas w spokoju.

– O nie – zareagowała Bonnie.

– To wasza sprawa i nic mi do tego – broniła się.

– Zostaw panią Blake w spokoju – nakazał Terry mimo swej bezsilności. – To wszystko, to nie jej wina.

– Ona wie za dużo.

– Nic nie wiem i nie obchodzi mnie wasze życie – odparowała.

Rozmazany tusz na twarzy Bonnie zdziwił Maddy, bo wcześniej nie wiedziała, że Bonnie się malowała. Nigdy nie przyglądała się tej kobiecie. Nie zauważano jej chyba. Aż było za późno.

– Wiesz już, kim on jest? – powiedziała, pokazując na Seana.

Oczywiście, że wiedziała. Niezależnie od tego, co mówił ksiądz Nick, nie miała wątpliwości. Patrząc na zanoszące się płaczem dziecko na podłodze, nie miała żadnych wątpliwości. Oznaczało to, że kobieta, ubrana w bezkształtny golf i szarą spódnicę, ze śladami rozmazanego tuszu pod oczyma, była morderczynią.

Maddy oddychała szybko jak sprinter po zakończonym biegu. Czuła się, jakby wepchnięto ją w tunel bez wyjścia. Musiała zmierzyć się z rzeczywistością. Nagle zrozumiała, że nie może dalej się wypierać. Nie mogła wyprzeć się tego dziecka, jego płaczu, tożsamości i tych okropnych rzeczy, które mu się przytrafiły. Nie uratowałyby swojej skóry, gdyby teraz zaprzeczyła.

Podeszła do mokrego od płaczu dziecka. Nieludzkim było zostawiać go na pastwę losu. Nikt nie miał wyjść z tej sprawy nietknięty. Przynajmniej mogła go potrzymać. Schyliła się

i podniosła go, wytarła nosek, pocałowała w czoło i czule przytuliła do piersi.

– Nie płacz, Justin – szepnęła. I dziecko przestało kwilić. Spokojnie przytulało się do niej z szeroko otwartymi oczkami, zaciskając piąstki na jej ubraniu. – Nie płacz, dziecinko.

Odwróciła się do Bonnie, która stała wyprostowana i trzymała ją już na muszce.

Rozdział trzydziesty ósmy

W restauracji były tylko trzy osoby, a Nick został obsłużony bez jakiegokolwiek ciekawości ze strony kelnera w stosunku do obcego. Atmosfera nie zachęcała do dłuższego posiedzenia. Zjadł więc szybko stek salisburski i wrócił na pustą ulicę.

Teraz stał przed domem numer dwanaście na Mapie Street. Był to mały, zaniedbany domek wybudowany na dużej działce, teraz zarośniętej dawno nieścinaną trawą i chwastami. Front domu był prawie zasłonięty świerkami i nawet w zapadających ciemnościach widać było, jak farba odpada wielkimi płatami ze ścian. W kilku zasłoniętych oknach paliło się światło, ale Nick nie chciał przeszkadzać. Dom był mały i wyglądał kiepsko. Mieszkańcy nie mogliby chyba zaoferować Lewisom pomocy materialnej. Ale może był tu ktoś, kogo obchodził los Bonnie. Wsparcie moralne było tak samo ważne jak finansowe. Nie zaszkodziło spróbować. Narzął się najwyżej na odmowę, ale to mu nie przeszkadzało.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Zdziwił się, gdy usłyszał dźwięk w środku. Wydawało mu się, że dzwonek też musi być zepsuty. Wszystko potrzebowało tu reperacji.

Po chwili usłyszał kroki i poczuł niepokój. Dom był tak zniszczony i ponury, że spodziewał się zobaczyć jakieś widmo. Ku zaskoczeniu i uldze drzwi otworzyła śliczna, młoda, bosa dziewczyna, ubrana w dzinsy i kwiecistą bluzkę. Spojrzenie miała radosne i uśmiech rozjaśniał ponury korytarz.

– Słucham? – uprzejmie zapytała, otwierając szeroko drzwi.

– Panna Hartwell? – niepewnie zagadnął.

– Raczej pani – poprawiła go. – Colleen Hartwell to ja.

Ta dziewczyna nie może być stąd. Nie pasowała do tego miasta, w którym, odkąd przyjechał, nikt się do niego jeszcze nie uśmiechnął.

– Hm... Nazywam się Nick Rylander. Jestem księdzem katolickim i właściwie to moja znajoma tu mieszkała.

– W Gravensport?

Nick zerknął na kartkę z adresem.

– Tak, cóż, właściwie to mieszkała w tym domu. Wynajmowała pokój z tego, co wiem. Bonnie... Bonnie Lewis?

– Och! – wykrzyknęła, wyciągając rękę na powitanie. – Jest ksiądz przyjacielem Bonnie? W takim razie bardzo proszę do środka.

Nick wkroczył do środka mile zaskoczony tym ciepłym przyjęciem.

– Przykro mi, że jest tu tak ciemno. Żarówka się przepaliła, a ja nie mogę sięgnąć bez drabiny. Czekam na męża, jak przyjedzie, to naprawi – tłumaczyła mu, przedzierając się

w kierunku jaśniejszych pomieszczeń.

– Pracuje dzisiaj do późna?

Colleen zaśmiała się, jakby opowiedział jakiś dowcip.

– Ależ nie. Źle mnie ksiądz zrozumiał. Jest rybakiem. Czasami nie ma go tygodniami. Dlatego to miejsce jest takie zapuszczone. Nie ma kto o to dbać. Próbuję robić co się da, ale nie nadążam.

Rozglądając się po wnętrzu, Nick zauważył, że miała trudności z utrzymaniem porządku również w środku. Panował tu niezwykle bałagan. Wszędzie pełno było niepotrzebnych rzeczy i wyglądało na to, że od tygodni nikt ich nie sprzątał.

Colleen zdjęła z kanapy plik gazet, komiksów oraz kilka par skarpetek i położyła na stolik.

– Proszę usiąść – zaprosiła. – Czy napije się ksiądz czegoś? Może herbaty?

Zgodził się, nie zastanawiając się nad tym, w jakim stanie mogła być kuchnia. Ale herbata to tylko ziółka i woda, nie sprawiało to chyba kłopotu.

– Właśnie zrobiłam sobie.

Poszła do kuchni, wyłączyła mały telewizor, po czym wychyliła się i zapytała: – Z cukrem?

Odpowiedział, że tak.

Po kilku minutach wróciła z dwiema filiżankami na wyszczerbionych spodkach. Podała mu jedną, robiąc miejsce na stoliku dla swojej filiżanki. Następnie sprzątnęła z krzesła misia pluszowego, wypraną bieliznę, kilka katalogów i w końcu usiadła.

Założyła za ucho długi błyszczący kosmyk, wypita łyk herbaty i znów się do niego uśmiechnęła.

– Cóż sprowadza księdza do Gravesport? Miło mieć gości. Smutno nam tu samym, tak jak George'owi na morzu.

– Jestem tylko przejazdem w drodze do Nowej Szkocji w Kanadzie.

– Na urlop?

– Nie. Pracuję tam w klasztorze. Zajmuję się restauracją dzieł sztuki.

Pokiwała głową w zamyśleniu, ale wyraz twarzy zdradzał, że nie miała pojęcia, o czym mówił.

– A skąd ksiądz zna Bonnie?

Nick popatrzył na nią przez zmrużone oczy. Nie wyglądała na ciekawską i zastanawiał się, na ile znała historię życia ich wspólnej znajomej.

– Właściwie najpierw poznałem jej męża – zaczął ostrożnie.

– Terry'ego! – wykrzyknęła. – Znał go ksiądz, nim wylądował w więzieniu?

W jej głosie nie było nagany. Nick pogratulował sobie przyjscia tutaj. Ta kobieta może nie była w stanie wiele pomóc, ale na pewno była zainteresowana losami Bonnie.

– Nie. Tam go poznałem. Przegadaliśmy wiele godzin. Dawałem im ślub.

– Naprawdę? To wspaniale. Bonnie opowiadała mi. Potrafi tak coś przedstawić, że wydaje się, jakby człowiek sam w tym brał udział. To chyba dlatego, że czyta tyle książek. Ja nie czytam – przyznała. – Ale Bonnie pod tym względem jest inna.

– Pamiętam, jak Terry opowiadał, że wysłał jej spis książek, a ona mu je przysłała.

Colleen zachwyciła się znowu.

– Zawsze uważałam, że to niezwykle romans, wie ksiądz, ona była taka samotna, no i tyle pisali do siebie. Jest w tym coś... Nie wiem co, ale coś staroświeckiego, jeśli rozumie ksiądz, co mam na myśli. Tak wyczekiwała jego listów... Często czekała przy skrzynce pocztowej. A jak przychodziły, wbiegała na górę jak nastolatka. Nick uśmiechnął się i popił herbatę.

– To było dobre dla obojga.

– Oczywiście nigdy nie sądziłam, że on kiedykolwiek wyjdzie z więzienia. Mówiłam jej nie raz: „Bonnie, on nigdy nie będzie dla ciebie prawdziwym mężem”. To była beznadziejna sytuacja. Nie martwiła się tym wcale. Kochała go i tylko to się liczyło. I nagle ten prawdziwy się przyznał! Czy to nie wspaniale?

Nick skinął głową.

– Cieszyłem się razem z nimi.

– To był cud – zamyśliła się Colleen. – Nie rozumiem, jak ludzie mogą nie wierzyć w cuda.

– Zgadzam się.

– Cóż, ksiądz wierzył, prawda? Biedna Bonnie. Nikt w tym mieście nie przypuszczał, że znajdzie sobie kogoś. Jest trochę... – Colleen szukała odpowiedniego słowa. – Trochę... taka sztywna. Ale jak się ją bliżej pozna...

– Jak dobrze ją pani zna?

– Chyba tak jak każdy. Nie zwierza się nikomu, ale dobrze nam się układało. Biedna Bonnie nie miała lekko – Colleen zasmuciła się na to wspomnienie. – Wie ksiądz, jej matka była okropna. Bardzo zła. Była piękną kobietą – przeciwieństwo Bonnie. Z tego co słyszałam, traktowała ją jak niewolnicę i chyba nigdy jej nie kochała. Dlatego Bonnie uciekła w te swoje książki. Nikt nawet nie zapłakał, jak ta kobieta zmarła, naprawdę.

To potwierdzało przypuszczenia Nicka.

– Wiem, że to nie po chrześcijańsku – tłumaczyła się, zdając sobie sprawę z tego, kim jest jej gość. – Wiem, że powinniśmy kochać bliźnich...

– Ale niektórzy nam tego nie ułatwiają, prawda? – dokończył Nick z uśmiechem.

Colleen westchnęła i poprawiła się na krześle.

– Nie będę ukrywać, jak bardzo brakuje mi Bonnie. Nie ma jej dopiero od tygodnia, i proszę spojrzeć na ten bałagan. Gdy tu była, panował zawsze porządek. Miałam wyrzuty sumienia, biorąc od niej czynsz, bo wszystkim się zajmowała. Sprzątała i robiła zakupy... – Colleen pochyliła się i szybko dodała: – Niech mnie ksiądz źle nie zrozumie. Nie próbowałam jej

wykorzystywać. Biedaczka, całe życie wykorzystywała ją ta wiedźma, jej matka. Zawsze jej mówiłam: „Nie pracuj tak ciężko, nie musisz tego robić”. Ale Bonnie nie znosiła bałaganu. Ja go nawet nie zauważam.

Nick stłumił uśmiech. Było aż nazbyt widoczne, że nie zwracała sobie głowy porządkami. Miała za to w sobie tyle dobroci.

– To co teraz porabiają?

Nick odstawił filiżankę i pochylił się.

– Właśnie przyszedłem, by o tym porozmawiać. To znaczy, nie wiedziałem, czy Bonnie ma jakąś rodzinę w mieście...

– Ja jestem jej najbliższą osobą – orzekła.

– Tak, wiem. Prawda jest taka, że...

Płacz dziecka z innego pokoju przerwał Nickowi.

Colleen wzniosła ręce do góry. – Przepraszam księdza na chwilę.

Idąc korytarzem, powtarzała: – Już idę aniołku, już idę...

Słyszał, jak mówiła coś do dziecka i płacz ucichł. Wróciła do pokoju, niosąc duże, grube dziecko. Miało na sobie poplamiony sweterek i spodenki. Na rękach matki radośnie sobie gaworzyło.

– To Georgie junior – przedstawiła z dumą.

– Niezły przystojniaczek – zauważył Nick.

Colleen weszła do kuchni, wyjęła z lodówki butelkę i wróciła do pokoju, sadzając dziecko na kolanach. Mały zadowolony w milczeniu popijał mleko. Colleen patrzyła na niego z uwielbieniem i z trudem wróciła do swojego gościa.

– Ile ma? – Nick zapytał uprzejmie.

– Osiem miesięcy – odparła. – To rozrabiaka, jak jego tata. Ale jest równie dobry. Bonnie zajmowała się nim czasami. Cudownie mieć nianię na stałe. – Westchnęła, wspominając nie tak znów odległe dzieje. – Jeden raz, gdy wiedziałam, że Georgie zawinie do portu na weekend, chciałam mu zrobić niespodziankę. Wiedziałam, że nie mogę ze względu na małego, ale Bonnie nalegała, żebym pojechała. Zostawiłam z nią chłopca, zapakowałam najlepsze ciuchy i pojechałam. Spędziliśmy razem cały weekend...

– Bonnie chyba lubi pomagać – wtrącił Nick – chociaż teraz sama potrzebuje pomocy.

– Niech ksiądz nie odbiera tego źle. Nie prosiłam jej o to. Sama chciała. Właściwie błagała mnie – protestowała Colleen. – Ale opowiadał ksiądz, że jest w kłopotach. Co się stało, że potrzebuje pomocy?

– Jak tylko Terry wyszedł z więzienia, mieli wypadek samochodowy.

– Och, nie! Znowu?!

– Jak to znowu?

– Tak właśnie zginęła jej matka. Bonnie wiozła ją do kościoła na jakąś uroczystość i straciła panowanie nad samochodem. Wjechała na drzewo. Jej nic się nie stało, ale matka nie miała żadnych szans. Nie zapinała pasów. Policja twierdzi, że nie wie, jak to się mogło stać.

Nick zamrugął.

– Bonnie nigdy nie wspominała o tym.

– To się wydarzyło parę lat temu. Chyba nie lubi o tym opowiadać. To przykre, ten ich wypadek. Dopiero co zaczęli.

– Tak. Ale na szczęście trafili na bardzo miłą osobę, która ich przygarnęła, gdy Terry był w szpitalu z pękniętą śledzioną.

– Ich? – zainteresowała się, ścierając ręką bluzki strużkę mleka z policzka synka.

– Bonnie i Seana.

Spojrzała uprzejmie, ale to imię nic jej nie mówiło.

– Kto to jest Sean? Nick zaniepokoił się.

– Dziecko Bonnie. Jej syn.

– Dziecko? Bonnie nie ma dziecka.

Nick nie mógł złapać tchu. Czuł się, jakby mu ktoś wylał kubel zimnej wody na głowę. Próbował zebrać myśli.

– Oczywiście, że ma. To Sean. Ich wspólne dziecko. Przecież je chrzciliśmy.

Georgie mruzczał zadowolony. Colleen przytuliła go mocniej i odsunęła się, jakby nagle Nick wydał jej się intruzem.

– Czy mówimy o tej samej Bonnie? – spytała.

– Nie wiem – Nick zwątpił, ale nagle go oświeciło.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Terry z trudem usiadł ponownie, trzymając się za brzuch. Wpatrywał się w swoją żonę stojącą z wycelowanym w Maddy rewolwerem.

– Bonnie, co ty, do diabła, robisz?

– Nie wiem – odparła. – Nic takiego nie miało się wydarzyć.

– Skąd masz rewolwer? Dlaczego ona powiedziała do Seana... już nie pamiętam jak?

– Justin – podpowiedziała Maddy, delikatnie głaszcząc główkę dziecka. – To jest Justin Wallace. Kilka dni temu został porwany, a jego opiekunka zamordowana.

– Kłamiesz – Terry był oszołomiony.

– Powiedz mu, Bonnie. To twój mąż. Ma prawo wiedzieć.

– Bonnie, czy to prawda? – pytał błagalnie. – Słodki Jezu, powiedz, że to nieprawda.

Bonnie odwróciła się w jego stronę zagniewana, odwracając rewolwer od Maddy, która nie wiedziała, czy skorzystać z okazji i uciec. Nie było to łatwe. Pokój był mały, a na podłodze leżał rozciągnięty Terry. Trzymała dziecko, którego nie miała zamiaru wypuścić. Drżało w jej ramionach, jakby przeczuwało niebezpieczeństwo.

– Pisałam do ciebie do więzienia. Dzwoniłam i przyjeżdżałam, gdy inni myśleli, że jesteś mordercą. Nigdy słowem nie wspomniałam o twoich przestępstwach. Nie obchodziło mnie to. Kochałam cię i nic innego nie miało znaczenia. Nie wstydziłam się poślubić mordercę. Czemu więc teraz jesteś taki święcie na mnie oburzony?

– Bo nie chcę tam wracać – krzyknął i zwinął się z bólu. – Za coś, czego nie zrobiłem – dokończył szeptem. – I tak nikt mi nie uwierzy.

– Zrobiłam to dla ciebie – tłumaczyła Bonnie. – Tak bardzo chciałeś mieć dziecko.

Terry patrzył na nią z nienawiścią.

– Dla mnie?

– Dla ciebie i dla mnie – odparła nadąsana. – Dla nas.

– Dla mnie zabiłaś kobietę i porwałaś dziecko? – zaśmiał się desperacko. – Wielkie dzięki.

– Cieszyłeś się przecież z Seana...

– Bo myślałem, że to moje dziecko. Myślałem, że jestem ojcem. Bo chciałem być lepszym ojcem dla mojego syna, niż mój był dla mnie. Ten stary przyk... – Terry aż zatrząsł się z bólu, ale wziął głęboki oddech i mówił dalej. – Przez cały ten czas niczego nie podejrzewałem. Nie wiedziałem, że jesteś kompletną wariatką. Spędziłem tyle czasu wśród nich, że powinienem coś zauważyć. Ale nie. Na dodatek ożeniłem się z tobą. W całym moim pieprzonym życiu nie udało mi się zrobić nic dobrego, ale to... to już jest szczyt wszystkiego. Ożeniłem się z szaloną wariatką, która jest morderczynią i porywaczką i zaraz wyląduję z powrotem w pudle.

– Przecież mnie kochasz – upierała się Bonnie, mierząc w niego z rewolweru.

Terry zaśmiał się gorzko.

– Jezus cię kocha, dziecino. Żałuję, że cię w ogóle poznałem.

Bonnie zachwiała się, otwierając usta z niedowierzaniem.

– Ty draniu – wyszeptła i nagle wyprostowała się, mierząc go wzrokiem pełnym pogardy.

Nie zawahała się ani chwili. Wycelowała w jego pierś i wystrzeliła. Terry otworzył oczy zaskoczony i dotknął ręką miejsca, gdzie trafiła go kula. Na palcach miał krew, która rozlewała się coraz to większą plamą na koszuli.

Maddy krzyknęła i odskoczyła. Bonnie celowała w jej stronę. Cienkie nitki dymu unosiły się nad lufą, pokój wypełniał gryzący zapach prochu. Maddy nigdy nie przypuszczała, że po wystrzale z broni unosi się taki dym.

– Zastrzeleliś go – odezwała się bezradnie.

W tym momencie w pokoju pojawiła się Amy przestraszona hałasem i krzykiem matki.

Maddy patrzyła, jak Terry osuwa się na podłogę.

– Co ci jest? – pytała, ale właściwie nie wymagało to odpowiedzi.

Bonnie cała się trzęsła, patrząc z przerażeniem na zakrwawionego męża.

– Zabiłam go. Zabiłam jedynego człowieka, który mnie kochał – mówiła do siebie. – Nie, on mnie nigdy nie kochał. Nigdy! O Boże, o mój Boże!

– Mamusiu! – krzyczała Amy na widok mężczyzny we krwi i rewolweru w ręku Bonnie.

Maddy nie wahała się ani chwili. Ściskając Justina, próbowała odebrać Bonnie pistolet. Czują już rozgrzany metal w dłoni, ale Bonnie zdołała go wyszarpnąć.

– Odsuń się, bo cię zabiję! – wrzeszczała.

Maddy uklękła przy córce, osłaniając ją i chłopca przed oszalałą Bonnie. Zbierało jej się na wymioty, serce waliło jak młotem, ale nie przestawała szeptać bełkotliwych słów do roztrzęsionych dzieci.

Bonnie opuściła broń i patrzyła beznamiętnie na leżącego mężczyznę.

– Nic nie wyszło tak, jak zaplanowałam – powiedziała.

Maddy obserwowała ją, nie wiedząc, czego można się po takiej osobie spodziewać. Nastrój Bonnie przechodził od hysterii do obojętności. Teraz patrzyła przez okno na gołe gałęzie oświetlone blaskiem księżyca. Stała tak zamyślona, obojętna wobec męża wykrwawiającego się u jej stóp. W końcu odwróciła się i powiedziała do Maddy:

– Chodź, idziemy.

Maddy spojrzała przerażona..

– Dokąd?

– Nie wiem jeszcze, ale musimy stąd odejść.

– Proszę, Bonnie – błagała. – Weź samochód i jedź. Zostaw nas tutaj. Nie zadzwonię na

policję, obiecuję. Możesz nawet przeciąć kable. Możesz zniknąć i nikt nigdy się nie dowie, kim jesteś. Zaczyniesz gdzieś od nowa. Proszę, nie mieszaj w to dzieci. Dlaczego one mają cierpieć? Na to pytanie oczy Bonnie zapłonęły.

– Ja musiałam cierpieć, to dlaczego one nie mogą? Ruszamy. Jeśli nie zrobisz nic głupiego, zostawię cię gdzieś po drodze. Teraz jedziesz ze mną. No już! – machnęła rewolwerem.

Patrząc na Terry'ego, Maddy nie ośmieliła się na dalsze dyskusje.

– Chodź, Amy. Musimy jechać z panią Lewis.

– Dlaczego? Nie chcę z nią jechać.

– Włóż kurteczkę – poleciła.

Nie pytając Bonnie o zgodę, wyciągnęła z walizki spodenki i pieluchę. Szybko przewinęła dziecko i ubrała je na drogę. Bonnie nie zwracała na to żadnej uwagi, wpatrywała się w leżącego męża.

Klęknęła przy nim i wolną ręką odgarnęła mu włosy z czoła.

– Dlaczego nie powiedział, że mnie kocha? Zrobiłabym dla niego wszystko... Naprawdę wszystko... Co go to kosztowało?

Maddy nie wiedziała, jak na to zareagować. Pytanie Bonnie mogło być skierowane zarówno do niej, jak i do całego świata. Próbowала wykrzesać z siebie współczucie, ale nie mogła.

– Jeszcze nie jest za późno – odezwała się. – Wezwijmy pogotowie. Może uda się go uratować.

– Za późno – usłyszała w odpowiedzi.

Maddy próbowała wyobrazić sobie stan duszy Bonnie. Nie chciała nawet myśleć o biednej Rebecce Starnes czy Wallace'ach, tracących zmysły z rozpacz. Odsunęła te myśli, koncentrując się na wypowiedzianych słowach.

– Wiem, że cię zraniono, Bonnie. Musi to być dla ciebie straszne. Ale czemu nie darujesz dzieciom? One są zupełnie niewinne. Nigdy nie wyrządziły nikomu krzywdy. Nie możesz ich tu zostawić?

– Zostawić je same w domu? Co z ciebie za matka? – oburzyła się zniecierpliwiona, wstając.

– Nie można zostawiać dzieci bez opieki. Mogą zrobić sobie krzywdę.

– Mogłybyśmy zadzwonić do kogoś, by je zabrał, gdy będziemy już wystarczająco daleko stąd.

– Nie bądź śmieszna. Jadą z nami, no już!

Maddy poddała się. Podniosła Justina przygotowanego do następnego etapu jego wędrówki. Spraw Boże, żeby nie była to jego ostatnia podróż, modliła się.

Rozdział czterdziesty

Księżyc w pełni, zawieszony nisko nad ziemią, poprzecinany był gołymi gałęziami drzew. Ponure szare chmury pędziły w znanym sobie kierunku. Doug ścisnął butelkę i spełnił toast do nieruchomego księżyca i wszystkich błyszczących gwiazd. Pił już do wszystkiego, co spotkał na drodze. Dlaczego więc nie do księżyca, pomyślał. Był bardzo dobrym kompanem. Lepszym niż większość ludzi, których znał. Oparł się o szeroką barierkę otaczającą mur w najwyższej części fortu Wynadot. Wyżej od niego była już tylko mała wieżyczka strażnicza. Doug raz jeszcze pomyślał o księżycu, żałując, że nie ma przy sobie dwudziestopięciocentówki, by móc popatrzeć na niego przez teleskop. Drżącymi rękami przeszukiwał kieszenie i kilka monet wypadło mu z ręki.

– Cholera – wymamrotał. – Wejść na górę i popatrzeć stamtąd. Do strażnicy wiodły wąskie schodki. Wisiał na nich łańcuch i tabliczka z napisem, że nie wolno wchodzić.

– Pieprzę to.

Wsadził butelkę pod pachę i przedostał się przez łańcuch.

Randall Burke i Nina Stefano wjechali na parking przy forcie, szukając zacisznego miejsca. Randall żałował, że nie może zabrać jej gdzieś indziej, ale ten samochód pożyczony od brata i tak go wiele kosztował. Jak dotąd wszystko szło dobrze, ale Nina była chimeryczna i czuł się przy niej jak człowiek na polu minowym. Starał się nie powiedzieć ani nie zrobić niczego, co by ją wkurzyło.

Kłócili się często, ale to tylko wzmagало jego uwielbienie. Bywało tak, że świetnie się bawili śmiejąc się i dotykając przypadkiem, gdy nagle powiedział coś, co ona źle zrozumiała, i cały wieczór był do kitu. Strzelała wtedy ze złością tymi czarnymi oczyma, odrzucała jedwabiste czarne włosy i żądałaby zabrał ją do domu. Dzisiejszy wieczór zapowiadał się dobrze. Spoczone dłonie zaciskał na kierownicy i czuł niezwykle podniecenie, patrząc na jej profil. Zaparkował w najbardziej osłoniętym miejscu i odwracając się do niej, pogłaskał ją po policzku.

– Niesamowicie jest tu dzisiaj, przy pełni. Nina zeszywniała poirytowana.

– To tylko twoja wyobraźnia – powiedziała.

Lubiła go i pragnęła nawet. Był przystojny w specyficzny irlandzki sposób. Zawsze, odkąd pamięta, podkochiwała się w ministrantach, którzy wyglądali tak jak on. Denerwował ją jednak sposób, w jaki zabierał się do rzeczy. Był taki... pełen szacunku dla niej. Sama nie wiedziała, dlaczego to ją tak drażniło.

– Może są tu duchy? – powiedział, uśmiechając się i myśląc, jak objąć ją ramieniem. – To prawie Halloween.

Odepchnęła jego rękę. – Przestań!

– Nina... – westchnął. – Co się stało? Czują, jak narasta w niej znajoma furia.

– Nic.

Pochylił się, by pocałować ją w policzek, ale odwróciła się, więc trafił tylko we włosy nad uchem. Cofnął się zmieszany.

– Myślałem, że chcesz tu przyjechać...

Nie mógł zrozumieć, że jego jedynym przestępstwem była zbytnia powściągliwość. Jeśli nie będzie bardziej energiczny, straci ją pewnego dnia. Zajmie się nią starszy chłopak, który przejmie kontrolę nad biegiem wydarzeń. Bez zbędnego proszenia. To było wbrew jej przekonaniom: robić to, o co ktoś poprosi. Chciałaby ją porwałby nalegał, żeby zapomniała o ostrożności. To, że Randall nie rozumiał, o co jej chodzi, doprowadzało ją do furii. Chociaż, jeśli miała być szczerą, sama też tego nie rozumiała. Tak więc siedzieli obok siebie, wypełnieni tęsknotą, niezdolni zrobić kroku. Nina oparła się o drzwi i gniewnie patrzyła przez okno. Randall oparł jedną rękę o kierownicę i westchnął ciężko. Pogubił się w tym wszystkim. Nie wiedział już, jak z nią postępować.

Nagle Nina wyprostowała się na fotelu.

– Randy – krzyknęła. – Co to jest?

Odwrócił się do niej z nadzieją, ale zobaczył że wskazywała na fort.

– Popatrz tam, wygląda jak duch. Randy spojrzał w tę stronę.

– Jezu Chryste! – krzyknął.

Na samej górze, trzymając się strażnicy jedną ręką, wisiał mężczyzna.

– Co on robi?! – krzyknęła.

– Nie wiem.

Randall zawahał się, ale otworzył drzwi samochodu.

– Co ty robisz?

– Lepiej z nim porozmawiam.

– Bądź ostrożny – złapała go za ramię.

A gdy odwrócił się i w świetle księżyca zobaczył w jej oczach strach, porwał ją w ramiona i pocałował namiętnie. Oddała mu pocałunek równie gorąco. Zapomniał na chwilę o facecie, ale że przyzwoitość nakazywała mu co innego, oderwał się niechętnie od dziewczyny i z westchnieniem wysiadł z auta.

Powoli ruszył w stronę fortu. Robił tyle hałasu, ile się dało. Gwizdał, kopał liście, bo nie chciał przestraszyć faceta, który mógł lada moment spaść. I nie spuszczał z niego wzroku. Mężczyzna kiwał się raz w jedną, raz w drugą stronę, patrząc na gwiazdy. Miał coś w ręku. Randall domyślał się, co to mogło być. W swoim młodym życiu widział już mnóstwo pijanych ludzi i zapewne ten też do nich należał. Gdy dotarł do chodnika okalającego fort, stanął w takim

miejscu, żeby ten facet mógł go widzieć w świetle księżyca.

– Halo, proszę pana! – zawołał, starając się mówić spokojnie.

U podnóża wzgórza Nina wysiadła z samochodu i z zapartym tchem przyglądała się scenie.

Mężczyzna bynajmniej nie był zaskoczony, pomachał butelką w stronę Randalla.

– Ahoj! – krzyknął bełkotliwie.

– Wie pan, trochę tam niebezpiecznie. Może lepiej stamtąd zejść – przekonywał nastolatek.

– Pleciesz, ładnie tu – nie dał się skusić Doug. – Chodź do mnie na jednego!

Randall się skrzywił.

– Nie, dziękuję.

Doug spojrział w dół poirytowany tym kolesiem. Co to za chłopak, który odmawia wódki w taką piękną noc?

– Tu jest ślicznie, chodź – zawodził.

– Proszę lepiej zejść. Potrzebuje pan pomocy?

– Nie, nie potrzebuję. Niczego nie potrzebuję.

Nieoczekiwanie zaczął płakać.

– Pomogę panu – zdecydował chłopak. – Idę na górę. Niech pan spokojnie siedzi.

Doug wycierał już nos, gdy chłopak zniknął w bramie fortu.

– Właściwie to ja nie siedzę – głośno zauważył. – Jestem spokojny, ale nie siedzę.

Rozbawiło go to jak najlepszy dowcip i zaczął się głośno śmiać. Już nie czuł się źle. Płacz ustał tak szybko, jak się pojawił. Miał coraz lepszy humor. Wiele razy był pijany w młodości, gdy mieszkał w akademiku. Zazwyczaj urywał mu się film i nigdy nie sprawiało mu to przyjemności. Łatwo było dać sobie spokój. W ostatnich latach z Maddy pili najwyżej wino. W zamroczeniu pomyślał teraz o niej i zatęsknił. Chciał, żeby tu z nim była. Tak blisko jak wtedy, gdy się poznali.

Doug popatrzył na gwiazdy i zamknął oczy. Nie, nie chciał już jej. Nie bawiła go. Nigdy nie robili nic razem. On potrzebował przyjaciela. Wychylił się, by zobaczyć, czy ten chłopak jeszcze tam jest. Zapomniał, że był już w drodze do niego. Popatrzył w dół, ale tam było pusto. Nagle w oddali zobaczył w blasku księżyca niezwykle zjawisko stojące przy samochodzie. Była młoda i piękna. Miała długie czarne i lśniące włosy oraz zgrabne nogi. Ręce miała złożone na piersi, a w oczach smutek. Wyglądała tak, jakby na niego czekała, dziwiąc się, dlaczego nie idzie do niej. Bogini, pomyślał, i mimo zamroczenia alkoholowego poczuł znajome pożądanie. Jest moja. Wdrapał się na poręcz schodków i wyprostowałby lepiej jej się przyjrzeć. Podniósł butelkę, aby jej pokiwać, ale wyslizgnęła mu się z ręki i z łoskotem spadła na chodnik.

– Ej – krzyknął buntowniczo, jakby butelka sama wyskoczyła mu z ręki.

Próbował ją złapać, ale poczuł, że noga osunęła mu się z poręczy. Chciał chwycić się muru, ale złapał w dłoń powietrze.

Wbiegający po schodach Randall usłyszał obok siebie długi gardłowy jęk i przeraźliwy krzyk Niny w oddali. Potem usłyszał głuchy odgłos.

Chłopak podbiegł do muru i spojrzał na wieżyczkę. Mężczyzny nie było. Zerknął więc w dół. Najpierw zobaczył Ninę potykającą się na zboczu, krzyczącą jego imię. Ale nigdzie nie widział pijanego mężczyzny. Rozejrzał się uważniej.

Tamten leżał na chodniku w kałuży krwi otoczony rozbitym szkłem butelki, które mieniło się jak diamenty.

Rozdział czterdziesty pierwszy

Nick trzymał słuchawkę przy uchu i po raz tysięczny w ciągu ostatnich dwudziestu minut słyszał krótki, urywany sygnał. Nie mogła tak długo rozmawiać, pomyślał. Zadzwoił do centrali.

– Ciągłe zajęte? – pytała Colleen.

Chodziła po domu na palcach, uciszając dziecko, jak w kościele, podczas gdy Nick próbował dodzwonić się do Maddy.

Kiwnął głową i powstrzymał ręką dalsze pytania, bo usłyszał głos telefonistki.

– Czy mogłaby pani odblokować numer? To bardzo pilna sprawa.

– Jaki to numer?

Nick podał i czekał na połączenie. Spoglądał co chwilę na zegarek, bębniąc palcami w blat stolika, gdzie stał telefon. W końcu usłyszał głos telefonistki.

– Na tej linii nie ma żadnej rozmowy – powiedziała.

– Cholera! – Musiała wyłączyć telefon. – Czy można jakoś zawiadomić mieszkańców, że mają odłączony telefon?

– Obawiam się, że nie, proszę pana.

– No cóż, dziękuję. Odwiesił słuchawkę i zmarszczył brwi.

– Nie udało się – Colleen wyczytała z jego miny.

– Dzwonię na ich policję – zdecydował.

– Może rzeczywiście trzeba – poparła go, zaniepokojona. Nick dostał z informacji numer do komendy.

– Policja w Taylorsville, w czym mogę pomóc? – usłyszał.

– Dobry wieczór, nazywam się Nick Rylander. Myślę, że wiem coś na temat dziecka Wallace'ów.

Nim zdążył poprosić o połączenie z szefem, usłyszał: – Proszę zaczekać, przełączę pana na gorącą linię.

Najpierw były jakieś trzaski i dopiero po nich sygnał. Czekał, aż ktoś odbierze telefon, myślał o Terry'm Lewisie. Ogarnął go żal i poczucie winy. Był absolutnie pewny, że Terry mocno wierzył, iż Sean to jego dziecko. Ufał mu, zwierzał się, a teraz tym telefonem Nick z pewnością wysyłał go z powrotem za kratki. Mimo że nic nie zrobił, wróci tam. Znowu będzie niewinnie skazany.

– Czy ktoś odebrał? – wyszeptła Colleen.

– Mają oddzielną linię na tę sprawę.

Colleen chodziła tam i z powrotem, głaszcząc niecierpliwie Georgiego, wygodnie

usadowionego na jej rękach.

– Nie rozumiem, dlaczego to zrobiła? – mówiła. – Dlaczego mu powiedziała, że ma dziecko? Dlaczego udawała, że Georgie jest jej?

Nick wzdrygnął się.

– Chciała, żeby się z nią ożenił. Wiedziała, jak bardzo pragnął syna. Po kłamstwach o ciąży musiała zdobyć jakieś dziecko.

– Jak długo chciała to ukrywać? Co zamierzała zrobić, gdyby wyszedł z więzienia?

– Kiedy się pobierali, wiedziała, że nigdy nie wyjdzie na wolność.

– To co miała zamiar robić? Zabierać ciągle Georgiego do niego? A co potem, gdy dziecko byłoby coraz starsze?

– Nie wiem. Może nie myślała tak daleko. A może sądziła...

– Może chciała zaadoptować dziecko? – podsunęła.

– Mając męża w więzieniu? Wątpię.

– No tak, ale Terry wyszedł z więzienia i Bonnie potrzebowała dziecka natychmiast.

Nick przytaknął ponuro i położył palec na ustach, bo w końcu ktoś odebrał telefon.

– Tu gorąca linia policji w Taylorsville. W czym mogę pomóc?

– Chciałbym rozmawiać z szefem.

– Czy dzwoni pan w sprawie morderstwa Starnes i porwania Wallace'a?

– Tak, ale...

– Proszę podać mi nazwisko i zostawić wiadomość. Dopilnuję, żeby została przekazana komendantowi Cameronowi.

– Nazywam się Nicholas Rylander. Byłem księdzem w kościele Marii Panny.

– Byłem? Skąd pan dzwoni?

– Właściwie dzwonię z Maine, ale jakie to ma znaczenie?

– Co chce pan przekazać?

Nick stłumił złość. To było zbyt ważne.

– Mam powody, by wierzyć, że niejaka Bonnie Lewis porwała dziecko państwa Wallace.

– Jakie to powody?

– Wiem, że jest obecnie w Taylorsville i podróżuje z dzieckiem, które nie jest jej.

– Skąd pan to wie?

Nick ścisnął słuchawkę, jakby chciał ją zgnieść.

– Proszę posłuchać, nie mam zamiaru wdawać się w szczegóły. Proszę mnie połączyć z szefem.

– Proszę pana, każda wiadomość jest dokładnie sprawdzana, ale odbieramy setki telefonów. Zajmiemy się wiadomością od pana, jak tylko to będzie możliwe.

– Pani nic nie rozumie – zdenerwował się Nick. – To sprawa życia i śmierci!

– Ależ doskonale to rozumiem. Sprawdzimy to. Gdzie możemy znaleźć panią Lewis? Wie pan, gdzie się zatrzymała? Czy zna pan numer rejestracyjny jej auta?

Nick kipiał, słysząc ten beznamiętny głos.

– Nie znam numerów. Zatrzymała się w domu Douglasa i Maddy Blake'ów na Decatur Street. Proszę powiedzieć szefowi, by natychmiast tam kogoś wysłał.

Kobieta pozostała niewzruszona.

– Zajmiemy się tym tak szybko, jak to będzie możliwe. Dziękujemy za wiadomość.

Zanim udało mu się coś dopowiedzieć, odwiesiła słuchawkę. Nick usiadł na brzegu krzesła, składając ręce.

– Może jest jakieś wytłumaczenie? Jest pani pewna, że nie była w ciąży?

– Absolutnie. Nie mogę uwierzyć, że zabierała tam Georgiego, udając, że jest jej... – Colleen mocniej przytuliła dziecko. – Co powiedzieli? Będą jej szukać?

Nick ukrył twarz w dłoniach. Dobrze zrobił, alarmując policję. Nawet jeśli zdradził Terry'ego i wysłał go do więzienia. Ale wiedział, że to jeszcze nie koniec. Musiał dotrzeć do Maddy. Jeśli jest w niebezpieczeństwie – to jego wina. Pamiętał jej podejrzenia – to, jak przeszukiwała rzeczy Bonnie, szukając jakiegoś śladu. Uspokajał ją wtedy, opowiadając, jak sam chrzczył Seana. Był odpowiedzialny za wszystko. Ale nie o tego rodzaju odpowiedzialność tu chodziło. Przyznał się wreszcie przed sobą, że jedyna rzecz, której w życiu pragnie, to opiekować się Maddy. Znow spjrzał na zegarek. Jazda samochodem nie zajmie mu aż tak dużo czasu. Musi dotrzeć tam jak najszybciej.

– Jest jeszcze coś – zaczęła niepewnie Colleen.

Nick czekał z niepokojem.

– Cóż, martwiłam się, że Bonnie będzie podróżowała sama, więc dałam jej starego kolta, który należał do mojego...

– Rewolwer?

– Nawet nie wiem, czy działał. Radziłam jej, żeby pogroziła nim, gdyby ją ktoś zaczepiał. Śmiałyśmy się z tego, zanim wyjechała.

Pomyślał, żeby jeszcze raz zadzwonić na policję, ale zmienił zdanie i wstając, zapytał:

– Gdzie jest najbliższe lotnisko?

Rozdział czterdziesty drugi

Maddy prowadziła samochód, a obok niej na przednim siedzeniu siedziała Amy. Z tyłu Justin siedział w foteliku. Bonnie zajęła miejsce za kierowcą, trzymając broń przy szyi Maddy. Kark już jej zeszywniał, ale bała się poruszyć. Za każdym razem czuła na skórze zimny metal i przyprawiało ją to o dreszcze. Jechali na północ, jak zażyczyła sobie Bonnie, ale konkretny cel podróży nie był znany. Podejrzewała, że Bonnie sama nie wiedziała, dokąd właściwie jechały. Była tak zdesperowana, że chciała tylko uciec.

Amy rozumiała, że są w niebezpieczeństwie. Nie pisnęła nawet i nie prosiła o wyjaśnienia. Justin miał w buzi smoczek i monotonność jazdy w końcu go uspiła. W samochodzie zapanowała cisza. Z każdą mijaną milą Maddy bała się coraz bardziej. Powoli ogarniała ją panika. Nikt nie wiedział, gdzie były. Nikt nie będzie ich szukał. Były uwięzione w tym aucie jadącym nie wiadomo dokąd, z kobietą, która nie miała już nic do stracenia. Od czasu do czasu słyszała chlipanie Bonnie, wspominającej męża, ale rewolwer u szyi Maddy ani na chwilę nie zmienił pozycji.

Na pustej autostradzie zobaczyła jadący z naprzeciwka radiowóz policji stanowej ścigający kierowcę za przekroczenie prędkości. Na próżno szukała sposobu zaalarmowania ich. Przycisnęła nogą gaz w nadziei, że złapie ich policyjny radar, ale w odpowiedzi rewolwer Bonnie jeszcze bardziej wbił się w jej szyję, ostrzegając, by zwolniła.

Była posłuszna. Nie wiedziała, czy będzie szansa na ucieczkę, ale nie zamierzała ryzykować. Było z nią dwoje dzieci. Zwolniła i jechała z równomierną prędkością, licząc mijane mile i odczytując coraz bardziej obce nazwy i miejscowości.

– Wiesz – zaczęła Bonnie, ocierając wolną ręką łzy z oczu. – Niezależnie od tego, co mówił, i tak wierzę, że naprawdę mnie kochał...

Maddy podziwiała Bonnie, że potrafiła płakać nad mężem, którego dopiero co zastrzeliła z zimną krwią. Bałaby się znacznie mniej, gdyby przeklinała go i złorzeczyła. Nawet jej gniew byłby tu zrozumiały. Można było jakoś zareagować, coś powiedzieć. Ale to...

– Przez dwa lata pisał do mnie po dwa razy na tydzień. Dwa lata, zanim się poznaliśmy. Możesz sobie to wyobrazić? Wszystko mi o sobie opowiedział w tych listach. Przełał na papier całe swoje serce. Był takim samotnym chłopakiem, który wpadł w kłopoty. Bardzo się zbliżyliśmy przez te listy. Pewnie by się ze mną ożenił, nawet gdybym mu nie powiedziała o ciąży. Ale czułam, że potrzebuje ostatecznej zachęty. Mężczyźni potrafią być bardzo uparci, jeśli chodzi o małżeństwo. Nie chcą dać się usidlić. Może to się wydawać dziwne w przypadku więźnia odsiadującego dożywocie. Ale on był taki sam jak inni faceci.

– Czasami rzeczywiście potrzebują zachęty – zgodziła się Maddy ostrożnie, dla zachęty. –

Czy byłaś kiedykolwiek... Czy byłaś naprawdę w ciąży, gdy braliście ślub?

– Staralam się, ale nie jest to łatwe z facetem w więzieniu. Nie widywaliśmy się często, a jak próbowaliśmy to robić, to ciągle ktoś przeszkadzał. – Bonnie odzyskiwała entuzjazm, wspominając te czasy. – Ale on mi uwierzył, gdy mu powiedziałam. I tak się pobraliśmy. Potem musiałam już przyjeżdżać z dzieckiem...

Urwała i w milczeniu wspominała te wydarzenia.

– Na początku pożyczyłam dziecko znajomych i udawałam, że jest moje. Nie wiedziałam, co zrobić. Nie miałam żadnych planów na później. Kto mógł przypuszczać, że on kiedykolwiek wyjdzie. Miał tam siedzieć do końca. Myślałam więc, że coś wymyślę. Mogłam powiedzieć, że dziecko się utopiło albo wpadło pod samochód.

Maddy oniemiała. To był przykład myślenia, którego nie sposób było zrozumieć. Ale według Bonnie to miało sens. Czuła, że ta kobieta musi się wygadać, wytłumaczyć. Może gdyby udało się nawiązać jakiś kontakt...

– A więc co... szukałaś dziecka i wtedy co... opiekunka przyłapała cię, gdy chciałaś zabrać Justina?

Głos Bonnie zmienił się z niepewnego i łagodnego na twardy i nieprzyjemny, gdy zaczęła opowiadać o tym, jak osiągnęła swój cel.

– Zobaczyłam ich w parku. Miałam wózek i udawałam, że mam swoje dziecko. To była tylko lalka, ale ona nie mogła tego zobaczyć. Zatrzymałam się na chwilę i zaczęłam rozmawiać o dzieciach, żeby mu się przyjrzeć. Widziałam, że był w odpowiednim wieku, ale ona cały czas go pilnowała. Odeszłam, lecz ciągle ich obserwowałam. A potem przyszedł jakiś facet i zaczął ją zagadywać, więc wstała i uciekła...

Maddy przypomniała sobie, co mówiła policja o jej mężu w związku z tym spotkaniem w parku.

– Czy to był Doug? – dopytywała się. – Czy to był mój mąż?

– A skąd mam wiedzieć? – obruszyła się, zła za tę przerwę w opowiadaniu. – Nie patrzyłam na niego. Byłam zajęta dzieckiem, nie wiedziałam, czy ono będzie dobre. Próbowalam też zebrać się na odwagę przed tym, co miałam zrobić. To nie było łatwe, wierz mi – powiedziała, oczekując fanfar za strach, którego doznała.

– Na pewno – wymamrotała Maddy przerażona tym monologiem. To tak, jakby zgadzała się z twierdzeniem, że ziemia jest płaska. Jak się przyjęło ten pewnik, można było spodziewać się wszystkiego.

– Widziałam, jak wyszli z parku. Dziewczyna była zdenerwowana, że facet ją objął. Podeszłam do niej, gdy wiedziałam, że nikt nie może nas zobaczyć. Udawałam współczucie i zaczęłam narzekać na tych wszystkich dziwaków i zboczeńców, którzy zaczepiają kobiety. Wtedy zaproponowałam, że zabiorę ich samochodem z dala od parku. A ona połknęła haczyk. To

ją zgubiło! – Bonnie oznajmiła radośnie, jakby wspominała spotkanie przeciwnika w partii szachów.

Maddy wzdrygnęła się na myśl o biednej dziewczynie złapanej w pułapkę własnych dążeń do uniknięcia kłopotów. Nie chciała już tego słuchać. Robiło jej się niedobrze, ale Bonnie dopiero się rozkręcała.

– Możesz w to nie wierzyć, ale naprawdę nie miałam zamiaru jej zabić. Mówiłam sobie: nie zabiję jej, jeśli nie będę musiała.

Bonnie zachichotała, a Maddy włosy stały na głowie. Zmusiła się, by obserwować drogę.

– Na początku była zbyt zdenerwowana tym zbrojeniem, żeby cokolwiek zauważyć. Ale potem zaczęła pytać o moje dziecko. Dlaczego nie był w foteliku i tak dalej. Chciała go zobaczyć. Zrobiła się bardzo natarczywa, a potem zażądała, żeby ją wypuścić. Powtarzała tylko: „Proszę się zatrzymać, proszę nas wypuścić”. To mnie wkurzyło. Nie miała powodu, by źle o mnie myśleć. Zaczęła tarmosić klamkę i kopać w drzwi, zostawiając wszędzie brudne ślady. A ja wysprzątałam dokładnie samochód na wyjście Terry’ego, że aż błyszczał. Kazałam jej przestać, ale była coraz bardziej niezdolna. W końcu wyciągnęłam rewolwer i zastrzeliłam ją. Upadła na deskę rozdzielczą. Musiałam ją stamtąd wyciągnąć i zawlec do lasu. Nie wiedziałam, gdzie ją zostawić... Teraz tego żałuję – zapłakała. – Przysięgam, że tak. Chciałabym cofnąć czas. Ale wiesz, jak to jest. Sprawy wymykają się spod kontroli. Zrobiłam wszystko, żeby Terry miał syna...

Głos jej się załamał, gdy przypomniała sobie, że wszystkie jej wysiłki poszły na marne, bo on i tak jej nie kochał. Maddy nie mogła przestać myśleć o tym, czy to jej mąż zalecał się do Rebeki wtedy w parku. Przynajmniej to nie on ją zabił. Powinna więc lepiej o nim myśleć, ale czuła tylko pustkę. Rzuciła okiem w lusterko i zobaczyła, że Bonnie podłożyła sobie rękę pod głowę i odpoczywała, patrząc w ciemność. Jednak ani na chwilę nie odjęła broni od szyi Maddy.

Ona jest szalona, pomyślała Maddy. Nie widzi nic złego w tym, co zrobiła. Zabicie dziewczyny tyle samo dla niej znaczy, co zwiniecie ze sklepu batona. Musisz coś zrobić, nakazała sobie, i to teraz. Ale co mogła zrobić, nie narażając na niebezpieczeństwo dzieci? Czuła się bezradna w tym labiryncie.

Drugim pasem przemknął obok nich samochód, a za chwilę pojawiły się światła radiowozu podążającego za piratem drogowym. Widziała ich w lusterku i słyszała syrenę. Na chwilę serce wypełniła nadzieja, ale zaraz opuściła ją, gdy samochód minął ich, podążając za oddalającym się wozem. Bonnie zerwała się na dźwięk syreny.

– Gonią pirata – wytłumaczyła, ale zdała sobie sprawę, że jak go złapią, to pewnie będą stać na poboczu. Może jednak mogła coś zrobić. Boże, proszę, daj mi szansę.

– Mamusiu, jestem głodna – Amy cichutko zapiszczała.

– Kupimy coś – odezwała się spokojnie, starając się, by dziecko uwierzyło, że panuje nad

sytuacją. – Bonnie – rzekła niepewnie. – Będziemy chyba musiały pomyśleć o jakimś noclegu.

– Dlaczego?

– Bo zasnę nad kierownicą. Dlatego.

– Jedź – poleciła. – Nie mam zamiaru się zatrzymywać.

Taka reakcja wcale jej nie zdziwiła. Nawet nie wiedziała, dlaczego zapytała. Chyba tylko po to, by oderwać ją od myśli o patrolu policyjnym.

– Jestem wdową – Bonnie nie mogła w to uwierzyć. – Zostałam wdową.

A wiesz chociaż, z czyjej winy, chciała zapytać Maddy. To stwierdzenie tak śmiesznie zabrzmiało, że prawie chciało jej się śmiać, mimo że była bliska rozpacz. Uspokoila się jednak, starając się skupić całą uwagę na drodze.

Po przejechaniu mili zobaczyła ich. Zatrzymany samochód stał na poboczu, a policjant pochylał się, rozmawiając z kierowcą. Maddy błagała go w duchu, żeby się odwrócił.

– Może posłuchamy muzyki? – zaproponowała, wyciągając rękę.

– Nie chcę żadnej muzyki! Potrzebuję ciszy, żeby pomyśleć.

Maddy nie zależało na muzyce. Znalazła tylko pretekst, by włączyć światła awaryjne. Miała nadzieję, że policjanci dostrzegą je, zanim Bonnie zauważy palącą się kontrolkę. Nie wiedziała, co się dzieje, bo bała się spojrzeć w lusterko.

W tej chwili obudził się Justin, któremu wypadł smoczek. Rozplakał się. Bonnie wetknęła mu go z powrotem. Dziękuję ci, dziecino, pomyślała Maddy.

Wszystko działo się tak szybko. Gdy minęli policję, Maddy wyłączyła światła. Bonnie nawet nie zauważyła. Jechała więc dalej, wstrzymując oddech. Nie miała tyle śmiałości, by spojrzeć do tyłu.

Rozdział czterdziesty trzeci

W samolocie, który przywiózł Nicka Rylandera na lotnisko Taylorsville County, było pięć osób. Zazwyczaj nie lubił tych, którzy rzucali się do wyjścia, ale dzisiaj nie obchodziło go, czy ktoś się obrazi, czy nie. Gdy tylko samolot wylądował, był już przy drzwiach” nie zważając na naganę w oczach stewardesy. Nick miał głowę zaprzątniętą innymi sprawami.

Nie wziął ze sobą nawet torby, tylko portfel. Zostawił wszystko w samochodzie na lotnisku w Maine, bo miał niewiele czasu, by zdążyć na samolot do Taylorsville, i nie miał zamiaru robić sobie kłopotów z walizką. Musiał wracać jak najszybciej. Wbiegł do terminalu i skierował się do wypożyczalni samochodów. Okazało się, że była nieczynna. Gorączkowo rozglądał się dokoła. Na swoje stanowisko wracał kasjer z papierowym kubkiem kawy i kawałkiem ciasta.

– Przepraszam – zapytał go. – Nie wie pan, gdzie jest osoba z wypożyczalni samochodów?

– Jest tam, w kafejce – poinformował grzecznie.

Nick podziękował i już biegł do wskazanego miejsca. W środku siedziały dwie kobiety. Jedna ubrana podobnie jak kasjer, a druga miała na sobie czerwoną bluzę z wyszytym logo wypożyczalni.

– Przepraszam – zwrócił się do nich. – Muszę natychmiast wypożyczyć samochód.

Blondynka była najwyraźniej niezadowolona, że ktoś zakłóca jej przerwę, ale widząc jego niepokój i zmartwioną twarz, złagodniała.

– Przepraszam, ale to jest bardzo pilna sprawa.

Blondynka wstała i poprosiła by przeszedł z nią do jej biurka.

Kobieta wyraźnie nie spieszyła się. Nick zgrzytał zębami, ale powstrzymał się od zrobienia awantury. Okazało się jednak, że obsłużony został migiem. Po kilku minutach siedział już w wypożyczonym samochodzie i jechał krętymi ulicami znajomego miasteczka.

Włączył radio, ale muzyka drażniła go, więc szybko je wyłączył. To prawdopodobnie głupie, myślał sobie. To było szaleństwo, ale nie dbał o to. Musiał dotrzeć do niej i osobiście dowiedzieć się, co się wydarzyło. Musiał upewnić się, czy Maddy nie groziło niebezpieczeństwo. Przecież ona ma męża, przypomniał sobie, ale to także nie miało znaczenia. Doug Blake był samolubny. Można to było wyczytać z jego oczu. Jeśli tego chciała, dobrze, ale w tej chwili Nick czuł, że naraził ją na niebezpieczeństwo, i musiał jej pomóc.

River Road była zdradliwa, ale na szczęście znał tę ulicę. Musiał jednak zwolnić, bo droga była tu bardziej stroma i kręta. Nie byłoby rozsądne wpaść na kogoś tylko dlatego, że pędzi na ratunek Maddy.

Mimo że tak dobrze znał to miasto, dwa razy skręcił źle, zanim odnalazł właściwą drogę. Był u niej w domu tylko dwa razy. Zazwyczaj spotykali się na jego terytorium. Na pewno znalazłby

mnóstwo pretekstów, by odwiedzać ją częściej, ale nie chciał oglądać miejsc, gdzie żyła, jadła i spała ze swoim mężem. Nie chciał na każdym kroku przypominać sobie, że kobieta, którą kochał tak beznadziejnie, była żoną innego. Przypomniawszy sobie, że nic się nie zmieniło. Gdy ten koszmar się skończy, pojedzie do Kanady, a ona zostanie tu z Dougiem. Zdawał sobie sprawę, że jego nagły powrót mógł się wydawać dziwny i że ujawniał jego wyjątkowe zainteresowanie losem Maddy. Nic go to nie obchodziło, skoro i tak wyjeżdżał, nie musiał wysłuchiwać plotek i domysłów. A jeśli miał rację, co do Bonnie Lewis i dziecka, to każdy czyn wydawał się uzasadniony.

Rozpoznał Decatur Street, skręcił i zatrzymał się przed domem Maddy. Na piętrze paliły się światła, ale parter był zupełnie ciemny. Na podjeździe był tylko samochód Maddy. Auto Lewisów zniknęło. Nick zdenerwował się. Lewisów nie było – wyjdzie na głupca. Od razu zapyta, co ja tutaj robię, pomyślał. Może będzie przy tym jej mąż. A ja będę stał tam jak kompletny osioł, próbując wytłumaczyć swe nagłe pojawienie się w mieście próbą ratowania ich. Przypomniawszy sobie na szczęście, że Maddy nie była jedynym powodem, dla którego wrócił. Chodziło o niewinne dziecko, które należało do zupełnie innej matki, nie do Bonnie.

Postanowił skoncentrować się tylko na tym. Można było objechać cały świat dla ratowania dziecka i nikomu nie powinno wydawać się to dziwne. Nick zgodził się z tą myślą i wysiadł z samochodu. Z bijącym sercem podszedł do drzwi domu i zapukał. Oczekiwał odgłosu kroków i ujrzenia jej znowu.

Nikt mu jednak nie otworzył. Począł jeszcze trochę i ponownie zapukał. Nadal nie było odzewu. Pewnie Maddy i Amy poszły z Dougiem świętować, skoro nie było już Lewisów. Stał, zastanawiając się, co robić dalej. Przemierzając tyle mil, nie pomyślał nawet, że może nikogo nie zastać. Poczł narastający ból głowy. Być może Lewisowie już wyjechali, ale należało ich powstrzymać. Pomyślał z żalem o Terrym. Ale dziecko było ważniejsze. Postanowił jechać na policję i osobiście im o wszystkim opowiedzieć.

Gdy odchodził, wydawało mu się, że usłyszał jakiś jęk. Odwrócił się i spojrzał na dom. To pewnie wiatr w gałęziach drzew. O tej porze roku wszędzie było nieprzyjemnie. Nawet on, mimo że był księdzem, nie chciałby iść przez cmentarz w wieczór przed Halloween. Zawahał się, ale zaczął się cofać. Gdy usłyszał ten sam dźwięk po raz drugi, był pewien, że to nie wiatr.

Wrócił do drzwi i spróbował je otworzyć. Były zamknięte. Nikogo nie ma w domu, powtórzył sobie. Ale nie mógł jakoś odejść. Obejrzał dokładnie drzwi i witraże, które je okalały. Już i tak zrobiłeś z siebie głupca, pomyślał. Nie przyjechałeś z tak daleka, żeby dać za wygraną.

Rozejrzał się dookoła. Blisko drzwi, pod krzakiem leżały trzy ogrodowe żabki. Nie zastanawiając się długo, wziął największą i uderzył w szybę w pobliżu klamki. Odstawił żabę z powrotem i ostrożnie wsunął rękę w otwór. Przekręcił zamek i drzwi stanęły otworem.

W korytarzu było ciemno i ponuro.

– Jest tu ktoś?! – krzyknął głośno.

Nie było żadnej odpowiedzi. Wszedł dalej i znów usłyszał ten dźwięk, a raczej jęk. Włosy stanęły mu dęba ze strachu. Ten odgłos był słaby i dochodził z piętra.

Nick przeskakiwał po dwa schody, by jak najszybciej znaleźć się na górze. Zawołał znowu:

– Jest tu ktoś?!

Ten sam jęk zaprowadził go do właściwego pomieszczenia. Podziękował Bogu, że jednak wrócił. To nie było nierozsądne. Był tu ktoś w potrzebie. Nick zajrzał najpierw do pierwszego z oświetlonych pokoi. To było królestwo Amy, o czym świadczyły jej zabawki, ale pokój był pusty.

Zaschło mu w gardle, a serce mocno biło, gdy zbliżał się do drugiego pokoju.

Widok był okropny.

Terry Lewis leżał na podłodze w kałuży krwi, a twarz miał szarą jak popiół. Tylko oczy błyszczały przez małe szparki.

– Terry, co się stało? Co ci się stało? – dopytywał się, przyklękając przy rannym mężczyźnie. Widok i zapach krwi przyprawiał go o mdłości, ale nie poddawał się. – Zostałeś postrzelony?!

Terry zdołał tylko nieznacznie skinąć głową.

– Mój Boże!

Z Terry'ego uchodziło życie.

– Potrzebujesz lekarza, natychmiast! Terry, posłuchaj – ciągnął Nick, widząc, jak mężczyzna traci przytomność. – Idę zadzwonić po pogotowie, dobrze? Zaraz wracam. Potrzebujesz pomocy.

Gdy Nick próbował wstać, Terry chwycił go z niewiarygodną wręcz siłą za nadgarstek. Lata ćwiczeń na siłowni dały o sobie znać teraz w tym żelaznym uścisku.

– Terry, puść! Muszę zadzwonić po pogotowie – błagał.

– Bonnie... – wyszeptał. – Porwała...

Jego głos był tak słaby, że Nick musiał przyłożyć ucho do jego ust, by cokolwiek usłyszeć, ale te słowa przeraziły go.

– Dziecko. Porwała dziecko Wallace'ów, tak? – upewniał się. Terry ledwo kiwnął głową.

– Wiem o Seanie, Terry. Wiem, że nie był twój. Tak mi przykro.

Terry próbował jeszcze coś powiedzieć:

– Ja nie wiedziałem.

– Wiem. Oszukała wszystkich. A co z Maddy? Czy z nią wszystko w porządku? Czy ona i Amy są z mężem?

Terry próbował zwilżyć spieczone wargi końcem języka. Wszystko przychodziło mu z trudem.

– Wyjechały. Nick zamarł.

– Wyjechały? Dokąd? Z Bonnie? Terry przytaknął.

Nick czuł, jak kamień spada z serca temu człowiekowi, gdy go zrozumiał.

– Dobrze, posłuchaj, Terry – Nick zaczął mówić pospiesznie, niskim głosem, próbując jednocześnie uwolnić się z żelaznego uścisku. – Puść mnie teraz, bo muszę zadzwonić na policję. Muszę im powiedzieć, żeby zaczęli szukać Bonnie, i muszę sprowadzić tobie pomoc.

Terry zamrugał oczami i pokręcił głową.

– Proszę, Terry, potrzebujesz natychmiast lekarza.

Terry zwilżył usta. Nick chciał się mu wyrwać, ale w jego oczach dostrzegł błaganie.

– Psalm... dwudziesty... trzeci... – wyszeptał.

W oczach Nicka załśniły łzy. Zapomniał o wierze. Być może było już za późno na lekarza i Terry o tym wiedział, ale nie było za późno na pocieszenie. Nick złapał szorstkie ręce Terry'ego w swoje dłonie i ścisnął z całych sił.

– Jestem z tobą, przyjacielu.

Ledwie widoczny cień uśmiechu pojawił się w oczach konającego. Nick uczynił znak krzyża i ponownie pochwycił ręce leżącego.

– Pan pasterzem moim – zaczął. – I nie brak mi niczego...

Nagle przed domem rozległ się odgłos zamykanych drzwi oraz dźwięki z policyjnego radia. Usłyszał ciężkie kroki i głosy poszukujące pani Blake. Nick spojrzał pytająco na Terry'ego, ale jego nic nie obchodziło. Czyżby przyjechali w związku z telefonem z Maine?

– Tutaj, na górze! – krzyknął. – Potrzebujemy pomocy!

Terry złapał go za kłapę marynarki, jak dziecko, któremu przerywa się ulubioną bajkę.

– Przepraszam – powiedział Nick z głębokim żalem, który dotyczył więcej niż tylko przerwy w psalmie.

Popatrzył smutno na tego mężczyznę, dziecko Boga, który marzył o rozpoczęciu nowego życia.

– Zacznijmy jeszcze raz – łagodnie zaproponował. – Pan pasterzem moim...

Rozdział czterdziesty czwarty

Policja i facet z laboratorium kręcili się po domu Maddy, gromadząc dowody i rozmawiając przez telefony. Na zewnątrz czekała karetka błyskająca światłami. Jej załoga delikatnie ułożyła Terry'ego na noszach. Założyli mu na twarz maskę tlenową, pospiesznie wynosząc go z domu. Frank Cameron nakazał poszukiwanie samochodu Bonnie, a Pete Miliard zadzwonił do Wallace'ów, by przekazać im najnowsze wieści, że ich syn żyje i niedługo go odnajdą.

Nick stał oparty o szafkę w kuchni, odpowiadając na pytania wszystkich chyba detektywów. Frank Cameron odwiesił słuchawkę i spojrzał na zmęczoną twarz księdza.

– Dlaczego ksiądz po prostu nie zadzwonił do nas, jak się dowiedział o Bonnie Lewis?

– Ależ zadzwoniłem! – zaprotestował Nick. – Proszę sprawdzić waszą gorącą linię.

– No cóż, roboty mamy po uszy – tłumaczył się przepraszająco Cameron.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że Doug Blake nie żyje – rzekł Nick. To dlatego pojawiła się policja. Chcieli powiadomić Maddy o śmiertelnym wypadku męża w forcie.

– Takiego śmiecia nawet nie warto żałować – Frank nie krył swoich uczuć. Przypomniał sobie jednak, z kim rozmawia. – Przepraszam księdza, ale mam osobisty żal do tego człowieka. Wyrządził dużą krzywdę mojej córce. Skłamałbym mówiąc, że jest mi przykro z powodu jego śmierci.

Nick niecierpliwie potrząsnął głową. Nie znosił, jak ludzie przepraszaali go za to, że mówią, co naprawdę czują, tak jakby był zawodowym hipokrytą, a nie człowiekiem z krwi i kości.

– Skoczył celowo? – dociekał.

– Nie. Para dzieciaków widziała go. Wypił za dużo. Nie powinien był w ogóle tam wchodzić...

Nick pomyślał o Maddy jadącej gdzieś z szaloną kobietą. Nie była nawet świadoma faktu, że została wdową. Postanowił pomóc jej przez to wszystko przejść. Modlił się, by Bóg przyprowadził ją do niego bezpiecznie.

Drzwi do domu otworzyły się i Donna Wallace wtargnęła do środka. Jeden z policjantów na próżno starał się powstrzymać ją i męża.

– Gdzie jest moje dziecko? – krzyknęła, a Johnny chwycił ją za ramiona i mocno ścisnął.

Frank kazał jej się uspokoić.

– Wiemy, gdzie jest, ale jeszcze go nie mamy.

– Jest zakładnikiem, tak? – spytała Donna.

– Nie chcę na razie jeszcze używać tego słowa. Miejmy nadzieję, że uda nam się odebrać dziecko bez komplikacji.

– Detektyw Miliard powiedział, że ta kobieta go porwała.

– Ta Lewis – przytaknął Frank. – Ale z tego, co wiemy, jest zdrowy i był pod dobrą opieką. To chyba dobra wiadomość, prawda?

Donna zaczęła chlipać.

– Lepiej już teraz go nie stracie – ostrzegał Johnny. – Nie możecie nam tego zrobić.

Cameron nie lubił, gdy jego najgorsze obawy się werbalizowały.

– Nie stracimy go – zareagował ostro. – Mam sporo roboty. Nie mogę tak stać i z wami gadać.

W tym momencie zadzwonił telefon i Frank szybko podniósł słuchawkę. Wyraz twarzy zmienił się pod wpływem usłyszanych informacji.

– Tak. Świetnie. Już jedziemy...

Zakończył rozmowę i zarządził:

– Uwaga, patrol na autostradzie właśnie zauważył samochód. Pani Blake dała im jakiś sygnał. Jadą na północ.

Donna krzyknęła i natychmiast zasłoniła usta dłońmi.

– Ty prowadzisz. Ruszamy! – Frank nakazał przywróconemu do łask Lenowi.

– Jedziemy z wami – postanowiła zdeterminowana Donna. Frank nie miał czasu, żeby się o to spierać.

– Pete, zabierz państwa Wallace.

– Ja też jadę z wami – przyłączył się Nick.

– To nie pieprzona parada! – wybuchnął Cameron.

– Znam Bonnie Lewis. Może się przydam, jeśli trzeba będzie porozmawiać z nią – przekonywał Nick.

Frank zastanawiał się nad tym przez chwilę. Len Wickes pobrzękiwał kluczykami samochodowymi.

– No dobrze, do diabła. Ale niech mi ksiądz nie wchodzi w drogę!

Nick pospieszył za komendantem i Lenem Wickesem do radiowozu.

Oglądała się za siebie cały czas, mimo że w zasięgu wzroku nic nie jechało. Najwyraźniej coś podejrzewała.

– Chce mi się jeść, mamusiu – błagała Amy.

– Kochanie, zatrzymamy się, to dostaniesz – obiecywała Maddy. Droga przed nią wydawała się nie mieć końca. Ile czasu minie, zanim ktoś odkryje ich zaginięcie? Jej sygnał najwyraźniej nie zwrócił uwagi patrolu. Poczula się beznadziejnie. W tej samej chwili zobaczyła w lusterku coś, od czego zatrzepotało jej serce. Nie było słycać syren, ale na pewno widziała migoczące światło.

– Zjedź tam – nakazała nagle Bonnie. Maddy zastanawiała się, czy i ona je dostrzegła.

– Gdzie? – spytała, grając na zwłokę.

– Tam, gdzie strzałka. Skręcaj albo zastrzelę twoją małą!

Maddy szybko skręciła w prawo zgodnie z poleceniem. Zjechała z autostrady, z nadzieją oglądając się na migoczące światło.

– Zatrzymaj się. Pójdziemy tam...

Miejsce, które wskazała Bonnie, był zwykłym parkingiem z toaletą. Nie było tam ani sklepu, ani baru. Z boku stały zaparkowane dwa potężne tiry. Maddy zastanawiała się, jak dać znać kierowcom tych ciężarówek o swoim położeniu. Nikogo jednak nie widziała w kabinach. Najprawdopodobniej kierowcy zatrzymali się na krótką drzemkę. Pomyślała, że skoro jej nie widzą, to może usłyszą, i z mocą zaczęła naciskać klakson. Doliczyła się dziesięciu dźwięków, zanim poczuła uderzenie w głowę. Bonnie uderzyła ją rewolwerem z całych sił.

– Mama krwawi – krzyczała Amy. – Nie rób jej nic złego!

Maddy dotknęła ręką głowy i jak przez mgłę popatrzyła na krew na swej dłoni. Bonnie pociągnęła pas bezpieczeństwa, jakby chcąc udusić nim Maddy.

– A teraz wychodź z samochodu i rób, co ci każę.

– Dobrze, już dobrze – charczała.

Czuła, jak krew spływa jej po twarzy, ale zignorowała to. Rozpięła pas i odwróciła się, by uwolnić córkę. W mgnieniu oka Bonnie wyskoczyła z auta, otworzyła drzwi po stronie Amy i wyciągnęła ją na zewnątrz.

– Nie dotykaj jej! – krzyczała Maddy.

– Wyciągaj dziecko.

– Puść najpierw moją córkę.

– Jest mi potrzebna, żebyś ty robiła, co mówię.

Maddy na chwilę zamknęła oczy. To była prawda. Dopóki miała jej dziecko, zrobi wszystko. Posłusznie wyjęła Justina. Pieluszkę miał całą przesiąkniętą. Wyjęła z torby nową i zabrała ze sobą. Tęsknie spojrzała na ciężarówki zaparkowane naprzeciwko. Nie było w nich śladu życia. Kierowcom pewnie wydawało się, że śnią, i dlatego nie zareagowali na jej sygnał. Dziecko potarło oczy i zapłakało.

– Do środka – padło nowe polecenie.

Maddy spiesznie wypełniła ten rozkaz, nie odrywając wzroku od ręki Bonnie, którą trzymała Amy za kołnierz. W pomieszczeniu były kabiny i dwa automaty, jeden z napojami, a drugi ze słodyczami.

– Mamusiu, dostanę pić? – pytała Amy. – I krakersy?

– Nie teraz – warknęła Bonnie.

– Proszę, Bonnie – błagała Maddy. – Ona jest głodna.

– „Powiedziałam, nie.

– To potrwa tylko sekundę. Jeśli nie dam jej nic do jedzenia, będzie marudzić. Wiesz, jakie to jest denerwujące...

Bonnie zmarszczyła brwi, ale ten argument przekonał ją.

– Pospiesz się.

– Dobrze – obiecała, przeszukując kieszenie w poszukiwaniu drobnych.

Bonnie obejrzała pomieszczenie, podczas gdy Maddy kupiła paczkę ciastek z masą orzechową i puszkę Sprite'a. Podała je Amy.

– No już – rzuciła Bonnie. – Ruszamy.

– Możemy poczekać tutaj – zaprotestowała Maddy.

– Akurat.

Bonnie przystawiła broń do pleców dziewczynki i zaczęła ciągnąć ją w stronę toalet. Puszka, już otwarta, wypadła jej z ręki i płyn rozlał się po podłodze. Amy zapiszczała. Bonnie nie zważając na protesty wepchnęła ją przez drzwi. Maddy podążyła za nimi, błagając, by Bonnie nie zrobiła krzywdy jej córce.

W środku Bonnie zaciągnęła dziewczynkę do kabiny.

– Mamusiu, nie – krzyczało dziecko z przerażeniem w oczach.

– Bonnie, na litość boską, pozwól jej poczekać ze mną. Obiecuję, że nic nie zrobię, obiecuję!

Bonnie nic nie odpowiedziała i Amy została z nią w kabinie. Maddy zacisnęła pięści, słysząc krzyki córki. Odwróciła się, w lustrze zobaczyła swoją twarz. Połowę twarzy miała pokrytą krwią płynącą z rany po uderzeniu. Ręce, którymi obejmowała Justina, też lepiły się od krwi.

Drzwi od kabiny otworzyły się, wyszła z nich Bonnie z czerwoną od płaczu dziewczynką. Amy wyrwała się z uścisku, podbiegła do matki i ukryła twarz w jej kolanach.

Maddy kucnęła, z Justinem w ramionach, i objęła też córkę.

– Tak mi przykro, kochanie – wyszeptwała.

Nie patrzyła na Bonnie, żeby ta nie zauważyła, jak bardzo jej nienawidzi.

– Idziemy!

Maddy wstała, wzięła Amy za rączkę, a Bonnie wyprowadziła ich z toalety. Wychodząc, usłyszały odgłos zamykanych drzwi od samochodu. Bonnie pobladła. Podbiegła do okna i oparła broń o parapet.

– Jezu! – krzyknęła, wyglądając na zewnątrz. – Nie próbujcie tu wchodzić! Mam dwójkę dzieci i rewolwer!

Maddy zastanawiała się, do kogo były skierowane te słowa. Słyszała coraz więcej głosów, a na koniec przez głośnik odezwał się mężczyzna:

– Pani Lewis, tu policja stanowa. Proszę wyjść z podniesionymi rękami. Proszę nikogo nie krzywdzić. Potraktujemy panią sprawiedliwie. Powtarzam, proszę wyjść...

Maddy kucnęła i przytuliła dzieci do siebie. Serce waliło jej jak opętane. Policja ich znalazła

– byli prawie wolni. Dziękowała Bogu za to. Spojrzała na ich porywaczkę stojącą w otwartym oknie.

– Proszę, Bonnie – zaczęła łagodnym głosem. – To już koniec. Jaki sens ma pozostawanie tutaj? Nie możesz już uciec.

Bonnie zignorowała ją.

– Zabiję ich wszystkich! – krzyknęła. – Nie mam nic do stracenia. Posłuchajcie tego, jeśli nie wierzycie!

Odwróciła się w ich stronę, skulonych przy drzwiach, biorąc ich na cel.

– Pokażę im.

– Nie! – krzyknęła Maddy, pochylając nisko głowę i przyciągając do siebie dzieci najbliżej, jak tylko mogła.

Bonnie strzeliła.

Rozdział czterdziesty piąty

Donna wyrwała się oficerowi próbującemu ją przytrzymać.

– Puść mnie! Puść! – sapała.

Minęła godzina, odkąd przyjechali na ten parking. Godzina, w której Bonnie oznajmiła, że zastrzeli wszystkich zakładników, i w której usłyszeli strzał oraz krzyk dobiegający ze środka. Był taki moment, gdy policjant w kuloodpornej kamizelce próbował podejść do drzwi, ale Bonnie wypaliła przez okno prosto pod jego nogi. Wycofał się więc na bezpieczną odległość.

To czekanie było najgorsze. Donna Wallace zniosła już wiele, ale teraz nie mogła już wytrzymać. Szalała na myśl, że jej dziecko może być ranne albo umiera, a ona nie może tam pójść i wziąć go na ręce. Johnny bezskutecznie próbował ją pocieszać. Myślała ciągle o tej szalonej kobiecie z bronią. Każda minuta wydawała się dłuższa od poprzedniej.

Wyrwała się pilnującemu ją policjantowi i podbiegła do Franka Camerona zajętego rozmową z policjantem stanowym.

– Dlaczego nie każecie jej wyjść? – domagała się. – Czemu nic nie robicie? Gaz łzawiący albo coś innego. Zróbcie coś, żeby wyszła. Chcę moje dziecko z powrotem.

Frank skrzywił się.

– Robimy wszystko co możliwe. Ale nie możemy tak po prostu tam wejść. Ona już zastrzeliła jednego człowieka. Może też zastrzeliła panią Blake. A przed chwilą strzelała do policjanta. Musi pani zdać sobie sprawę, że jest wyjątkowo niebezpieczna i nieobliczalna. Proszę zaczekać na boku. Próbujemy wydostać ich stamtąd żywych.

Donna patrzyła jeszcze na niego, ale Frank był nieporuszony jej gniewem. Wydawało się, że nie wierzy, iż cała ta sprawa mogła zakończyć się masakrą. Ta Lewis traciła głowę. Jakikolwiek nieprzemyślane posunięcie z ich strony mogło doprowadzić ją do ostateczności.

Odwrócił się tyłem do Donny, która widząc, że nic nie wskóra, podeszła do Pete'a Miliarda studiującego wytyczne dla brygady antyterrorystycznej. Obok niego na dachu samochodu leżał megafon. Chwyciła go bez zastanowienia, włączyła, przystawiła do ust i zaczęła krzyczeć:

– Słuchaj, ty wariatko! Mówi Donna Wallace. Jestem matką Justina. Oddaj mi moje dziecko!

– Jej wściekłość przeszła w płacz. – Proszę, wyjdź i oddaj mi go...

Zanim mogła powiedzieć coś więcej, Pete wyrwał jej megafon i zbeształ ją.

– Proszę się do tego nie mieszać, pani Wallace. Mamy specjalistów, którzy się tym zajmują.

Frank już się do nich zbliżał.

– Cóż, chyba nie dają sobie rady – płakała Donna, wpadając w objęcia męża. – Chcę przytulić moje dziecko. Jest przecież w środku. Czy nie możecie czegoś zrobić? Boże, dłużej już tego nie zniósę...

– Zabierzcie ją stąd – warknął Frank. – Pani Wallace, jeśli nie będzie pani nad sobą panować, będziemy musieli odwiedzić panią do domu. Zrozumiano?

– Niech pan na nią nie krzyczy – wtrącił się Johnny Wallace. – Dla was to tylko praca. Ona jest matką.

– Dobrze już, dobrze – Frank był poirytowany. – Uciszcie się wszyscy. Takie sytuacje zajmują trochę czasu.

Nick, który od momentu wystrzału chodził w kółko śmiertelnie zaniepokojony, poczekał, aż Wallace'owie odejdą, i podszedł do Camerona.

– Komendancie, zdaję sobie sprawę, że ma pan własny sposób rozwiązywania takich problemów, ale naprawdę chciałbym z nią porozmawiać. Z Bonnie Lewis. Dawałem im ślub, chrzciliśmy... dziecko. Może mi zaufa. Może mnie posłucha.

Frank westchnął. – Gdybyśmy tylko mogli uruchomić ten przekłęty telefon w środku.

Automat w domku był zepsuty. Wprawdzie już pracowano nad uszkodzeniem, ale ciągle nie można było skorzystać z tej drogi łączności.

Nick rwał sobie włosy z głowy.

– Pomyślałem, że może mógłbym wejść do środka.

– Czy ksiądz oszalał? W żadnym wypadku. Chce ksiądz dać się zabić?

– Przecież będę bez broni. Jestem pewien, że mnie wpuści.

– To idiotyzm – prychnął Frank. – Widział ksiądz, co zrobiła mężowi. Poczekamy tak długo, jak będzie trzeba. Nie będzie tam siedziała wiecznie. W końcu będzie musiała się chociaż przespać. Pośpiech nie jest wskazany.

– Chodzi o to... że pani Blake jest tam ze swoją... z dwójką dzieci. Wie pan, jakie są dzieci. Mogą zacząć ją denerwować. Pewnie płaczą i marudzą... A przy tym stanie jej umysłu...

– A co ksiądz wie o dzieciach? – zdziwił się Frank.

– Obawiam się, że niewiele – przyznał Nick. – Ale tak jak w pana przypadku, w mojej pracy widziałem wielu ludzi, wiele rodzin w stresie...

Frank pokiwał głową, uznając słuszność argumentów księdza.

– Czy nie moglibyśmy jej poprosić, żeby zgodziła się wpuścić mnie i porozmawiać?

– Nie wiem – odrzekł Frank szorstko. – Pomyślę o tym.

Odszedłby naradzić się z policjantami. Nick stał samotnie w ciemności za światłami oświetlającymi budynek, gdzie Maddy była zakładniczką. Wiedział, o czym myślała policja. Bardzo możliwe, że nikt nie wyjdzie stamtąd żywy. Na samą myśl robiło mu się słabo, więc postanowił skoncentrować się na czymś innym.

Zastanawiał się, co powie Bonnie, jeśli będzie miał szansę porozmawiać z nią, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Myślał ciągle o psalmie dwudziestym trzecim, o twarzy Maddy patrzącej na niego, gdy stała na drabinie w kaplicy. Wtedy jej miękkie włosy opadały na ramiona. Daj mi

szansę, błagał w myślach, nie wiedząc, do kogo właściwie kierował tę prośbę. Wrócił Frank Cameron, kiwając głową. Prawda była taka, że w swojej długiej karierze Frank nigdy jeszcze nie negocjował z porywaczami przetrzymującymi zakładników. Polegał więc na opinii bardziej doświadczonych kolegów z policji stanowej. Po krótkiej naradzie uzyskał ich aprobatę, by wysłać do środka księdza.

– Dobrze, zapytamy ją – oznajmił. – Jeśli się zgodzi, czy jest ksiądz gotowy? Musi ksiądz wejść nieuzbrojony. Ale bez czynów heroicznych...

Nick wyprostował się, chociaż serce biło mu z niepokoju. Może zastrzeli go w drzwiach, tylko po to, by pokazać, że nie żartuje. Było to wielce prawdopodobne. Powiedział jednak, że jest gotowy.

Frank podszedł do Pete'a Miliarda, który opiekował się megafonem, i poinformował go o najnowszym planie. Pete podniósł megafon do ust:

– Pani Lewis, jest tutaj ksiądz Nick Rylander. Chce wejść do środka i porozmawiać z panią. Mówi, że jest przyjacielem pani i pani męża. Będzie nieuzbrojony, jeśli zgodzi się pani go wpuścić.

Z małego budynku dosyć długo nie było odpowiedzi. Wpuść mnie, zaklinał Nick, proszę, błagam. Daj mi szansę. Policjanci patrzyli na siebie.

– Czy to znaczy: tak czy nie? – zapytał w końcu Frank.

– Trudno zgadnąć – orzekł policjant stanowy. Pete podsunął sposób na rozwiązanie tej kwestii.

– Jeśli się pani zgadza, proszę otworzyć i zamknąć żaluzje... Czekali, obserwując w napięciu okno. Wszyscy wstrzymali oddech.

Nagle zauważyli, że w oknie coś się poruszyło. Żaluzje otworzyły się i zamknęły tylko raz, ale wszyscy to widzieli.

– Dobrze – uśmiechał się Pete. – Dobrze.

Teraz, gdy miał iść, żołądek mu się kurczył ze zdenerwowania. Starał się nie pamiętać o Terry, leżącym na podłodze w kałuży krwi.

– Jest ksiądz gotowy? – zapytał Frank.

Nick skinął.

– Chcemy, żeby ksiądz tylko z nią porozmawiał – pouczył jeden z doświadczonych policjantów. – Proszę nie próbować żadnych sztuczek. Mógłby ksiądz narazić na niebezpieczeństwo życie zakładników. Bez brawury. Proszę się trzymać spraw religijnych i bagatelizować konsekwencje. Nie obiecywać na przykład, że nie będzie za to ścigana. Nie mówić, że to beznadziejna sytuacja i tak dalej. To ważne, żeby nie rozgniewać jej jeszcze bardziej.

– Rozumiem – rzekł Nick.

– Nie ma ksiądz w żaden sposób zapewnionego bezpieczeństwa – ostrzegł go Frank.

Nick pokiwał tylko głową, bojąc się, że jego głos mógł zdradzić, jak bardzo się bał.

– Proszę unieść ręce – doradził ktoś.

Nick zrobił, jak mu kazano. Odmówił bezgłośnie modlitwę i wyszedł przed zgromadzony tłum policji, gapiów i dziennikarzy.

– Czy jest ksiądz pewien?– dopytywał się Frank. – Nie podoba mi się to.

– Czasami szaleńcy wysłuchują księdza, mimo że nie chcą słuchać nikogo innego. Widziałem już takie sytuacje.

Frank przygryzł wargi, patrząc na odchodzącego księdza.

– Ona jest szalona. Może jego też weźmie na zakładnika. Albo jeszcze gorzej. Nie ryzykowałbym życia, idąc tam.

Stojący obok policjant wzdrygnął się.

– To jego pogrzeb – orzekł, patrząc na mężczyznę z uniesionymi ramionami, wolno idącego w stronę budynku.

– Miejmy nadzieję, że nie – cicho wtrącił się Pete.

Rozdział czterdziesty szósty

Maddy skrzywiła się, rozkładając na podłodze kurtkę, żeby dzieci mogły na niej usiąść.

– Połóż się, kochanie – ponaglała córkę, która nie przestawała chlipać i trzymać się jej kurczowo od chwili, gdy kula trafiła Maddy w bok.

– Jesteś cała we krwi – rozpaczła Amy.

– Wiem, kochanie – szeptała Maddy. – Ale mamusia potrzebuje twojej pomocy. Jeśli ty się położysz, to Justin też tak zrobi i razem odpoczniecie.

Amy otarła łzy i popatrzyła na dziecko z nowym zainteresowaniem. Żywe dziecko to lepsze niż spanie z misiem. Zaczęła układać się na kurtce.

Maddy zadrżała i owinęła się w talii swetrem, próbując zagłuszyć ból. Po pierwszym szoku ból zelżał. Odczuwała go tylko przy poruszeniu. Na sobie miała już tylko cienką bawełnianą koszulkę przesiąkniętą z boku krwią.

Właściwie to więcej krwi było z rany na głowie niż z miejsca, gdzie została postrzelona. Zastanawiała się, co uszkodziła kula i co jeszcze mogło się stać. Gdy zdała sobie sprawę, że Bonnie ją postrzeliła, zrobiło jej się ciemno przed oczyma i zaczęła nieznośnie szczekać zębami. Podejrzewała, że może doznać szoku, więc dzielnie starała się nie poddawać. Nie mogła zostawić Amy i Justina bez opieki. Starła się nie pokazywać dzieciom, jak bardzo ją bolało. I tak były wystarczająco przestraszone i płakały. Bonnie groziła im rewolwerem, nakazując milczenie. Maddy udało się je uspokoić. Powstrzymywała krzyk, ale czuła, jak jej ciało reagowało na zimno, strach i wycieńczenie.

– Jestem gotowa – oznajmiła Amy, wyciągając rączki po dziecko.

Maddy spodziewała się, że to nie będzie łatwe. Justin nie był misiem-przytulanką, ale głodnym i rozdrażnionym dzieckiem. Nie wiedziała, czy będzie w stanie przenieść go na rozłożoną kurtkę. Wzięła głęboki oddech i użyła całej siły, jaką miała w rękach. Przeniosła go najszybciej jak mogła i Amy zajęła się chłopcem, przekonując go, by położył się z nią i zasnął. Maddy zdobyła się na wysiłek, by zanucić im kołysankę, gdy usłyszała głos przez megafon, oznajmiający, że ksiądz Rylander czeka na zewnątrz i chce do nich wejść.

Ksiądz Rylander? Nie od razu dotarło do niej, że chodzi o Nicka. Nick, pomyślała. Co on tu robi? Serce zabiło jej z nową nadzieją. Wszystko jedno, jak tu się znalazł. Najważniejsze, że był i że chciał przyjść do tej jaskini lwa. Spojrzała na Bonnie, zastanawiając się, jak zareaguje na tę propozycję. Ale Bonnie stała wpatrzona w okno, pukając lufą w parapet. Maddy nie odważyła się odezwać. Nuciała dalej kołysankę i czekała.

– Czego on chce? – wymamrotała Bonnie.

Maddy nie była pewna, czy to było pytanie. Nie odpowiedziała. Bonnie odwróciła się więc

i ponownie zapytała:

– Jak myślisz, czego on może chcieć?

Maddy pogłaskała Justina i Amy przytulonych do siebie na posłaniu. Wiedziała, że nie może jej zniechęcić. Pokręciła głową.

– Nie wiem – odezwała się niepewnie. – Chyba chce ci pomóc.

– Mów głośniej – zażądała Bonnie.

– Pomóc – powtórzyła. – Pewnie chce ci pomóc.

– A może tobie chce pomóc?

– Nie wiem, jak się tu znalazł – przyznała Maddy. – Był w drodze do Kanady.

– Zastanawiam się, czy wie o Terrym – głośno myślała Bonnie. Dostrzegła nieprzychylny wzrok Maddy i dodała: – On wie, że Terry mnie naprawdę kochał.

Maddy pokiwała głową, czerpiąc odwagę z zamyślnego tonu Bonnie.

– Opowiedział mi o tobie i Terrym – zaczęła ostrożnie. – Opowiedział mi całą historię waszej miłości i jak wiele dla siebie znaczyliście.

– Widzisz! – wykrzyknęła.

– Tak mi powiedział – potwierdziła Maddy.

Bonnie znów wyjrzała przez okno w stronę kordonu wozów policyjnych i osób czekających na jej znak.

– Jak on może tu pomóc? – spytała, jakby z nutą nadziei.

Potrzebuje zachęty, pomyślała Maddy.

– Może wie o czymś, co pomoże? – mówiła, szukając właściwych słów. Czuła się jak w kryjówce grzechotnika. Musiała zapomnieć o bólu i skoncentrować się na tym, co mówiła. – Jest księdzem, Bonnie. Nie okłamię cię. Wiesz o tym. Jest na pewno po twojej stronie. Wiesz, jak bardzo troszczył się o ciebie i Terry’ego...

Bonnie odwróciła się i wpatrywała w nią i dzieci.

– Powinam już to zakończyć – rzekła zmęczonym głosem, biorąc ich na cel.

Maddy skuliła się w sobie, wiedząc, że Bonnie była aż nadto gotowa wystrzelić. To nie były żarty. Była zdesperowana i niebezpieczna.

– Dlaczego masz to kończyć, zanim nie usłyszysz, co ma ci do powiedzenia? – Maddy starała się, by głos brzmiał spokojnie. – Nie ma pośpiechu. Jesteś bezpieczna, dopóki on tu będzie. A może warto porozmawiać z kimś, kto naprawdę cię rozumie?

Bonnie westchnęła i zgodziła się. Otworzyła i zamknęła żaluzje. Maddy była ogłuszona jak po ciosie w piersi. Niemal przewróciła się z wielkiej ulgi i zaskoczenia. Klęczała przy córeczce w oczekiwaniu, nie podnosząc wzroku na Bonnie dalej wyglądającą przez okno. Po kilku minutach, które zdawały się ciągnąć w nieskończoność, usłyszała, jak Bonnie podeszła do drzwi i otworzyła je.

Maddy ocucił powiew wiatru, który wpadł do środka. Uniosła głowę i zobaczyła go, gdy zatrzaszkiwały się za nim drzwi. Miał na sobie cywilne ubranie, szary sweter, a twarz mu poszarzała od niepokoju. Spojrzał na nią, zobaczył krew na twarzy i powstrzymanie krzyku było w tym momencie dla niego niemal nadludzkim wysiłkiem. Ich oczy spotkały się na długą chwilę i Maddy wysłała mu ostrzeżenie. Nie odezwała się ani nie uśmiechnęła. Zrozumiał i oderwał wzrok od jej ran i twarzy.

Odwrócił się do Bonnie. Wiedział teraz, kim była: morderczynią, porywaczką, osobą, która pogwałciła prawa ludzkie i boskie. Zabiła niewinną uczennicę, zastrzeliła własnego męża i teraz przelała krew kobiety, w której był zakochany. Cofnęła się, mierząc do niego z rewolweru.

– Czego chcesz?

– Pomóc ci – odpowiedział szczerze.

Jej broń wcale go nie przestraszyła. Tutaj było jego miejsce. Przypomniał sobie słowa z Mateusza 9, 12: „Nie potrzebują zdrowi lekarza, lecz ci, co się źle mają”.

– Nie możesz mi pomóc – rzuciła Bonnie z rezygnacją. – Myślę, że ciebie też zabiję.

– Widziałem Terry’ego – powiedział lekceważąc jej groźbę. – Rozmawiałem z nim. On żyje, Bonnie. Wiesz o tym? Wiesz, że on ciągle żyje?

Policja mówiła już przez megafon wcześniej o tym, że Terry żyje, ale Bonnie nie potraktowała tego serio.

– Tylko tak mówisz, żebym stąd wyszła. Jego krew była na całej podłodze.

Nick zaprzeczył.

– Chciał, żebym mu przytoczył psalm dwudziesty trzeci. Trzymał tak mocno moją rękę, że myślałem, że mi ją zgniecie.

– On jest silny – Bonnie przyznała z zapalem. Badała twarz Nicka i zdecydowała, że mówi prawdę. Jej oczy pojaśniały. – Nie wierzyłam im. Myślałam, że już nie żyje.

Nick dalej ignorował siedzącą na podłodze Maddy z dziećmi, chociaż serce wyrывało się do nich. Zastanawiał się, jak poważnie była ranna. Musiał ją uwolnić i zabrać do lekarza. Zdał sobie sprawę, że nawet nie wiedziała o Dougu. Nie wiedziała, że jej mąż już nie żył. Nie miał zamiaru jej o tym mówić, teraz coś innego było ważniejsze. Reszta mogła poczekać. Jeśli nie przekona Bonnie, to i tak wszystkie te sprawy przestaną być istotne.

– Wiem, Bonnie. Ale on żyje. Przysięgam. Nie mówię, że jest w dobrej formie. Sama wiesz. Ale to uparty facet. Wiesz przecież. On tak łatwo się nie poddaje.

Nick uśmiechnął się do niej i ona także uśmiechnęła się. Przez chwilę jej twarz ogarnął wyraz miłości. Maddy poczuła, jakby w tej chwili zobaczyła czysty skrawek jej duszy. Skrawek, który odkrył Terry. Nick był w stanie przebić się do tej warstwy może dlatego, że znał ich i mógł zaświadczyć, że się kochali. A może emanowało z niego zrozumienie i akceptacja.

Nic dziwnego, że go wpuściła, pomyślała Maddy. Czowała, jak ze słowami Nicka uchodzi

z Bonnie nienawiść. Zawahała się i po chwili gestem poprosiła o jego przyzwolenie.

– Bonnie – zaczęła łagodnie. – Może wszystko nie jest takie złe, jak myślisz...

– Będzie walczyć, prawda? – upewniała się.

– To mocny chłopak. Ale ma też dobre serce – zgodził się Nick. Wewnętrzne światło znów w niej zgasło i odezwała się gorzko: – To nie ma znaczenia. Nawet jeśli wyzdrowieje, będzie mnie nienawidził. Maddy popatrzyła z niepokojem na Nicka.

– To nieprawda – rzekła. – To była tylko kłótnia, która wymknęła się spod kontroli. Wszyscy się kłócą. Mój mąż i ja sprzeczamy się nieustannie. To nie jest koniec świata.

Gdy tak mówiła, widziała, że Nick odwrócił wzrok, i odczytała to jako znak, że już wie o jego ostatnim występkę. Spłonila się zakłopotana.

– Jak to się stało? – wypytywał Nick. – Wiem, jak bardzo go kochasz.

Twarz Bonnie jakby się zapadła. Chyba ledwie się powstrzymywałyby nie paść mu w ramiona.

– Dowiedział się o dziecku. Powiedział, że mnie nie kocha. Nigdy nie kochał. Ona może potwierdzić. Słyszała, jak to mówił.

Nick wiedział, że Bonnie mówiła o Maddy, ale trzymał wzrok utkwiony w Bonnie.

– Może rzucił coś w złości, chociaż wcale nie miał tego na myśli. Bonnie nie zapomniała jednak słów męża.

– On mnie nie chce. Nie mam po co żyć.

– Czuł się oszukany z powodu dziecka. Nie możesz go za to winić. Sama czułabyś tak samo. Ale Maddy ma rację. Nie jesteście jedyną parą, która się pokłóciła.

– Niby tak – zgodziła się słabo. A przemyślawszy to dodała: – Ale większość ludzi nie strzela do siebie.

Maddy widziała w oczach Nicka prawdziwe współczucie dla Bonnie.

– Jest coś takiego jak przebaczenie – powiedział. – Terry je zna. Jestem tego pewien. On ci przebaczy. A może nawet będziecie mogli jeszcze być razem.

Bonnie zachnęła się na ten idylliczny obraz ich pojednania.

– A co ksiądz może o tym wiedzieć? Nic ksiądz nie wie o miłości. I proszę mi tu nie opowiadać o miłości bożej. Ostrzegam was. Nie jestem taka jak Terry. Nie wierzę w to wszystko i nie po to cię tu wpuściłam. Właściwie to nie wiem, po co cię w ogóle wpuściłam.

Maddy wciągnęła powietrze, bo przeszył ją znowu ból. Bonnie była taka zmienna, że nie można było przewidzieć jej reakcji. Tylko Nick był cały czas spokojny.

– Myślę, że chciałaś z kimś porozmawiać. Z kimś, kto cię zna i wie, przez co przeszłaś.

– I wie, że wszystko straciłam – dodała.

– A co z Seanem?

Maddy poderwała głowę, nie wierząc własnym uszom. Sean? – myślała. Czyżby nie wiedział

o Justinie? Co tu się działo? Czy to ona jest szalona? Nie straciła przecież kontaktu z rzeczywistością. Czy on nie wie, że Bonnie porwała dziecko i zamordowała dziewczynę? Czy chce, żeby nas zastrzeliła? – wściekała się Maddy. To tak, jakby niósł ich bezpiecznie przez cały czas i nagle postanowił rzucić ich w przepaść. Nick spotkał jej przerażone spojrzenie i bez słów prosiłby mu zaufała.

Reakcja Bonnie była taka sama.

– Jakim Seanem? – krzyknęła, wymachując rewolwerem w stronę dziecka. – Nie wiesz, kim on jest? Porwałam go i zabiłam dziewczynę. Nie wiesz o niczym? Nie ma żadnego Seana!

Nick patrzył na nią śmiało i nawet nie drgnął.

– Oczywiście, że jest. Bonnie zaczęła się trząść.

– Nie. Zwariowałeś.

– Wiem, że ten chłopiec to Justin Wallace. Wiem o tym – łagodnie tłumaczył. – Ale Sean istnieje. To było marzenie twoje i Terry’ego. Marzenie twojego życia. Byłem w Maine, Bonnie. Odwiedziłem dom, gdzie mieszkałaś, i poznałem Colleen. Pojechałem tam, żeby sprawdzić, czy jest ktoś, kto mógłby wam pomóc. Wiesz, po tym wypadku. Próbowaliście z Terryem zacząć od nowa i wszystko szło nie tak... Colleen opowiedziała mi wiele o tobie. O twojej matce i o tym, jak ciężko ci było z nią żyć. Colleen mówiła, że nikt bardziej nie zasługuje na miłość niż ty.

Bonnie prychnęła.

– Ona nic nie wie o mojej matce. Nikt tego nie wie. Ani o wypadku, o tym, co się wydarzyło naprawdę. Jestem pewna, że nie mówiłaby miłych rzeczy o mnie, gdyby to wiedziała.

Nick zignorował jej słowa, mimo że potwierdziły jego podejrzenia co do przyczyny śmierci matki Bonnie i tego dziwnego wypadku. Nie chciał o tym myśleć, tylko próbował skoncentrować się na tym, by ją przekonać.

– Colleen wspominała, jaką byłaś dla niej dobrą przyjaciółką. Jak jej pomagałaś i jak bardzo jej ciebie brakuje...

– Jej dziecko też zabrałam – przyznała się Bonnie, ale głos jej zadrżał. – Założę się, że tego ci nie powiedziała. Udawałam, że to Sean. W dzień chrztu też. Powiedziałam jej, że się nim zajmę. Zabrałam go i powiedziałam, że to Sean. Ale nigdy nie było żadnego Seana. Nie rozumiesz?

– Wiem – powiedział cicho. – Wiem, że to jej syna chrzciliśmy tego dnia, Georgie’a. Ale wiem też, że dla ciebie to był naprawdę Sean.

Bonnie patrzyła na niego przerażona.

– I nie jesteś na mnie zły? – pytała jak mała dziewczynka.

Nick rozłożył szeroko ręce.

– Miałas swoje marzenia, a Sean był ich spełnieniem. Marzyłaś o lepszym życiu, o rodzinie, którą mogłabyś kochać. Nie żądałaś zbyt wiele. Chciałaś czegoś, czego nigdy nie zaznałaś.

Sprawiłaś, że Terry uwierzył w jego istnienie, i on żył w tobie, w twoim umyśle i sercu.

Bonnie odwróciła się od niego. Maddy wstrzymując oddech, oparła się przy ścianie i zaczęła się podnosić. Bonnie kręciła głową, jakby chciała pozbyć się dodatkowego ciężaru, jaki na nią nałożył. Nie mogła znieść jego wyrozumiałości. Była przyzwyczajona do krytyki i odrzucenia i potrafiła znieść bardzo dużo, ale jej osłabiona dusza kruszyła się pod tym gradem współczucia.

– Dobrze, powiedz mi tylko jedno. Czy Terry mówił, że mnie jeszcze kocha? Czy powiedział ci to?

W jej głosie było ostrzeżenie.

Nick zawahał się, wiedząc, że chciała usłyszeć coś, co nie było prawdą. Z miejsca, w którym stała, Maddy dostrzegła jego ogromną niechęć do kłamstwa. Bonnie natychmiast zrozumiała, dlaczego się waha.

– Chciałeś mnie nabrać! – krzyknęła. – Wiedziałam.

Wymierzyła w niego i zawyła. Maddy rzuciła się do przodu, odpychając się od ściany i chwyciła się dłońmi twarzy Bonnie, której spadły okulary. Bonnie straciła równowagę. W tym czasie Nick też dopadł ją i wykręcił rękę. Po wydarciu rewolweru z jej zaciśniętej dłoni oddał go Maddy, która szybko go złapała.

Przez chwilę Bonnie rzucała się w szale, ale szybko się uspokoiła i pokonana padła na kolana, zanosząc się od płaczu. Nick podniósł ją jak dziecko. Maddy posunęła się w stronę drzwi, okrążając Bonnie, jakby to był gotowy do ataku tygrys. Bonnie jednak była myślami zupełnie w innym miejscu i nawet tego zauważyła.

Maddy otworzyła drzwi i wyrzuciła broń na trawnik. Gdy ją wypuściła z ręki, nareszcie odetchnęła z ulgą. Prawie nie czuła bólu. Odwracając się do dzieci, które nieśmiało podnosiły główki z posłania, otworzyła dla nich szeroko ramiona.

Rewolwer leżał na trawie w blasku reflektorów. Policjanci ruszyli w jego kierunku i ktoś krzyknął z niedowierzaniem, że to rewolwer. Od tej chwili zgromadzeni zaczęli zdawać sobie sprawę z tego, że było już po wszystkim.

Jako pierwsza ruszyła Donna Wallace. Ignorując ostrzeżenia męża i policji, przedostała się przez barykady i popędziła przez oświetlony trawnik do budynku. Biegła tak z rozwianymi włosami i w powiewającym płaszczu. Gnała przed siebie, nie mogąc złapać tchu. W drzwiach powitała ją Maddy trzymająca na rękach Justina.

Rozdział czterdziesty siódmy

Amy przycisnęła nosek do prostokątnej szyby okna i z podziwem patrzyła w niebo. Trzymała w rękach swoją lalkę Loulou i pokazywała jej chmury poniżej w kształcie słoni. Stewardesa popychająca wózek z przekąskami zatrzymała się przy nich.

– Kochanie, napijesz się soczku? – spytała Maddy.

Amy oderwała się od okna i przytaknęła.

Maddy poprosiła o sok jabłkowy. Stewardesa podała dziewczynce kubeczek i ta zabrała się do picia, po czym odwróciła się znów do okna.

Maddy czule popatrzyła na córkę. Często się zastanawiała, jakie ślady zostawią w Amy doświadczenia z minionego roku. Dziewczynka była jednak zafascynowana życiem codziennym i tak pełna radości, że Maddy miała nadzieję, iż te przeżycia nie wyrządziły jej krzywdy.

Wielka ulga, którą odczuła po uwolnieniu się od Bonnie, została przyćmiona wiadomością o śmiertelnym wypadku Douga. Maddy prawie nie pamiętała dni między jego śmiercią a jej operacją. Pamiętała zaledwie, że wielu ludzi odniosło się do niej życzliwie, a przede wszystkim Charles Henson i Ruth Crandall. No i oczywiście Nick. Były to najgorsze dni jej życia. Gazety prześcigały się w informacjach o grzechach Douga, sugerując, że jego samobójcza śmierć miała wybawić go od kary. Aż ta parka, która była świadkiem wydarzenia w forcie, przyjechała specjalnie do niej, by zaprzeczyć tym plotkom. Nie skoczył sam, powiedzieli jej. Pomyśleli, że ta wiadomość pomoże jej chociaż trochę.

Stewardesa zatrzymała się znowu i zabrała pusty kubeczek.

– Musisz teraz podnieść swój stolik – zwróciła się słodko do Amy. – Za kilka minut będziemy lądować.

Maddy pokazała córce, jak złożyć stolik. Niedługo potem już schodzili do lądowania.

– Nie zgubimy się, jak chmury nas zakryją, prawda? – upewniała się dziewczynka.

Śmiejąc się, Maddy zapewniła ją, że wszystko będzie dobrze.

– Mamusiu, bołą mnie uszy – narzekała jednak Amy.

– Mnie też – uspokoiła ją Maddy.

Podniosła z podłogi torebkę i poszukała gumy do żucia. Odpakowała listek i podała Amy.

– Masz, jak będziesz żuła, to przestaną cię boleć uszy.

Amy patrzyła na nią zdumiona, zastanawiając się, dlaczego mamie przyszła do głowy taka głupia rzecz, ale ponieważ lubiła gumę, nie miała nic przeciwko.

Zapinając torebkę, Maddy zerknęła na kopertę z kanadyjskim znaczkiem. Wyjęła list, rozłożyła i ponownie odczytała. Czytała go tyle razy, że znała prawie na pamięć.

Zaczynał się tak:

Droga Maddy.

Miło było rozmawiać z tobą. Byłem taki zmęczony oglądaniem slajdów, gdy zadzwoniłaś. Prowadząc kursy z historii sztuki zobaczyłem, jak mało pamiętam ze szkoły. Na szczęście dziekan wydziału jest bardzo wyrozumiały i chyba chce mnie zatrzymać.

Dobre wieści mam o dziecku Hensonów. Jestem pewien, że Charles musiał być przeraźliwie zaniepokojony porodem żony. Jest przecież w takim wieku, że nawet wszystkie cuda medycyny mogą zawieść. Narodziny musiały przynieść mu wielką ulgę, nie mówiąc już o radości, jaką sprawiła im Katherine swoim przyjściem na świat. Wiem, że Charles bardzo ci ostatnio pomagał. Wygląda na dobrego człowieka i cieszę się z ich szczęścia.

Otrzymałem dzisiaj kolejny list od Bonnie. Jest w głębokiej depresji, starając się przystosować do więziennej rzeczywistości. To, że zasłużyła sobie na to, nie ulega żadnej wątpliwości, ale odpiszę jej. Mam nadzieję, że się na mnie nie będziesz za to gniewała. Po tym wszystkim, co zaszło, czuję, że muszę. Jestem wdzięczny jej za to, że przyznała się do winy i zaoszczędziła nam męki procesu. I tak nie było szans, żeby się wywinęła. Pisała, że dostała list od Terry'ego. Teraz on pisze do niej do więzienia. Życie jest pełne niespodzianek.

Dużo myślałem o tym, co powiedziałaś przez telefon. Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Nie odszedłem od kapłaństwa, dlatego że oczekiwałem, iż za mnie wyjdiesz. Odszedłem, bo wiedziałem, że nie jestem w stanie dotrzymać ślubów. Nie miałem innego wyboru. Nie wiem, co zrobić, żebyś w to uwierzyła. Wiem, że straciłaś wiarę w mężczyzn i małżeństwo.

Staralem się być optymistą za nas oboje. Ale nie chcę, żebyś sobie źle o mnie myślała. Nie jestem gipsowym świętym. Kocham cię i ty wiesz o tym. Powiedziałem ci to tamtej nocy, w najbardziej romantycznym miejscu, jakie można sobie wyobrazić, na parkingu przy autostradzie. Tej nocy, widząc cię klęczącą przy dzieciach, gdy walczyliśmy o nasze życie, obiecałem sobie, że jeśli Bóg pozwoli nam przeżyć, to powiem ci o moich uczuciach niezależnie od konsekwencji.

Dla pewności powiem to jeszcze raz. Kocham cię, Maddy, i chcę się z tobą ożenić. Chcę, żebyśmy ty, Amy i ja byli jedną rodziną i żebyśmy mieli więcej dzieci. Chyba od tamtej okropnej nocy nie robiłem już z tego tajemnicy...

Z drugiej strony ty nic nie mówiłaś. Chociaż to nie jest ultimatum, są sprawy, o których muszę się dowiedzieć. Załączam dwa bilety do Montrealu na przyszły piątek. Chcę, żebyście przyjechały tu z Amy zobaczyć mój domek w lesie (rozpaczliwie potrzebujący kobiecej ręki) i uniwersytet, gdzie uczę. Wiem, że masz obawy, ale miłość potrzebuje wiary.

Nie musisz dawać mi znać. Będę czekać na ten samolot z sercem pełnym niepokoju. Jeśli was nie będzie, będę cierpiał. Jestem gotowy, by moje nadzieje rozwiały się w publicznym upokorzeniu. Już to sobie wyobrażam – dorosły mężczyzna przechodzący przez płotki krzycząc:

„Pozwólcie mi sprawdzić, czy nie ma jej w samolocie. Musi tam być...” (Maddy uśmiechnęła się, odczytując ten fragment). *Proszę, bądź tam.*

Kochający Nick.

Oparła głowę o fotel i westchnęła. Nie miała mu za złe, że kazał jej wybierać. Jego miłość, gdy już ją wyznał, była żarliwa. Nigdy jej nie oczekiwała ani nawet nie podejrzewała. W ciągu minionego roku bronił jej mocno. Na początku chciał, żeby opuściła Taylorsville i pojechała z nim. Ale rok temu nie była w stanie nawet tego rozważyć. Gdy porzucił kapłaństwo, była zła i ostrzegała, żeby nie robił tego dla niej, bo nie mogła mu nic obiecać.

Spojrzała na Amy, gdy z ogłuszającym rykiem silników uderzyli o pas startowy. Dziecko było zachwycone tymi podskokami.

„Proszę nie wstawać, dopóki samolot się nie zatrzyma” – usłyszeli pasażerowie przez głośniki, gdy już zaczęli się podnosić i przygotowywać do wyjścia.

– No to jesteśmy.

– Czy Nick będzie na nas czekał? – dopytywała się Amy.

– Tak.

Maddy była tego pewna, chociaż nie zapomniała jeszcze, jak Doug ją oszukał. Patrzyła na córkę, zastanawiając się, czy kiedyś powie jej całą prawdę o nim. Nie chciała pozwolić, by gorzkie wspomnienia przeszkadzały jej przeboleć stratę. Razem opłakiwały śmierć Douga i Maddy chciała to tak zostawić. Może kiedyś, jeśli będzie wypytywać o ojca... Kto wie. Może nawet nie będzie go pamiętała. Będzie tylko cieniem w jej świadomości. Nigdy nie skrzywdził Amy w żaden sposób. Gdy ogarniała ją zgorzknienie, przypominała sobie o tym.

Pochyliła się i odpięła pas Amy.

– Nie zapomnij Loulou – przypomniała. Amy przytuliła mocno lalkę.

– Jedziemy do lasu zrobić ognisko – z powagą tłumaczyła lalce. Wstały i skierowały się do wyjścia. Amy pomachała stewardesie na do widzenia. Serce Maddy biło mocno, gdy tunelem zbliżały się do wyjścia. Ludzie wychodzący przed nimi rzucali się w objęcia oczekujących. Przeszukała wzrokiem poczekalnię i zaniepokoiła się. Powoli przyznawała przed sobą, że też go kocha. Ale jak by się czuła, wyznając mu to tutaj w obecności całego świata?

Zobaczyła go. Szedł w ich kierunku i na ich widok zmartwienie w jego oczach zamieniło się w wielką radość. Był przystojny i dzielny, i kochał ją. Czuła, jak jej wątpliwości unoszą się w powietrzu jak bańki mydlane. Amy podbiegła do niego i mocno się uścisnęli. Podniósł ją roześmiany. Moi, pomyślała, patrząc na nich. I czuła, że jej dusza płynie ku nim i przyłącza się do nich. Byli już razem, mimo że nie zrobiła ani kroku.

– Byłem pewien, że przyjdziecie – powiedział.

Wiedziała, że skłamał. Wiara nie dawała żadnej gwarancji, że osoba, którą się kocha,

odwzajemni uczucie. Trzeba było wmawiać sobie pewne rzeczy, by jakoś przetrwać. Wiem, że przyjadą. Wiem, że będziemy razem. Jestem pewien, że będziemy żyć długo i szczęśliwie. To właściwie nie były kłamstwa, raczej nadzieja.

– Kocham cię – wyszeptała.

Czuła, jak przeszedł go dreszcz. Objął ją mocno.

– Powiedz to jeszcze raz – poprosił, a ona spełniła jego życzenie.